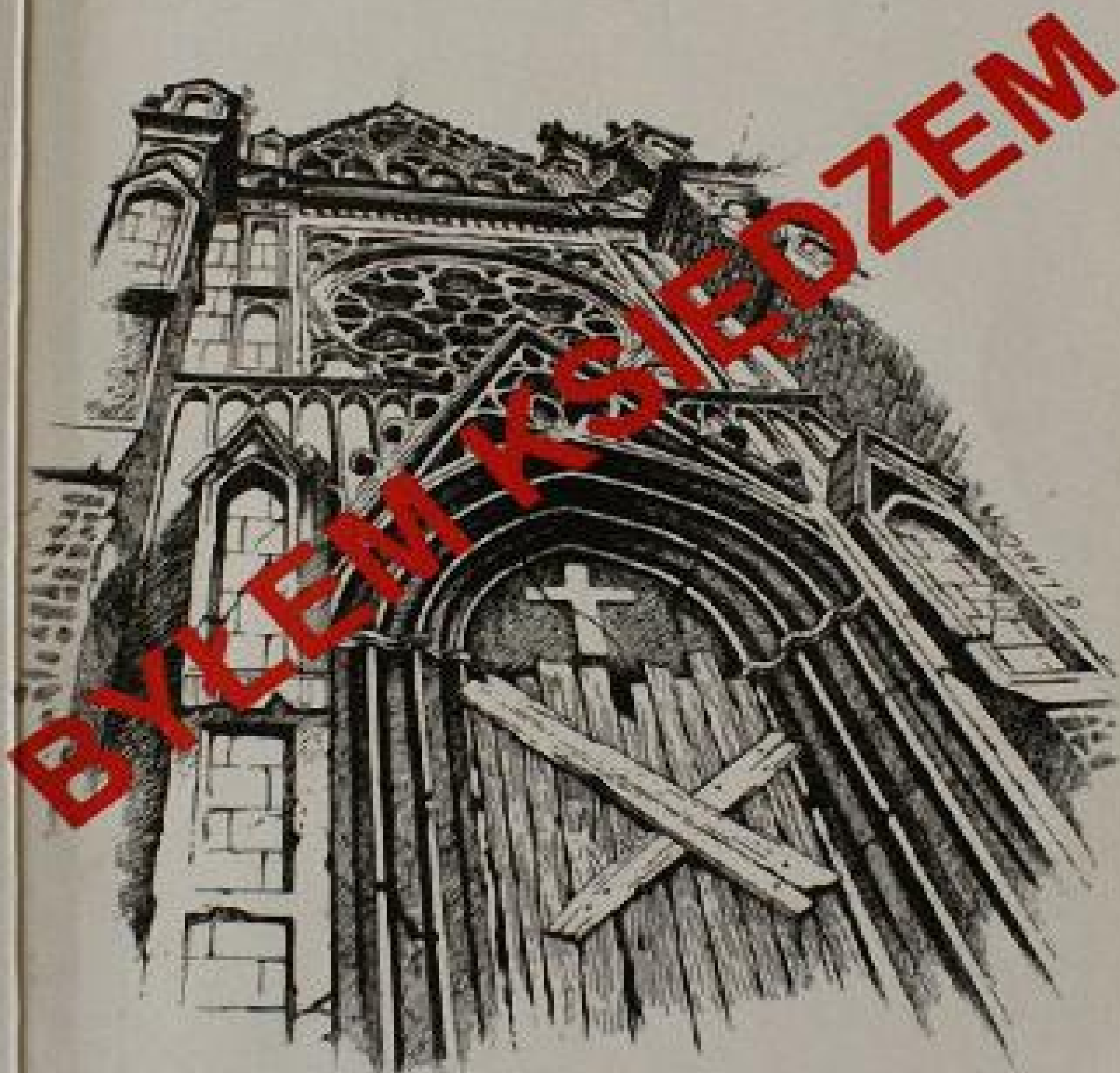


ROMAN
KOTLIŃSKI
(Jonasz)

OWOCE
ZŁA



CZĘŚĆ III

ROMAN KOTLIŃSKI

BYŁEM KSIĘDZEM 3

OWOCE ZŁA

Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą

do was w owczej skórze, a wewnątrz są drapieżnymi

wilkami. Poznacie ich po ich owocach. Czy zbiera się

winogrona z ciernia albo z ostu figi? Tak każde dobre drzewo wydaje dobre owoce, a złe drzewo
wydaje złe

owoce...

A więc: poznacie ich po ich owocach.

Ewangelia Św. Mateusza, Rozdz. 7, 15 - 20

SPIS TREŚCI

Od Autora 4

Wstęp 14

ROZDZIAŁY

I. Kościół nie może stracić 16

II. Zażalenie do Pana Boga 49

III. Byłem zakonnikiem 109

IV. Proboszcz dobrodziej 139

Zakończenie 165

OD AUTORA

Cieszę się, że sięgnęliście Państwo po tę książkę. Otworzy Wam ona oczy na wiele spraw, porazi prawdą i pozwoli zrozumieć, co tak naprawdę dzieje się w polskim Kościele, rodem z Rzymu. Najpierw jednak z konieczności, muszę wyjaśnić parę spraw.

Wielu ludziom nie podoba się to, co piszę i głośno wyrażam. Podejmowane są również próby skompromitowania mojej osoby. Niektórzy próbują sprowadzić całą moją działalność do walki o zniesienie celibatu, a ze mnie robią słabego człowieczka, który nie wytrzymał rygoru przymusowej bezżenności. Doszło do tego, iż nawet dziennikarze, którzy przeprowadzają ze mną wywiad, wypisują później brednie, dokładnie przekręcając to, co im sam powiedziałem! Dzieje się tak, ponieważ ludzie myślą schematami, w stylu - odszedł z kapłaństwa, bo mu się d..y zachciało.

Kiedy wziąłem do ręki kwietniowy numer *Claudii* - wypindrowanego brukowca ogłupiającego kobiety - przeżyłem szok! Podrzędny dziennikarzyna, niejaki Połec, zrobił ze mnie Don Juana w sutannie, który ślinił się na widok kobiety. Skąd on - na Boga! -

wytrzasnął takie love story! Już sam tytuł - *Dla miłości zrezygnowałem z kapłaństwa* - zwałił

mnie z nóg. Połowa artykułu jest wyssana z palca, a reszta - dokładną odwrotnością moich słów i samych faktów. Po części jednak moja w tym wina, gdyż nie autoryzowałem tego knota.

Ludzie, na miłość Boską! Wierzcie mi, że odszedłem (tak jak wielu przede mną i po mnie) tylko i wyłącznie z pobudek ideowych! Nie powtarzajcie kłamstw i nie słuchajcie głupot! Celibat, to tylko jeden z tysięcy błędów tego Kościoła!

Swoją obecną żonę poznałem co prawda przed wystąpieniem z czarnych szeregów, ale nie wpłynęło to w najmniejszym stopniu na tę decyzję. O zawarciu związku małżeńskiego zdecydowaliśmy dopiero po kilku miesiącach. Gdyby d..y były w moim życiu na pierwszym miejscu - zostałem księdzem i „wykaszał” panienki na kolejnych parafiach tak, jak to czynią inni. Jeśli ktoś chce dokładnie poznać motywy mojego odejścia - może wziąć do ręki jedną z moich trzech książek.

Nieprawdą jest również to, jakobym oczekiwał przebaczenia - ze strony Boga czy ludzi - za to, co zrobiłem. Jest dokładnie odwrotnie! Dumny jestem jak cholera, że zdobyłem się na ten krok i zerwałem z największą mafią świata! Czuję się teraz wprost cudownie! Spadł

mi z serca ogromny ciężar!

Postanowiłem też w końcu zerwać ze swoim pseudonimem literackim i pisać pod prawdziwym imieniem i nazwiskiem. Przed rokiem - na taki krok - nie posiadałem jeszcze odpowiedniego „mandatu” od swoich rodziców. Uważałem bowiem (i uważam nadal), że skoro moje nazwisko nie należy tylko do mnie - nie mogę się nim dowolnie posługiwać.

Bałem się również represji, które - zamiast mnie - mogłyby osiągnąć moich najbliższych i...

po części się nie pomyliłem. Obecnie nie ma już żadnych przeszkód, abym cokolwiek ukrywał.

Przejdźmy więc do tematu.

Bóg mi świadkiem - nie miałem zamiaru pisać tej książki? Po wydaniu dwóch pierwszych pozycji, najwyżsi dostojnicy Kościoła katolickiego w Polsce zarzucili mi, iż szargam świętości, opluwam stan kapłański lub po prostu kłamie. Uznałem to za najlepszą recenzję dla moich książek i upewniłem się, że są naprawdę dobre. Postanowiłem też przestać pluć - pisać i zacząć bić - działać. Nie myślałem więc o żadnych książkach. Założyłem i zarejestrowałem Stowarzyszenie Odnowy Kościoła Rzymsko - Katolickiego Na Rzecz Osób Pokrzywdzonych Przez Duchownych. Wówczas jeszcze słowo „odnowa” wydawało mi się uzasadnione. Pół roku działalności Stowarzyszenia wystarczyło, iż przestałem wierzyć w jakąkolwiek odnowę - przemianę tego Kościoła. Z pozycji reformatora katolickich struktur, gotów jestem dziś przejść raczej na tak modne obecnie stanowisko - syndyka masy upadłościowej. Nie myślę bynajmniej o rychłym upadku Kościoła Sama instytucja ma się świetnie dzięki konkordatowi, jak również rozbudowanemu systemowi ofiar, opłat, podatków, ulg, darowizn itp.

Dawno mnie tak nic nie ubawiło, jak niedawne „ujawnienie kościelnych finansów”.

Wyszło na to, że biskupi (np. bp Życiński z Lublina) nie pobierają żadnych pensji, a sam prymas ma na przeżycie 1000 zł miesięcznie. Co do oficjalnych i opodatkowanych poborów -

zgadzam się w zupełności Zapomnieli jednak bidule wspomnieć, że za każde poświęcenie, otwarcie - szkoły, biura, sklepu, kibla etc. etc. kasują po kilkadziesiąt „baniek” (np. otwarcie nowego domu towarowego „Central” w Łodzi - 5.000 zł dla biskupa), a jest tego, w każdej diecezji, do kilkunastu imprez w miesiącu! Tak Kochani, tyle kosztuje kilka machnięć kropidłem i udział w bankiecie. To jednak tylko mała część biskupich dochodów. Najwięcej wyciągają od własnych proboszczów. I tutaj stawki są podobne, a „praca” głowy Kościoła lokalnego polega na: udziale w odpuszczeniu, wizytacji, poświęceniu, rocznicy czy innej bibie oraz - związanemu z tym - odebraniu zaszczytów. Jeśli jednak któremuś z plebanów zamarzy się godność kanonika, prałata, dziekana lub też zmiana parafii na bogatszą, czyli większą, musi szykować całą teczkę pieniędzy. Sumy idą tu już w setki milionów, a nawet miliardy starych złotych! Każda obecność, przemowa, gest; każdy ruch księcia Kościoła kosztuje grubą forszę, a mało jest takich, - którzy się migają. Powiem jeszcze tylko tyle, że biskupi są naprawdę niezwykle zapracowanymi ludźmi, po prostu się nie wyrabiają i nawet sami głośno o tym mówią! Zresztą, wcale nie muszą się ruszać z pałacu czy kurii; jako władcy feudalni mogą najzwyczajniej w świecie zejść do diecezjalnego skarbcza i wyjść z walizką szmalu. Nic dziwnego, że nie mają żadnej pensji! Drogie Eksceleńce - moglibyście, chociaż „dla picu” wyznaczyć sobie po jakieś 800 zł, żeby nie przebić prymasa! Słuchajcie! To są dopiero bidule! Stawiam śmiałą tezę, że nie ma na świecie lepiej opłacanych grup zawodowych, jak bokserzy wagi ciężkiej i biskupi katolicy. Mam tu zwłaszcza na myśli relację - maksimum kasy za minimum wysiłku.

Ostatnie pomysły czarnych urzędników (po zbieraniu świadectw udziałowych, płatnych biletach do kościołów i na spotkania z papieżem) to opodatkowanie wszystkich wiernych oraz Powszechne Towarzystwo Emerytalne Arka - Invesco z udziałami Episkopatu Polski O nie, nie - kto jak kto, ale Kościół katolicki nie da się odsunąć od koryta. Polacy, Państwo Polskie ma ciągle mało pieniędzy i „krótką kołdrę”, ale kto słyszał o kryzysie w polskim Kościele!? Co do sfery materialnej - wszystko jest w najlepszym porządku.

Jeśli mówię o upadłości, mam na myśli autorytet moralny, kredyt zaufania i tzw. sferę duchową, nadprzyrodzoną. Te trzy wartości w odniesieniu do Kościoła praktycznie już nie funkcjonują, a mając na uwadze jego nadprzyrodzoną misję, stracił on obecnie rację bytu.

Pytam się - po co komu następny urząd skarbowy!?! Nawet sami najwyżsi rangą hierarchowie nie kryją pozycji, z jakich przemawiają do swoich owieczek. Zobaczcie, ile w nich zarozumiałości i wielkopańskiej pychy! Próżno by doszukiwać się u nich cnót, wartości ewangelicznych - skromności, łagodności, ofiarności w służbie biednym i potrzebującym wsparcia, opieki. Przypomnijmy sobie, że oni sami przypisują sobie korzenie apostołskie, są podobno następcami pierwszych uczniów Chrystusa, którzy w większości oddali za niego życie, ginąc męczeńską śmiercią. Tymczasem dzisiejsi „apostołowi” pragną władzy, wpływów, a bez ogromnych pieniędzy - nie potrafią w ogóle funkcjonować. W pierwotnym Kościele apostołów i ich uczniów środki materialne ofiarowane przez ludzi mających, rozdawano najuboższym. Dzisiaj jest dokładnie odwrotnie - od ubogich chrześcijan wyciąga się kasę na utrzymanie przewielebnych bogaczy. Doszło do tego, że już w seminariach duchownych, młodych chłopców wychowuje się na typowych urzędników - poborców datków, ofiar i podatków. Duszpasterstwo jest dopiero na drugim miejscu, a o byciu uczniem Chrystusa, świadczeniu swoim życiem o wierze, Ewangelii - nieczęsto się już wspomina.

Nawet jeśli ktoś mówi coś na ten temat, to i tak są to tylko puste słowa, bo prawdziwy przykład idzie z góry. Może gdyby Kościół katolicki zajmował w naszym kraju jakiś odrębny obszar, to - na podobieństwo zakonu krzyżackiego - wolałby przekształcić się w państwo świeckie, gdyż przepowiadanie i świadczenie o Dobrej Nowinie - wyraźnie mu nie służy, wręcz mierzi to jego biskupów i kapłanów.

Oczywiście, nie wszyscy są zli i nie wszyscy mają złą wolę. W każdej diecezji są całe zastępy wspaniałych księży. Jestem głęboko przekonany, iż większość duchowieństwa katolickiego - księży, zakonników i sióstr zakonnych - składa się z bogobożnych, prawych osób, które mają szczerą intencję służenia Bogu i ludziom; zresztą bardzo wiele w tym kierunku robią. Odnoszę się do nich z wielkim szacunkiem, podziwiam ich ofiarny trud i silną wiarę, tym bardziej iż ja sam nie potrafiłem z ich pozycji głosić Ewangelii.

Ludzi tych podzieliłbym na dwie grupy. Jedni w dużej mierze są nieświadomi, w jakim Kościele pracują. Co prawda, widzą wokół siebie wiele zła, ale tłumaczą je naturalną, ludzką słabością. Generalnie, oczywiście, mają rację. Kto powiedział, że święcenia czynią świętych!?! Takie wymagania wobec duchownych są głupie; świadczą o daleko posuniętej jełopizacji i zdewoceniu! Prawdą jest jednak i to, że Kościół po części sam je kreował przez całe wieki. Nie wiem, czy dobrze, jest nawracać nieświadomych, ale powiem Wam, Bracia Kapłani jedno: zauważcie, jak wiele nadużyć - w systemie, któremu służycie - ma charakter zupełnie dla niego specyficzny, wynikający z endemicznych praw, którymi kieruje się Kościół, np. z przymusowego celibatu. Wniknijcie głębiej w podstawy biblijne, którymi podpira się katolicyzm, a zobaczycie, że tak naprawdę prawie ich... nie ma! Co więcej, jest w Biblii wiele jednoznacznych myśli, przesłań i ostrzeżeń, które katolicyzm dyskwalifikują!

Proszę bardzo, jeśli jesteśmy już przy celibacie, przedstawiam następujący dowód:

„Duch zaś otwarcie mówi, że w czasach ostatnich niektórzy odpadną od wiary, skłaniając się ku

duchom zwodniczym i ku naukom demonów. Stanie się to przez takich, którzy obłudnie kłamią, mają własne sumienie napiętnowane. **Zabraniają oni wchodzić w związki małżeńskie** ... (I List do Tymoteusza 4, 1 - 3) Założyć należy, iż to raczej my żyjemy w „czasach ostatnich”, a nie św. Paweł, który napisał te słowa przed dwoma tysiącami lat. Jak świat długi i szeroki - nikt nie zabrania nikomu „wchodzić w związki małżeńskie”, jedynie Kościół katolicki swoim kapłanom. To tylko jeden z bardzo wielu biblijnych dowodów na nieautentyczność i „zwodniczość” katolickiej nauki.

Teraźniejszość, rozumiemy najlepiej odwołując się do historii Prześlądźcie dokładnie prawdziwą historię Kościoła (nie taką, jakiej Was uczono w seminariach), np. w wydaniu Karlheinz Deschnera lub chociażby bp Pieronka. Zobaczycie w co wdepnęliście!

A gdzie są uzasadnienia dla większości dogmatów!?!?

Drugą grupę szczerych i oddanych „osób poświęconych Bogu” stanowią ci, którzy wiedzą „co jest grane”, ale „robią swoje” i... chwała im za to! Są to z reguły ludzie mocno stąpający po ziemi, prawdziwi ojcowie, powiernicy, pasterze dla swoich owczarni. Mają w nosie błędy i wypaczenia; sami często naśmiewają się z głupoty swojego „naczalstwa” i fantazji teologów. Zaliczyłbym do nich np. misjonarzy rozdających prezerwatywy w Afryce oraz wszystkich księży, którzy: błogosławią groby samobójców i niedowiarków; rozgrzeszają rozwodników i konkubentów, chrzczą ich dzieci; budują domy modlitwy i mieszkania dla samych siebie, nie zaś betonowe meczety pod samo i niebo i plebanie - bloki; żyją na średnim poziomie ludzi, wśród których pracują; potrafią podrzeć bzdurny list Episkopatu i zamiast niego powiedzieć parę ciepłych słów do swoich parafian. Znam takich wielu i Wy ich znacie.

W swojej działalności spotykam zadeklarowanych wrogów wszystkiego co katolickie, w szczególności wrogów samych księży. Wielu zionie prawdziwą nienawiścią, błędnie kierując ją w stronę szeregowych duchownych, opluwając przy tym wszystkich jak leci. Jak tylko potrafię, staram się wyprowadzić ich z błędu. Kapłani, wychowani w katolickich rodzinach, ukształtowani od młodych lat w strukturach kościelnych - mając szczerze powołanie - sami nit widzą dla niego innej drogi realizacji, jak tylko w Kościele katolickim.

Często bezwiednie stają się tym samym strażnikami fałszu. Mimo to, ich praca przynosi wiele dobra, zwłaszcza jeśli przekazują ludziom czystą Ewangelię, podnoszą ich z grzechów, uczą modlitwy i miłości' Boga.

Nie twierdę również, że papieże czy biskupi każą ludziom czynić zło. Byłbym oszczercą, gdybym mówił coś podobnego! Rzymski katolicyzm - jak zresztą wszystkie inne obrządki, wyznania i religie - nawołuje do czynienia dobra; opiera się w końcu na Dziesięciu Boskich Przykazaniach; choć byłby chory, gdyby i ich nie poprzestawiał.

Porządni ludzie Kościoła są jednak przytłoczeni przez zgniły, archaiczny, feudalny system, który nakazuje milczenie i ślepe posłuszeństwo. Niektórzy z nich piszą do mnie listy prosząc, bym mówił za nich, gdyż oni nic powiedzieć nie mogą. Zwracam się też do tych, którzy wzywają mnie do opamiętania - pozwólcie mi mówić prawdę! Apologeci papieżstwa i katolicyzmu byli, są i z pewnością nie zabraknie ich w przyszłości. Jeśli jednak nikt nie ujmie się za ofiarami tego systemu, to kamienie będą wołać w ich obronie!

Powiedzmy sobie wyraźnie i otwarcie: Kościół rzymskokatolicki w dzisiejszej postaci

- nie jest Kościołem ustanowionym przez Jezusa Chrystusa. Jego dogmatyka, obecne struktury, prowadzona polityka, a wreszcie sama działalność - pozostają na ogół w jawnej sprzeczności z wolą Bożą i Pismem Świętym. To zaślepieni, żądni władzy ludzie nadali mu na przestrzeni wieków to: nieboskie i nieludzkie oblicze doprowadzili do powstania instytucji, która zatrzymała się w rozwoju na poziomie ciemnogrodu Średniowiecza, gdyż w tym właśnie okresie dziejowym ukształtował się dzisiejszy Kościół. Nic mu tak nie odpowiadało i nie odpowiada, jak władza autokratyczna, poddaństwo, niewolnictwo, ciemnota, wyzysk. To naprawdę instytucja tylko i wyłącznie ludzka!!!

Jak łatwo zauważyć, przeszedłem w swoich wartościowaniach na temat Kościoła na pozycję zdecydowanie bardziej radykalną, choć podobno człowiek z wiekiem łagodnieje.

Moich poglądów nie zmieniły książki i broszury, przysyłane mi w ilościach hurtowych przez innowierców. Resztę nadziei na odnowę katolicyzmu nie odebrały mi ani własne przemyślenia, ani też argumenty zadeklarowanych wrogów watykańskiego systemu, Moją obecną postawę ukształtowali prości, zwyczajni ludzie - skrzywdzeni przez duchownych funkcjonariuszy. Ludzie ci są żywymi dowodami na to, iż wokół nas działa potężna organizacja, ukierunkowana na własne interesy i maksymalny zysk; nie przebiegająca w środkach w realizowaniu swych zamierzeń (czyt. mafia), a polski naród jest pod jej największym wpływem.

Polacy stanowią zdecydowanie najbardziej podatny materiał do urobienia, omamienia i wykorzystania, gdyż identyfikują swój patriotyzm z wiarą i przynależnością do Kościoła katolickiego. Jak nisko zwisa temu Kościołowi nasza niepodległość pokazuje historia.

Pomyślność naszego kraju, a także dobrobyt jego obywateli ma znaczenie jedynie w kontekście i perspektywie zwiększenia „ofiarności” w kancelariach oraz na tacę. Prawdą jest, że kapłani są z ludu wzięci, ale ustanawiani są już tylko na potrzeby swoich zwierzchników, a te ciągle rosną.

Pora w końcu uzasadnić tak mocne słowa i oskarżenia. Minął ponad rok od ukazania się mojej pierwszej książki - Prawdziwe Oblicze Kościoła Katolickiego w Polsce. Od tego czasu otrzymałem tysiące listów od czytelników, w tym kilkaset od osób w najróżniejszy sposób pokrzywdzonych przez biskupów i księży. Zawsze i do znudzenia będę twierdził, że to wypaczony katolicki system oraz ci, którzy stoją na jego straży - hierarchowie - są głównymi sprawcami tylu nieprawości, a złych kapłanów ukształtował zły Kościół. Cóż z tego jednak, że deprawuje system, skoro i tak w konsekwencji winni są konkretni ludzie, księża -

wyświęceni i posłani, aby nawracać z grzechu, prowadzić wiernych do Boga. Moje odniesienie do szeregowych kapłanów, moich byłych i aktualnych kolegów, wyraziłem również w dwóch pierwszych książkach - nie będę się powtarzał.

Na sercu leżą mi głęboko ci, którzy otworzyli przede mną swoje serca - ofiary katolicyzmu. Niektórzy piszą w sumie banały: proboszcz okazał się chamem, prefekt przeleciał licealistkę, zniknęły zabytkowe świeczniki z bocznego ołtarza (choć włamania nie było), pleban wyłudził darowiznę od babci. Zdarzają się jednak także dużo poważniejsze sprawy, zwłaszcza od kiedy stworzyliśmy - w ramach prac Stowarzyszenia - **Centralny rejestr osób poszkodowanych przez**

duchownych.

Aby przybliżyć nieco naszą działalność, pozwolę sobie zasygnalizować kilka charakterystycznych przypadków:

- Parafia okradzona przez proboszcza, który po kilku latach zbierania na budowę nowej świątyni, poprosił biskupa o przeniesienie i na inną placówkę. Ulotnił się z ogromnymi pieniędzmi i nikt nie może mu nic zrobić - ani parafianie, z którymi nie podpisywał żadnej umowy, ani biskup, który podobno nic nie wiedział o zbiórce, ani prokurator, dla którego sprawa leży poza wszelkim zasięgiem i kompetencjami.

- Rodzice, których kilkuletnie dziecko zabił samochodem kompletnie pijany ksiądz.

Po zabójstwie szybko wytrzeźwiał i tak skutecznie ubłagał bogobojnych ludzi, że ci odstąpili nawet... od zgłoszenia wypadku na policję. Duchowny przysięgał na krzyż, iż do końca życia będzie się opiekował rodziną (kobieta była w tym czasie w ciąży) i wspierał ją materialnie.

Wkrótce załatwił sobie przeniesienie do Niemiec i wszelki słuch o nim zagaął.

- Rodzice, których 8 - letni synek, ministrant, został zgwałcony przez proboszcza.

Wysłannicy kurii biskupiej załagodźli sprawę perswazją i dużymi pieniędzmi, ale dziecku pozostał głęboki uraz psychiczny.

- Parafia, którą gospodarz - proboszcz: pozbawił XVI - wiecznego ogrodzenia świątyni, wykonanego z kutej kraty, wartości ok. 300 000 zł.

- Siostra zakonna usunięta ze swojego zgromadzenia z powodu rzekomej choroby.

Prawdziwą przyczyną był jej podeszły wiek i związane z nim niedołęstwo, a więc nieprzydatność dla wspólnoty.

- Ksiądz zakonny usunięty za praktyki homoseksualne, które nabył w seminarium.

- Mąż, któremu żonę uwiódł ksiądz, były „przyjaciół” domu.

- Córka świadków Jehowy, szykanowana w wiejskiej szkole przez katechetkę i nauczycieli.

Niektóre z tych spraw wielokrotnie się powtarzają, np. parafie oszukane przez własnych proboszczów, małżeństwa rozbite przez duchownych, plaga pijaństwa wśród księży. Nie wymieniłem również skrzywdzonych nieszczęśników, których opiszę w tej książce. Najwięcej listów przychodzi jednak od uwiedzionych przez księży kobiet oraz ich dorastających dzieci To już prawdziwa plaga! Zdecydowana większość takich przypadków kwalifikuje się do sądów, ale tylko bardzo nieliczne tam znajdują swój epilog. Każdy ksiądz jest jednocześnie obywatelem tego państwa i można go z czystym sumieniem zaskarżyć o alimenty. W praktyce nie jest to takie proste. Kobiety, które chcą w ten sposób dochodzić należnych im praw, poddawane są zazwyczaj ostrej perswazji ze strony swych „banderasów” w sutannach. Nierzadko „dla dobra Kościoła” włącza się w to wszystko kuria

biskupia, wyciszając sprawę okrągłą sumką. Sami playboye są wyjątkowo nieskorzy do płacenia na swoje latorośle. Myślą zapewne, że sam fakt obdarowania kobietę świętym nasieniem -

powinien jej w zupełności wystarczyć. Na szczęście nie wmawiają swoim konkubinom cudownego, niepokalanego poczęcia. Wielu księży po wpadce, w celu zatarcia wszelkich śladów, decyduje się na szybką zmianę diecezji, a nawet kilkuletni wyjazd na misje. Jeżeli już sprawa o alimenty znajdzie się na wokandzie, o jej powodzeniu decyduje nader często aktualny układ polityczny w kraju i światopogląd sędziego. Jeśli na przykład miejscowy dziekan czy proboszcz jest przyjacielem domu burmistrza, a ten spał na jednym styropianie z aktualnym prezesem sądu, to całe zamieszanie można spokojnie załatwić przy brydzu. Nie wolno zapominać o tym, iż większość całej działalności Kościoła sprowadza się do zacierania śladów i tuszowania wszelkich nadużyć.

Jeszcze gorzej rzecz się ma z kapłańskimi potomstwem, które - po śmierci rodziciela -

oczekuje należnego po nim spadku. Osobiście nie znam przypadku spełnienia takich marzeń.

Obecnie w Sądzie Najwyższym w Warszawie toczy się głośna sprawa o spadek po zmarłym proboszczu Marianie Sujkowskim, kapłanie diecezji włocławskiej. Sprawę o odzyskanie willi pod Włocławkiem założył syn zmarłego, również kapłan - ks. Marek Sujkowski, który zrzucił sutannę katolicką i przeszedł do Kościoła anglikańskiego; mieszka i pracuje w Londynie. Według relacji księdza Marka - kuria włocławska w osobach biskupa Czesława Lewandowskiego oraz ówczesnego kanclerza - wymusiła na umierającym proboszczu Sujkowskim sporządzenie testamentu, w którym zapisał on ww. willę na rzecz diecezji. Kapłan nie chciał tego uczynić, gdyż majątek, zakupiony z funduszy rodzinnych, pragnął przekazać synowi. Straszono go pohańbieniem i utratą dobrego imienia za nieślubne dziecko, wywierano presję psychiczną. W końcu uległ, ale sporządził drugi testament, który unieważniał pierwszy i czynił jedynym spadkobiercą syna Marka. Ten, gdy przyjechał na pogrzeb... wujka (ksiądz Marian zaaranżował ślub swojej ciężarnej konkubiny z własnym bratem), dowiedział się o testamencie oraz (po raz pierwszy) kto jest jego prawdziwym ojcem. Założył też wkrótce sprawę przeciwko kurii o zwrot majątku, którą wygrał. Kościół

odwołał się i również wygrał, gdyż adwokatka ks. Marka wycofała się w ostatniej chwili przed sprawą, z obawy przed zemstą Kościoła. Cała historia toczy się już ponad 8 lat. W tym czasie ksiądz Marek Sujkowski był dwukrotnie napadnięty i dotkliwie pobity w Londynie.

Twierdzi, iż próbowano go również otruć. Do jego mieszkania w Londynie zapukało kiedyś dwóch mężczyzn, którzy podali się za znajomych matki Przywieźli mu (jakoby od rodziny) paczkę żywnościową, którą ksiądz Marek zaraz się poczęstował. Kiedy tracił przytomność, usłyszał nad sobą słowa: „Dostaniemy chyba od biskupa premię za dobrą robotę?”. Z wielkim trudem go odratowano. Adwokat kurii chciał go przekupić sumą 50.000 funtów, aby sobie odpuścił. Nie chciał, choć na same przyjazdy do Polski, sprawy sądowe i prawników straci wszystkie oszczędności. Postanowił dochodzić prawdy do końca. Nasze Stowarzyszenie udzieliło mu pomocy prawnej i finansowej. Sprawa musi być wygrana, a wyrok ma stać się precedensem w podobnych przypadkach. Kuria włocławska boi się jak ognia takiego precedensu i nie myśli rezygnować z majątku po zmarłym kapłanie. Nie po to Kościół

wprowadził celibat celem pomnażania własnych dóbr, żeby jakieś księżowskie bękarty rozdrapywały

jego majątek!

Problemy, które tylko sygnalizuję, nie są ani błahe, ani też nie stanowią marginesu życia w tym kraju. Do mnie trafiło kilkaset takich spraw, a ile podobnych problemów, konfliktów, tragedii dzieje się naprawdę. Kościół katolicki ma przyczółki w każdym miasteczku, wsi, osadzie. Prawie 30 tysięcy funkcjonariuszy tego Kościoła w naszej Ojczyźnie codziennie styka się z milionami wiernych. Powiecie, że nadużycia w takiej skali są nieuniknione. Zgoda. Ale śmiem twierdzić, iż jest ich procentowo o wiele więcej niż w każdej innej sferze życia społecznego. Dzieje się tak za sprawą wypaczonego systemu, który ukształtował wielu wypaczonych ludzi - kapłanów o wypaczonych sumieniach. Oni są normalni, mają więc święte prawo grzeszyć i błędzić. Lecz kościelne struktury deprawują ich i czynią dużo gorszymi od tych, do których są posłani. W jakiej innej grupie społecznej jest tak wielu alkoholików, erotomanów, pedofilów, pederastów, chorobliwych materialistów!? W

ŻADNEJ!!! Jako były kapłan mogę powiedzieć - nie widzę w tym nic dziwnego.

Najpierw bowiem niszczy się autentyczne powołanie, przerabiając młodzieńcze ideały na bezduszne poddaństwo. Wmawia się przy tym wyższość czystości, bezżenności i w ogóle stanu duchownego - nad podłą wegetację synów ludzkich. Kiedy z seminarium wyjdzie już rasowy urzędnik, często cynik z manią wielkości, czeka go samotne życie bezpłciowego, wykastrowanego samca. Chciał niebożę pójść za Chrystusem, a posadzili go w „komorze celnej”. Dziwić się później, że tym biednym ludziom, pozbawionym własnej tożsamości i podstawowych praw ludzkich (celibat, prokreacja, brak wolności słowa i własnych przekonań) czasami po prostu odbija w niewłaściwą stronę.

Niektórzy mają już tak dość pustostłowania oraz pieprzenia o świętości i czystości, iż po to tylko by odreagować - pławią się w najbardziej wyuzdanych grzechach. Większość księży prowadzi drugie życie z gosposią lub cichą konkubiną i jest to ich naturalna ucieczka do normalności.

Nie piętnuję więc księży. Oskarżam system krzywdzący tysiące ludzkich istnień i zwodzący milionowe masy swoich własnych wiernych! Podstawowym grzechem katolicyzmu jest brak pozytywnego oddziaływania. Ogromne środki materialne nie służą ewangelizacji, tylko demagogii. Poszkodowanych przez Kościół jest więcej niż to sobie wyobrażacie. Jak myślicie - skąd bierze się tak wielka ekspansja ruchów parareligijnych i sekt, zwłaszcza satanizmu? Otóż winę za to ponosi w znacznej mierze Wasz Kościół, który zamiast

„gromadzić” Chrystusowe owce, „rozprasza” je swoją błędną, zwodniczą nauką; odstręcza obłudą i hipokryzją. Górnolotna frazeologia, wyjątkowo nie trafia do młodego pokolenia. Nie znajdując w Kościele odpowiedniego dla siebie autorytetu i oparcia, młodzi ludzie zwracają się ku innym drogom i schodzą na jeszcze większe manowce. Często jest to źródło prawdziwych tragedii dla nich samych i ich rodzin. Niedawno zdemaskowano grupę kilkudziesięciu młodych satanistów. Przez lata odprawiali swoje czarne msze, torturowali rówieśników i zwierzęta, bezczęścili zwłoki niszcząc cmentarze. Wszyscy oni pochodzili z zamożnych domów katolickich. Szczerze? - zdziwiłbym się, gdyby było i inaczej!

Nie przestanę mówić głośno o nadużyciach i wypaczeniach tak samo, jak nie przestanę bronić ofiar tego systemu. Ci zgorszeni, zranieni ludzie, niech będą żywymi wyrzutami sumień obrońców katolickiej czarnej mafii. Oni są „owocami”, po których rozpoznaliśmy działalność fałszywych

proroków.

WSTĘP

W swojej trzeciej książce nie piszę o swoich przeżyciach z okresu kapłaństwa. Nie wytykam również niezliczonych błędów doktrynalnych Kościoła rzymskokatolickiego.

Boga można czcić na wiele różnych sposobów. Zrozumiałe jest dla mnie i to, że istnieją odmienne interpretacje Pisma Świętego, choć teologowie i bibliści katolicy przeginają w tym ponad wszelką miarę. Najważniejsze jest to, czy konkretna wiara - religia, wyznanie - wpływa pozytywnie na swoich członków. Jeśli na przykład: protestanci są z reguły ludźmi gospodarnymi i pracowitymi, świadkowie Jehowy nie kradną, a wyznawcy islamu wołają mleko wielbłądzie od gorzały - to w każdej z tych religii jest bez wątpienia jakiś palec Boży. Można się śmiać np. z reinkarnacji, ale jeśli ktoś dowiedzie, że Hindusi są lepszymi ludźmi od katolików, to wara od hinduizmu! Zresztą, tak naprawdę niemal wszystkie religie opierają się na Dziesięciu przykazaniach i żadna nie namawia do czynienia zła. Jednak w moim przekonaniu - Pan Bóg bardziej „kibicuje” tym, którym udaje się wcielić słowa w czyny, a mniej tym, którzy karmią wszystkich demagogią - zamiast zmieniać świat na lepsze, zaczynając od siebie. Każde, nawet z pozoru najlepsze założenie czy przedsięwzięcie, weryfikuje w końcu praktyka, a wartościuje i ocenia końcowy skutek.

Tak więc i ja w swojej książce ograniczę się tylko do pokazania skutków - „owoców” działalności Kościoła katolickiego. Dalszą ocenę i wybór pozostawiam Wam.

Książka składa się z czterech rozdziałów. Są to autentyczne historie, autentycznych ludzi, których (z małymi wyjątkami) przedstawiam z imienia i nazwiska. Cała treść jest w sensie ścisłym faktografią, przedstawioną mi przez samych bohaterów, świadków i uczestników wydarzeń. Posiadam obszerną dokumentację, potwierdzającą prawdziwość przedstawionych faktów.

W Rozdziale I opisuję historię młodej dziewczyny uwiedzionej przez księdza.

Owocem krótkiej i romantycznej przygody jest Łukasz. Matka i małe dziecko zostali porzuceni i pozostawieni bez środków do życia. Degenerat w sutannie mieszka obecnie w Paryżu - skończył Sorbonę i robi wielką karierę w Kościele.

Z Rozdziału II dowiedziecie się, jak pewien ksiądz prałat z diecezji elbląskiej - przy współudziale swojego biskupa - okradł ludzi na 200 miliardów st. zł. Mam nadzieję, iż po ukazaniu się tej książki paru ludzi pójdzie siedzieć, a majątek Kościoła zubożeje o wyżej wymienioną kwotę.

Kolejny Rozdział zatytułowałem: „Byłem zakonnikiem”, gdyż opowiada o losach księdza zakonnego, który przed rokiem zrzucił sutannę. Są to zwierzenia napisane przez niego samego, pod moją redakcją.

Na koniec przeniosę Państwa do małej wioski na Kielecczyźnie i opowiem o tamtejszym proboszczu, który najpierw „zaliczył” matkę, a później... kupił od niej córkę, z którą ma udanego syna Marka. Historia ma posmak kryminału, ponieważ matka chłopca zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. W stan oskarżenia postawiono księdza.

Życzę owocnej lektury!

Roman Kotliński

(Jonasz)

ROZDZIAŁ I

Kościół nie może stracić

*„Oto mój sługa, którego podtrzymuję,
Wybrany mój, w którym mam upodobanie
Sprawiłem, że Duch mój na nim spoczął;
On przyniesie narodom Prawo
Nie będzie wołał ni podnosił głosu,
nie da słyszeć krzyku swego na dworze.
Nie złamie trzciny nadłamanej,
nie zagasi knotka o nikłym płomyku”*

Księga Izajasza 42,1 - 3

*„Koroną starców - synowie synów,
a chlubą synów - ojcowie”*

Księga Przysłów 17,6

*„Dlatego ojcowie będą jedli swoich synów...
a synowie jeść będą swoich ojców”*

Księga Ezechiela 5,10

Każdy, kto choć raz w swoim życiu był blisko Boga; kto przez chwilę choćby poczuł

Jego obecność w świątyni, górskim szczycie albo w drugim człowieku - nie mógł nie zadać wówczas fundamentalnego pytania: cóż mam czynić Panie? Jakim mam być człowiekiem, aby podobać się Tobie?! Jakie jest Twoje największe przykazanie?

Nie trzeba być księdzem, biskupem czy też teologiem, by odpowiedzieć zadowalająco na powyższe pytania. Nie trzeba skończyć wyższych studiów, doktoryzować się, habilitować; mieć godny status

materialny, poważanie i czystą kartotekę na policji. Trzeba tylko (a może -

aż -) po pierwsze i przede wszystkim być człowiekiem. Być człowiekiem - to znaczy dostrzec innego człowieka i nie odwracać się od niego. Człowiek, w pełnym tego słowa znaczeniu, choćby nie znał Boga - lub z jakiegoś powodu Go odrzucał - będzie jednocześnie Jego wiernym sługą, oddając Mu cześć w drugim człowieku. Obłudą jest wyznawanie miłości Bogu (którego się nie widzi i nie zna) z jednoczesnym poniżaniem innych ludzi (których się widzi i zna). Pismo Święte przepełnione jest głębokim humanizmem! Sam Bóg jest Wielkim Humanistą:

„...Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili...” (Mat. 25,40)

„...Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili i wy im czyńcie!..” (Mat. 7,12) itd.

To są fundamentalne przesłania Biblii! Świadome wykorzystywanie, niszczenie innych ludzi - zwłaszcza tych sprawiedliwych, bezradnych - „najmniejszych” - nie może podobać się Bogu i świadczy o zaniku wyższych uczuć ludzkich. Niszczenie ludzi w imieniu Boga - z Bogiem na ustach i sztandarach - woła o pomstę do nieba i świadczy o spółce z szatanem. To szczyt obłudy i hipokryzji! Ci właśnie obłudnicy i hipokryci, którzy zaprzęgli autorytet samego Boga do swych własnych interesów, knozań i rozgrywek - manipulują ludzkimi losami, depczą najdelikatniejszą sumienia, sieją zgorszenie!

„Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy, bo zamykacie królestwo niebieskie przed ludźmi!” (Mat 23,13).

Kobieta, której losy opiszę, jest ofiarą znanych nam faryzeuszy w piuskach i sutannach; obłudnych uczonych w papieskich dekretach. Krzyż, który dumnie noszą na piersiach, włożyli w tym przypadku na ramiona ufnej, bezbronnej dziewczyny -

dwudziestoletniej Basi z Łodzi. To ona była „trzcina nadłamaną” w rękach swoich ciemnych, „knotkiem o nikłym płomyku”, na który wylali swoje pomyje. Była zbyt słaba,



aby się bronić. Purpurowe szaty onieśmiały ją, czcigodne twarze dostojników budziły respekt i kazały zamilknąć. Minęło ponad dwadzieścia lat - Barbara przerwała milczenie.

Ojciec Basi, co prawda, pochodził ze wsi, ale był niezwykle ambitny. Szczytem jego chłopskich marzeń było - zamieszkać w mieście i zdobyć wyższe wykształcenie. Znalazł więc wkrótce odpowiednią dziewczynę i ożenił się. Młode małżeństwo osiadło na „Ziemi obiecanej” w małym, blokowym mieszkanku. Wkrótce przyszła na świat Basia, a w kilka lat później jej młodszy brat Głowa rodziny - z podziwu godną konsekwencją i uporem oracza -

zaczęła wówczas wdrażać w życie resztę swoich planów. Być może uznał, iż jego kobieta nie będzie się nudziła z dwójką dzieci, a on - skoro je już spłodził - może z czystym sumieniem zająć się karierą. W każdym razie rozpoczął zaoczne studia na Politechnice Łódzkiej, na Wydziale Włókienniczym i...

skończył je w wieku 46 lat W tym czasie studiowanie przerywał

trzykrotnie z uwagi na ciężką sytuację materialną rodziny. Profesorowie docenili widocznie zawziętego na naukę i ambitnego chłopca - inteligenta, skoro wkrótce zaproponowali mu stanowisko pracownika umysłowego na uczelni. Zgodził się z ochotą - nareszcie ktoś go docenił! Nie zrobił tego jednak dla rodziny, raczej jej kosztem. Kiedy pracował i studiował -

nie było go całe dnie w domu Od kiedy stał się pracownikiem umysłowym - w domu trudno było związać koniec z końcem. On był jednak szczęśliwy, zresztą rodzina aż tak bardzo go nie obchodziła. Dla dzieci był niezwykle zimny i apodyktyczny; trzymał je na dystans. Wobec żony czuł tylko kompleks swojego pochodzenia. Ona najlepiej знаła jego poczucia niższości wobec ludzi z miasta, zwłaszcza jeśli byli wykształceni Nawet dzieci szybko poznały tę słabą stronę ojca. Z politowaniem patrzyły, jak ich rodziciel jąka się i czerwieni, rozmawiając z byle mieszczuchem. Nie potrafił przeforsować swojego zdania, był w tym żaloszny. W

konsekwencji - do domu Państwa P. nikt nie był zapraszany. W ogóle atmosfera bywała raczej ciężka i to nie tylko z powodu ojca.

Matka - wspomina pani Barbara - całe życie była chora i bezwolna. Skończyła z ledwością zawodówkę, a następnie w wieku 20 lat przeszła na rentę inwalidzką. Pełniła w rodzinie funkcję dopełniacza do wątpliwego w końcu autorytetu ojca. Córka pamięta ją od zawsze jako osobę infantylną i zakompleksioną. Nigdy nie miała żadnej przyjaciółki.

Brat był i jest odzwierciedleniem matki - niezaradny życiowo, z nie ukształtowaną osobowością. Zakończył edukację na pierwszej klasie szkoły ogrodniczej. Obecnie ma 37 lat i leczy się z alkoholizmu. Mieszka ciągle z rodzicami, nigdzie nie pracuje, choć - przyznaje siostra - podobnie jak mama, jest dobrym i wrażliwym człowiekiem.

Tak więc matka wstydziała się ojca, ojciec matki, córka - rodziców i brata, który przysparzał zmartwień całej rodzinie.

Nie była to zatem rodzina o głębokich i silnych więzach; w pewnym sensie nawet chora. Rodzice nie interesowali się zbyt swoimi dziećmi, dzieci nie miały oparcia w swoich rodzicach. Nader często dochodziło do utarczek słownych i awantur, w których ojciec ujawniał naturę tyrańca i despoty. Dość powiedzieć, że gdy Basia miała lat 16 i przysłała pewnego wieczoru do domu przesiąknięta tytoniowym dymem - została przez niego dotkliwie pobita, po czym nadopiekuńczy tatuś nie odzywał się do niej przez następne ...trzy lata(!).

Przez pięć lat ignorował w ten sposób jej brata. Nie przeszkadzało mu to w systematycznym (co niedziela) odwiedzaniu świątyni i przyjmowaniu komunii Nakazane przez Kościół

praktyki religijne zawsze były w tym domu świętością. Mniej więcej w takim stylu były wychowywane dzieci u Państwa P.

Nie bez powodu nakreśliłem specyfikę środowiska rodzinnego, w jakim wychowywała się Basia. Takie, a nie inne dzieciństwo spowodowało, iż ta dziewczyna od początku i z całego serca szukała w

swoim życiu akceptacji i głębszego uczucia. Pragnęła znaleźć i obdarzyć zaufaniem jakąś bratnią duszę, człowieka, dla którego będzie kimś ważnym, kogo będzie po prostu obchodziła. Jednocześnie potrzebowała także autorytetu i oparcia. Zawsze imponowali jej ludzie niezależni, inteligentni, o szerokich horyzontach, bogatej osobowości, cieszący się szacunkiem i uznaniem innych. Patrząc na słabości własnych rodziców, jak też ułomność stosunków panujących pomiędzy nimi postanowiła, że musi być silna i niezależna, musi żyć inaczej - lepiej!

Basia, dziś 43 - letnia kobieta, po skończeniu podstawówki - gdzie wyróżniała się w nauce - poszła do Liceum nr 9, najbardziej prestiżowej szkoły średniej w Łodzi. Spotkała tam wspaniałą kobietę - pedagoga, a dokładnie nauczycielkę języka polskiego Irenę Mazurek, która zaszczepiła w niej szacunek i zamiłowanie do przedmiotów humanistycznych. Spędzały razem całe godziny na rozmowach o literaturze, sztuce, filozofii. Dziewczyna uwielbiała zwłaszcza - pod okiem ukochanej pani - analizować utwory literackie. Niestety znajomość ta wkrótce się urwała, gdyż pani Mazurek wyemigrowała wraz z mężem do USA. Basia - kiedy tylko mogła - szukała kontaktów z innymi ludźmi poza rodziną. Chciała odnaleźć własną tożsamość, aby nie poddać się uciążliwemu dla mej ubezwłasnowolnieniu, jakiego doświadczała w domu rodzinnym.

Nie opodal bloku, w którym mieszkała, była świątynia parafii Przemienienia Pańskiego. Proboszcz Adam Lepa - obecny biskup pomocniczy - prowadził bardzo prężnie ośrodek duszpasterski. Inicjował spotkania z ciekawymi ludźmi nauki, literatury i sztuki. Dla młodzieży był prawdziwym przewodnikiem po lekturach szkolnych. Organizował wieczorki studenckie, opłatki, potańcówki itp. Basia czuła się w środowisku uznanych intelektualistów, a także rówieśników o podobnych zainteresowaniach jak ryba w wodzie. Chodziła tam często, a wakacje chętnie spędzała aa tzw. oazach. Całą tę przygodę z Kościołem odbierała jako kontakt ze światem wyższych wartości, czego nie doświadczyła w domu. Zaowocowało to również zaufaniem do ludzi w sutannach, których poznała z dobrej strony, choć było to poznanie powierzchowne. Okres ten wspomina jako najszcześniejszy w swoim życiu.

Nic zatem dziwnego, że po zdaniu matury postanowiła studiować filozofię i teologię.

Było to wówczas możliwe na dwóch uczelniach katolickich - lubelskim KUL - u lub warszawskiej Akademii Teologii Katolickiej. Bliżej była ATK, więc wybór padł na Warszawę. Matka przyjęła milcząco wiadomość o planach córki, a ojciec - który się jeszcze do niej nie odzywał - w ogóle o niczym nie wiedział.

Basia, jak sama dziś przyznaje, była zawsze osobą „mało praktyczną”. Najważniejsze dla niej było w tym czasie rozwijanie walorów intelektualnych. Nie myślała zatem w ogóle, co będzie robiła po tak abstrakcyjnych kierunkach, gdzie będzie pracować, ile zarabiać itp. Po prostu z nadzieją złożyła papiery. Ta nadzieja została wystawiona na ciężką próbę, gdyż Basia oblała egzamin wstępny z rosyjskiego. Wtedy to stała się rzecz niewiarygodna. Siostra zakonna, która prowadziła sekretariat uczelni, zapamiętała miłą, nieśmiałą dziewczynę, gdy ta przyjechała po raz pierwszy z dokumentami. Kiedy więc spotkała Basię podłamaną po nieudanym egzaminie, mrugnęła do niej szelmowsko i powiedziała:

- Załatwię to jakoś, już moja w tym głowa, nie przejmuj się...

Sprytna zakonnica musiała sfałszować kartę egzaminacyjną; w każdym razie sprawa była załatwiona i nigdy się nie wydała. Faktem jest, że niektóre siostry zakonne na podobnych stanowiskach trzęsą nieraz całymi uczelniami, kuriami czy seminariami duchownymi.

Basia zatrzymała się na trzy miesiące u rodziny. Miała wówczas 21 lat i zaczynała nowy rozdział w swoim życiu. Nareszcie mogła odetchnąć pełną piersią! Od dawna marzyła, aby wyrwać się z domu, zacząć samodzielne życie. Parę groszy, które dostawała od matki i symboliczne stypendium pozwalało jakoś przeżyć. Była w siódmym niebie! Pełna optymizmu, z nadzieją spoglądała w przyszłość. Ekscytowało ją nowe środowisko -

majestatyczny gmach uczelni, utytułowani profesorowie, nowe koleżanki i koledzy. Jakże miło było przebywać, rozmawiać z rówieśnikami o podobnych poglądach, których łączył

wspólny cel. Basia nie wyróżniała się niczym szczególnym od setek innych studentek. Była wówczas (i jest nadal) młodą, prześliczną dziewczyną o filigranowej sylwetce. Kiedy chodziła po uczelnianych korytarzach, wyglądała raczej na świeżo upieczoną licealistkę, a nie studentkę. Dziś, po 23 latach nie zmieniła się niemal zupełnie.

W pierwszych dniach października 1976 roku Basia rozpoczęła studia na Wydziale Teologicznym. Nowe, abstrakcyjne przedmioty coraz bardziej ją wciągały. Minęło zaledwie kilka dni od rozpoczęcia nauki. Na jednej z przerw pomiędzy wykładami stała na szerokim korytarzu, który był centrum życia towarzyskiego studentów, wtopiona w roześmianą grupę.

W tym miejscu należy wspomnieć, iż na ATK młodzież świecka studiowała pod jednym dachem z księżmi, którzy podejmowali tam studia doktoranckie, po ukończeniu seminarium duchownego. Siłą rzeczy, te dwa środowiska były ze sobą dość luźno przemieszane. Księża mieszkali w samym gmachu uczelni, w tzw. konwikcie, nad salami wykładowymi. Przerwy wszyscy spędzali wspólnie na wspomnianym już korytarzu. Tamtego, pamiętnego dnia było podobnie.

Wtedy to po raz pierwszy Basia zobaczyła księdza Ryszarda Kalkę. Wówczas jeszcze nie rozmawiali, ale - jak się to mówi - ich spojrzenia się skrzyżowały. Paczka czterech studentów, którzy widzieli się po raz pierwszy, postanowiła gremialnie, że warto gdzieś razem wyskoczyć. Umówili się na sztukę „W małym dworku” - graną w Teatrze Małym. Na spotkanie przyszedł ksiądz Rysiek ze swoim kolegą z seminarium gnieźnieńskiego -

Wojtkiem, który jednak nie był księdzem, gdyż zrezygnował po trzecim roku, a po kilku latach zaczął studiować socjologię na ATK - u. Koleżanka Basi nie dopisała, Rozmowa po spektaklu toczyła się wokół przedstawienia i gry aktorów. Ryszard zaimponował dziewczynie dość rozległą wiedzą teatralną; był przy tym błyskotliwy i elokwentny. Basia świetnie się przy nim czuła. Nowy znajomy widocznie jej zaimponował.

Teraz słów kilka na temat księdza Kalki. Był przeciętnym, niskim blondynem w przyciemnionych okularach, o niebieskich oczach i szerokim czole. Nadrabiał wiecznym uśmiechem na twarzy. Promieniowała od niego towarzyskość. Niezwykle inteligentny i kontaktowy, zjednywał sobie wielu przyjaciół. Jego pokój w konwikcie był niemal zawsze pełen kolegów i koleżanek, których nobilitowało jego towarzystwo. Potrafił stworzyć wokół

siebie żywą, wręcz czarującą atmosferę. Pochodził z Kcyni - małego miasteczka pod Bydgoszczą. Był pierwotnym synem w „typowej”... 10 - osobowej rodzinie katolickiej.

Mama Ryśka była poczciwą Matką Polką, jakich tysiące. Ojciec zmarł przy wykańczaniu nowego domu dla licznej rodziny. Rysiek, jak przystało na pierwotnego - a w dodatku przeznaczonego do wyższych celów - był niezwykle zdolną bestią. Już później, na studiach potrafił opanować obcy język w trzy miesiące. Nic dziwnego zatem, iż powszechnie uważano go za pupilka biskupów, wysłanego na dalsze kształcenie do Warszawy. Nikt nie wątpił, że będzie to początek jego wielkiej kariery w Kościele.

Czy taki człowiek nie mógł zrobić dużego wrażenia na młodej dziewczynie, zwłaszcza takiej jak Basia? On ją po prostu oczarował!

Ich pierwsza randka - jeszcze z kolegą Ryśka w roli przyzwoitki - zakończyła się miłym wieczornym spacerem. Postanowili we trójkę, iż będą kontynuować tak mile zawartą znajomość, ale Wojtek nie miał chyba żadnych wątpliwości, że czasy przyzwoitek się skończyły.

Para - coraz bardziej zadurzonych w sobie młodych ludzi - spotkała się jeszcze kilkakrotnie. Umawiali się najczęściej na placu Komuny lub Konstytucji; szli do kina, teatru albo kawiarni. Basia była już wtedy wprost zafascynowana Ryśkiem. Po raz pierwszy w życiu naprawdę się zakochała. On również nie był zbyt powściągliwy - nie ukrywał przed nią, że świetnie się czuje w jej towarzystwie i jest nią zafascynowany. Oboje nawzajem doskonale się uzupełniali - on był świetnym mówcą, ona uwielbiała słuchać mądrych ludzi; on lubił być adorowany i hołubiony, ona znalazła wreszcie dla siebie odpowiedni autorytet. Tak jej się przynajmniej wówczas wydawało.

O sile ich młodzieńczego uczucia najlepiej świadczy fakt, iż nie upłynęło wiele czasu (niepełna miesiąc), a już zmęczeni się wspólnym chodzeniem i poszli do łóżka. Zbiegło się to w czasie ze zmianą mieszkania Basi, która nie mogła zbyt długo korzystać z grzeczności dalszej rodziny. Wynajęła do spółki z koleżanką Elą pokój z kuchnią i łazienką na Solcu.

Tam zaczął odwiedzać ją Rysiek. Ela wiedziała, że nie jest on „normalnym” chłopakiem, ale w niczym to jej nie przeszkadzało, ani nie gorszyło, tym bardziej że na początku spotkania przebiegały na stopie towarzyskiej - grali we trójkę w karty, sączyli wino i godzinami się chichrali. Przy czwartym z kolei spotkaniu Rysiek mocno się zasiedział. Wyszedł około 24, aby po kilkunastu minutach wrócić z powrotem. Okazało się, że uciekł mu ostatni autobus i nie ma się gdzie podziać. Basia spytała grzecznie koleżankę - czy wielebny może u nich przenocować. Ta bez oporów wyraziła zgodę. Były oczywiście dwa łóżka. Dziewczyny położyły się razem ale łóżko, na którym leżał Rysiek, stało w niebezpiecznie bliskiej odległości od nich. Nie muszę dodawać, że od strony czcigodnego prawiczka leżała dziewczica, bo takowego stanu była jeszcze wówczas Basia. Trudno powiedzieć, czy zadziałały hormony, czy Basi było niewygodnie z Elą, w każdym razie nasza bohaterka znalazła się dość szybko w jednym łóżku z Ryśkiem. Podobno to on był pomysłodawcą, ale ona bynajmniej nie protestowała. Pani Barbara mówi dziś o tym tak:

„Coś nas do siebie przyciągnęło... To musiało się tak skończyć. Chyba zadziałała podświadomość”.

Spragnieni siebie kochankowie padli sobie w ramiona, całowali się długo i namiętnie, tulili i pieścili

niemal do białego rana i w końcu... zasnęli. Nie, nie - to jeszcze nie teraz!

Nie doszło do szczytów rozkoszy, głównie z powodu skrupułów wobec koleżanki, która leżała przecież niespełna 2 metry od nich. Konsumpcja związku została odłożona na później. Rysiek wstał rano i jak zwykle poszedł odprawić mszę.

Pójście do łóżka z księdzem, chociażby bez zwyczajnego w takich wypadkach finału, przez jednych może być piętnowane, inni powiedzą, że to „normalka”; ale chyba każdy się domyśla, co na ten temat powiedziałby dajmy na to - prymas Polski. W każdym bądź razie nie jest to takie sobie «hop siup». Przeczytajmy, co na moje pytanie - „Czy nie miała pani oporów przed pójściem do łóżka z księdzem?” - odpowiedziała pani Barbara:

„...Nie, nie miałam oporów, ponieważ patrzyłam na niego przede wszystkim jak na człowieka, z którym jest mi dobrze, z którym czuję się bezpiecznie, który mnie rozumie. Być może były to braki w moim dzieciństwie, w moim wychowaniu - że głównie szukałam u mężczyzn oparcia psychicznego, potwierdzenia własnej tożsamości i poczucia bezpieczeństwa. Szukałam dokładnie tego - teraz mogę to powiedzieć jako dojrzała kobieta -

czego nie otrzymywałam przez całe dzieciństwo. Zawsze, nawet jako małe dziecko, byłam traktowana na dystans; chyba dlatego nie wzbraniałam się przed zbliżeniem z mężczyzną takim jak Rysiek...”

„...Tak, byłam zakochana, ale przede wszystkim była to fascynacja. Fascynacja...

niewątpliwie intelektem tego człowieka, łatwością wypowiedzania własnych myśli. Świetnie się rozumieliśmy. Było nam razem naprawdę cudownie...”

Po tej pierwszej łóżkowej przymiarce spotykali się codziennie - u niej w pokoju, w kawiarni, kinie, teatrze. Uwielbiali długie wspólne spacerunki. Pielęgowali prawdziwe, głębokie uczucie, które rodziło się równocześnie w ich sercach. Nie chcieli spłoszyć czegoś, co oboje odczuwali jako piękne i wzniosłe. Delektowali się wzajemną bliskością. Choć ich kontakty fizyczne ograniczały się do pocałunków i gorących uścisków, niczego więcej im nie brakowało. Wiedzieli, że są wszystkim dla siebie. Było to bardziej uczucie intelektualne niż zmysłowe. Tak przynajmniej odczuwała to Basia. Wyznali sobie nawzajem miłość. Żyli i upajali się każdą wspólnie spędzoną chwilą. W takim stanie radosnego oczekiwania minęła im druga połowa listopada.

Jak powszechnie wiadomo, „krew nie woda” - nasi bohaterowie mieli w końcu po dwadzieścia kilka lat i byli (nie licząc ślubów celibatu, przysięgi na wierność biskupowi i święceń kapłańskich) zupełnie wolni. Jak to więc zwykle na tej szerokości geograficznej bywa - inicjatywę przejął mężczyzna.

Przyszedł dzień 4 grudnia - imieniny Barbary. Solenizantka ochoczo przygotowywała skromne przyjęcie wiedząc, że ukochany jej nie zawiedzie. Przyjechali już wszyscy goście, w tym również z Łodzi dwie koleżanki z kolegą, a Ryszarda jeszcze nie było. Wpadł jako ostatni, wypił kieliszek wina, wstał i jako jedyny w towarzystwie ksiądz - czyli gwóźdź

programu - palnął krótką okolicznościową przemowę; po czym wyraził ubolewanie z powodu... braku czasu. Miał jakoby niecierpiące zwłoki obowiązki na parafii w Pyrach pod Warszawą, gdzie zastępował proboszcza. Zaproponował wspaniałomyślnie, aby cała paczka pojechała wraz z nim do tamtejszej rezydencji (czyt. plebanii). Towarzystwo - w sumie osiem osób - zgodziło się ochoczo na zmianę lokalu. Rezydencja dobrodzieja w Pyrach to przecież nie wynajmowany pokój na Solcu.

Rzeczywiście plebania wyglądała imponująco. Na dole mieszkały siostry zakonne gotowe do wszelkich posług. Obszerne piętro willi zrobiło na ubogich studentach wielkie wrażenie. Ogromne, komfortowo urządzone, zadbane pokoje; wielkie, zabytkowe łóża z baldachimami w sypialniach; majestatyczne obrazy w złoconych ramach (w tym podobno jeden Caravaggia!); srebrne lichtarze i antyczne meble - to wszystko stwarzało raczej wrażenie muzeum niż plebanii Młodzież, po krótkiej, wesołej balandze rozeszła się po pokojach.

Rysiek poprowadził Basię do sypialni godnej hetmana Sobieskiego i Marysieńki.

Rozebrał ją do naga i ułożył na miękkiej pościeli. Sam szybko pozbył się ubrania. Młodzi kochankowie przywarli do siebie drżącymi z podniecenia ciałami. Obydwoje nie mieli żadnych wcześniejszych doświadczeń seksualnych. Zabiegi Ryśka, do którego należała cała inicjatywa, były nadzwyczaj nieporadne. Bał się, że nie zdąży doprowadzić sprawy do końca, więc nie przeciągał zbytnio wstępnych pieszczot. Z największym trudem udało mu się odnaleźć drogę do wnętrza dziewczyny. Po kilku ruchach było już po wszystkim. Chociaż chłopak „przeżył to sam”, Basia była również szczęśliwa - oddała się temu, którego pokochała pierwszą, prawdziwą miłością. Zasnęli wtuleni w siebie i tak też zastał ich dzień.

Ryszard zerwał się pierwszy. Po rannej mszy miał obowiązkowe wykłady na uczelni.

Zastrzegł dziewczynie, że na parter muszą zejść osobno tak, aby siostry nie domyśliły się więcej niż potrzeba. Reszta towarzystwa pojechała wcześniej taksówką do Warszawy. Rysiek także zamówił „taryfę” i oboje po kilkunastu minutach znaleźli się w stolicy. Byli weseli, zadowoleni z tego, co przydarzyło im się w nocy. Tym razem ich związek został w pełni consumatum i świetnie się z tym oboje czuli. Ale oddajmy jeszcze raz głos pani Barbarze:

„...Ryszard wielokrotnie mówił mi, że mnie kocha. Sposób, w jaki mnie traktował oraz waga, jaką przywiązywał do naszego związku (o czym wielokrotnie zapewniał) - to wszystko nie budziło wątpliwości, że bardzo mu na mnie zależy. Powiedział na swój sposób, iż fakt bliskości ze mną liczy się dla niego najbardziej. To, co się wydarzyło? Patrzyłam na to w sposób tak naturalny... Tak bezpiecznie się czułam przy tym człowieku. Miałam świadomość, że żadne z nas nie robi sobie krzywdy i że to uczucie będzie się dalej rozwijało. Nie myślałam

- jak to się wszystko dalej potoczy, że on jest księdzem - nie zastanawiałam się nad tym. Nie bałam się niczego, bo byłam z człowiekiem, na którym mogłam polegać. Może to miłość tak mnie zaślepiła...?”

Spotykali się jak dotąd ukryci skutecznie przed wścibskim wzrokiem kogokolwiek, w gwarze wielkiego miasta. Kolejne dwa zbliżenia miały miejsce w nowym mieszkaniu, które Basia po namowach Ryśka wynajęła (za własne pieniądze). Kochankowie mieli teraz do dyspozycji cały pokój

tylko dla siebie. Tak, jak za pierwszym razem, tak i potem dziewczyna nie odczuwała pełnej satysfakcji ze współżycia, ale nie miała innych doświadczeń, więc myślała, iż tak to musi wyglądać. Wystarczyło jej poczucie bliskości i spełnienie partnera.

Trzeba przyznać, że Rysiek niczego specjalnego jej nie obiecywał. Mówił ogólnikami.

Przekonywał o tym - jak ważny jest dla niego ten związek, jak wiele mu daje jej obecność.

Zapewniał o swojej miłości i lojalności. Chciał jak gdyby ustawić się od początku na pozycji bardziej przyjaciela niż kochanka. Z czasem chyba coraz bardziej nawet bał się takiego odbioru. Nigdy nie dał Basi żadnego upominku ani nawet kwiatka. Zapewne też w głębi serca walczył sam ze sobą i bronił się przed dwulicowością. Jakby mimochodem, ale w miarę często zaznaczał, że całą swoją przyszłość wiąże z Kościołem i kapłaństwem. Basia nie wymuszała na nim żadnych zapewnień o wspólnej przyszłości i małżeństwie. Ona również chciała być przede wszystkim niezależna. Nie czuła wówczas zupełnie potrzeby założenia rodziny. Ryszard był jak najdalej od takich obietnic. Dziewczyna była pewna tylko jednego -

że niezależnie od tego, jak się rozwinie ich uczucie i cokolwiek się stanie - Rysiek będzie zawsze dla niej przyjacielem, nie będzie potrafił jej skrzywdzić. Po prostu bezgranicznie mu ufała. Dzisiaj mówi o tym tak:

„...Teraz wiem, że właściwie byłam dla niego tylko epizodem, rekwizytem. Tak naprawdę traktował mnie tylko instrumentalnie, a całą naszą znajomość jak fajną przygodę.

Chciał chyba tylko nasycić swoją ciekawość bliskości z kobietą...”.

Pod koniec grudnia Basia zaczęła odczuwać bóle brzucha.. Kilka razy wymiotowała.

Przestraszyła się, że może być w ciąży. Poszła do lekarza, który wziął ją za niezłą panikarę.

- Jak możesz być w ciąży, skoro masz błonę dziewiczą!? - oznajmił.

Klasyczne objawy ciążowe jednak nie ustępowały. Kolejna wizyta u prywatnego lekarza na Marszałkowskiej była już bardziej owocna.

- To mniej więcej połowa trzeciego miesiąca, nie ma cienia wątpliwości - skwitował

ginekolog. Błona dziewicza jak była, tak była. Takie rzeczy się zdarzają.

Dziewczyna poczuła, że zapada się pod nią grunt Zakręciło jej się w głowie. Nie słyszała co dalej mówił lekarz. Wyszła blada z gabinetu, przeszła przez poczekalnię i wyszła na powietrze.

- Pani płaszcz! - usłyszała za sobą głos jakiegoś mężczyzny Był to mąż jednej z oczekujących na wizytę kobiet Trzymał w ręku jej zimowe palto, a ona przez chwilę nie wiedziała o co mu chodzi.

Chciała być sama. Po raz pierwszy w zupełnej samotności, zamknięta w pokoju - na zimno analizowała swoją sytuację i to wszystko, co ją poprzedziło. Dotarły do niej zdecydowane słowa

Ryśka - „...Ja swoją przyszłość wiązę tylko z kapłaństwem, nie widzę się poza nim. Mam powołanie i chcę pracować tylko jako ksiądz...”.

Nie miała najmniejszych złudzeń co do jego reakcji. Zobaczyła wyraźnie siebie na marginesie kapłańskiego życia Ryszarda.

- Przecież ja cały czas byłam tylko dodatkiem do jego kapłaństwa, studiów, kariery, spokojnego życia, które prowadził - uświadamiała samą siebie. Odczuła głęboki smutek.

Jej sytuacja była nie do pozazdroszczenia, wręcz katastrofalna! Do tej pory musiała solidnie oszczędzać na jedzeniu, aby opłacić pokój, kupić podręczniki, coś niezbędnego do ubrania. Symboliczne stypendium i parę groszy, które przysyłała jej matka, nie starczało nawet na podstawowe potrzeby. Bywały takie dni, że chodziła głodna. W ogóle była niedożywiona i bardzo wątpła. Teraz powinna się lepiej odżywiać, odpoczywać, kupić ciężowe sukienki. Wiedziała, że dalsze studia na Katolickiej Akademii ze sterczącym brzuchem nie wchodzi w grę. Cóż zatem pozostawało - praca dla ciężarnej!? O pomocy ze strony rodziców nawet nie myślała; ale przecież sama sobie nie poradzi. Stopniowo - drogą eliminacji i logicznego myślenia - na liście organizacji charytatywnych pozostał Rysiek. Jej Rysiek!

Który tak często przekonywał ją o swojej miłości i oddaniu, któremu jeszcze w głębi serca ufała. On był jej ostatnią deską ratunku.

- W końcu to ojciec mojego, naszego dziecka - pomyślała - i z nadzieją zasnęła.

Następnego dnia zadzwoniła do niego z samego rana; umówili się wieczorem u niej w pokoju. Kiedy wszedł, bez żadnych wstępów oznajmiła mu sakramentalnie:

- Jestem w ciąży.

Ryszard zachował zimną krew i kamienną twarz. Podumał przez chwilę i powiedział

„rzeczowo”:

- Cóż..., dziecko to dobra rzecz, to coś pozytywnego - To jest dobro. Dobrze się stało.

Ten młody kapłan był z wykształcenia homiletą, należy jednak przypuszczać, iż wiernym na kazaniach nie wciskał podobnych ogólników, a jeśli tak, to biedni byli jego parafianie! Wobec Basi ten styl zachował od początku do końca. Tylko, że ona nie mogła wyjść w środku homilii; dla niej te słowa wyznaczały przyszłość.

O dziwo jednak (a może - „o naiwności!”), przyszłą matkę te „deklaracje” i

„zobowiązania” ze strony przyszłego ojca zupełnie uspokoiły. Może chciała wierzyć w to, że wszystko będzie dobrze. Ale przecież on niczego takiego nawet nie powiedział! Z pewnością natomiast jadła mu ciągle z ręki i poddawała się bez przeszkód jego intelektualnemu smęceniu.

Ta rozmowa miała na szczęście także charakter bardziej wymierny. Kiedy Basia zorientowała się w

końcu, że poza rozgrzeszeniem Rysiek jej w niczym nie pomógł, zapytała

- kiedy ten zbierał się już do wyjścia:

- A co ze mną teraz będzie? Co będzie z dzieckiem? Na pewno nie mogę wrócić do rodziców. Co ze studiami...?

Rysiek popatrzył na nią zaskoczony tak, jakby chciał zapytać - to ty masz jakieś potrzeby???

W końcu jednak poczynili pewne ustalenia, a właściwie zrobił to on. Skoro Basia zastrzegła stanowczo, iż nie wróci do Łodzi (ojciec jeszcze się do niej nie odzywał), młody kapłan dostrzegł wreszcie problem jej dalszego przeżycia. Wpadł na genialny pomysł:

- Przede wszystkim, kochanie, musisz iść... do pracy, potrzebne ci będą przecież jakieś pieniądze. Studia odpadają. Wyjedziesz do Bydgoszczy. Postaram się załatwić ci tam jakieś zajęcie. A dziecko - jak już się urodzi zawieszysz do mojej matki; ja jej o wszystkim powiem.

Było to bardzo wspaniałomyślne z jego strony i Basia o nic więcej nie śmiała już pytać. Postanowiła wziąć roczny urlop dziekański na uczelni, ponieważ nie wyobrażała sobie pogrzebienia studiów. Rysiek sugerował, aby po odchowaniu dziecka przeniosła się na inny kierunek, np. na pedagogikę do Bydgoszczy. Chciał ją mieć niewątpliwie głową”, przynajmniej w Warszawie.

Basia zadzwoniła do swojej matki, która po kilku dniach przyjechała. Na wieść o błogosławionym stanie córki zaczęła głośno płakać. Nie ukoła ją wcale wieść o statusie przyszłego ojca - rozplakała się jeszcze bardziej. Basia uspokajała ją jak mogła; przekonywała, że - jest silna, młoda i nie ma zamiaru z niczego rezygnować.

- Wszystko się ułoży... - mówiła. Co ciekawe, rzeczywiście tak wówczas myślała.

Wcale nie była pesymistką! Podtrzymywała ją... siła argumentacji jej idola w sutannie -

„...dziecko to coś dobrego...” Ale co to miało oznaczać na przyszłość..?

Mama Basi - jak się okazało - wymogła na ojcu, aby ten spotkał się z niedoszłym zięciem. Zostali umówieni za pośrednictwem Basi, która niczego przed tym spotkaniem żadnemu z nich nie sugerowała. w głębi serca miała tylko nadzieję, że z rozmowy dwóch - w końcu bliskich jej mężczyzn - wyniknie dla niej coś dobrego. Ksiądz Ryszard pofatygował się do seniora rodu P. do Łodzi. Wrócił do Basi rozanielony, w świetnym humorze.

- Masz wspaniałego tatę - powiedział wesoło na przywitaniu.

- O czym rozmawialiście? - spytała zaciekawiona dziewczyna.

- Twój ojciec zapytał tylko, co zamierzam robić. Odpowiedziałem naturalnie, że ja przyjechałem do Warszawy się uczyć i mam zamiar pozostać księdzem - tak, jak to ustaliliśmy... I to wszystko, cała rozmowa na ten temat...

Aby zrozumieć postawę pana P., należy pamiętać, iż w kontaktach z innymi ludźmi był to człowiek zakompleksiony i bezwolny. W odniesieniu do ludzi wykształconych zachowywał się jak przyłapany na papierosie sztabak. Natomiast z księżmi w ogóle nie potrafił rozmawiać, no bo właściwie - o czym? - skoro osoba duchowna i tak ma zawsze rację. Już tak go na wsi wychowali, że z księdzem się nie dyskutuje, księdza się słucha! Sam fakt obecności kapłana w jego Mieszkanie był i tak dla niego wystarczającym przeżyciem.

Jedynym wynikiem tej rozmowy było być może to, iż kiedy Basia przyjechała do Łodzi, aby urodzić dziecko, ojciec odezwał się do niej pierwszy raz po trzech latach milczenia i zaczął ją traktować jak własną córkę. Być może imponowało mu, że jego latorośl została „uświęcona” kapłańskim nasieniem. W końcu nie zdarza się to każdej dziewczynie.

Był luty 1977 roku. Basia załatwiła sobie - nie bez problemów - roczny urlop dziekański. Podstawą było kupione od lekarza zaświadczenie jakoby była chora na nerwicę, a także zeznanie o ciężkiej chorobie matki. Samo załatwienie urlopu po pierwszym semestrze pierwszego roku było na ATK precedensem. Pomogła w tym wspomniana już siostra urszulanka z sekretariatu. Basia wyjechała do Bydgoszczy, natomiast Rysiek został w Warszawie, aby w spokoju pisać doktorat z homiletyki. Na pożegnanie obiecywał

dziewczynie wszechstronną pomoc ze strony swojej rodziny, która mieszkała kilkanaście kilometrów od Bydgoszczy - w Kcyni. Takiej pomocy Basia nigdy nie doświadczyła. Co prawda pojechała do matki Ryszarda, ale ta przywitała ją ze zdziwioną miną i takim mniej więcej tekstem:

- To pani nie jest Joasia!? Byłam przekonana, że Rysiek ma dziecko z Joasią Czarnecką; przywiózł ją kiedyś ze studiów do domu...

Nawiasem mówiąc, wspomniana dziewczyna została chrzestną Basi synka i nigdy, w żaden sposób mu nie pomogła. Mama Rysia była i jest nadal typową księżą mamuszką -

zapatrzoną ślepo w swojego pierworodnego wybrańca; w dodatku bezwolną i infantylną.

Synek urabiał ją jak tylko chciał. Dla Basi była dość grzeczna, ale tylko na stopie towarzyskiej. O ciąży czy samopoczuciu ciężarnej w ogóle nie wspominała, choć dobrze o wszystkim wiedziała. Wypełniała zawsze ściśle instrukcje swojego Rysia.

Dziewczyna, która wówczas w piątym miesiącu widocznie się już zaokrągliła, była zbyt subtelna, a zarazem dumna, aby kogokolwiek o cokolwiek prosić. Nie robiła tego nigdy poza dwoma wyjątkami (o czym później). Wynajęła pokój w Bydgoszczy i sama załatwiła sobie pracę w poradni przeciwalkoholowej. Pracowała jako pomoc dentysty przez trzy następne miesiące. Rysiek nie odwiedził jej ani razu. Pod koniec czerwca została zwolniona z uwagi na zaawansowaną ciążę. Tymczasem rozumiała, że jest opuszczona przez wszystkich i nikogo nie obchodzi jej los. Nie miała obok siebie żadnej przychylniej osoby, nie licząc ludzi, z którymi zetknęła się w miejscu zamieszkania oraz w pracy. Jednak również z ich strony odbierała podejrzliwe, pytające spojrzenia. Samotna panna w ciąży, przyjeżdżająca do nieznanego miasta, musiała budzić choć trochę niezdrowych emocji. To było straszne dla młodej dziewczyny, która za parę miesięcy miała urodzić pierwsze dziecko. Oprócz tego zupełnie sama borykała się ciągle z wieloma kłopotami i szarego życia. Zarobionych

pieniędzy starczało zaledwie na opłacenie mieszkania i bardzo skromne wyżywienie. Wolny czas spędzała zazwyczaj w kolejkach. Czasami nie miała już na to wszystko sił, tym bardziej że ciążę znosiła dość ciężko. Jedyne oparcie - jakiegokolwiek by ono było - mogła szukać tylko w domu rodzinnym.

Na początku lipca przyjechała do Łodzi i zamieszkała u rodziców. Przyjęli ją dość przychylnie. Miała od tej pory zapewnioną przynajmniej podstawową egzystencję. Do rozwiązania pozostały dwa miesiące. W tym czasie Rysiek odwiedził ją trzy razy. Jego wizyty trwały średnio około godziny. Zawsze przyjeżdżał pociągami i „od proga” spieszył się na ten ostatni, powrotny. Kiedyś poszli razem na krótko do najbliższej przyjaciółki Basi, wspomnianej już nauczycielki Ireny Mazurek. Była dużo starsza od swojej uczennicy, ale jako jedyna potrafiła autentycznie wczuć się w jej położenie. Doświadczona belferka słynęła z niemal bezbłędnej, kobiecej intuicji. Po jakimś czasie kobiety znowu się spotkały, tym razem już w cztery oczy. Irena szczerze, aczkolwiek z wielką troską, powiedziała wówczas:

- Basieńko, nie chcę cię ranić..., ale tak bardzo żałuję, że nie znałam wcześniej tego człowieka. To zwykły karierowicz, pozbawiony wyższych uczuć egoista. Jestem pewna, że się nie mylę. Lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś usunęła tę ciążę. Teraz jest już za późno. Jak urodzisz dziecko, będziemy myśleć co dalej...

Basia strasznie się rozplakała. Miała wielkie zaufanie do swojej przyjaciółki i może właśnie dlatego te słowa zadały jej taki ból - poraziły nagą prawdą i w jednej chwili pozbawiły reszty złudzeń.

Nadchodził termin rozwiązania - jak się okazało źle wyznaczony przez lekarza, w związku z czym Basia przeleżała w szpitalu w sumie trzy tygodnie. Drugiego września przyszedł na świat Łukasz. Młoda matka przyjęła go jak jedyną pociechę; nie była już sama.

Musiała dać namiary na ojca dziecka. Nie chciała nawet kontaktować się z nim w tej sprawie. Zaoszczędziła sobie dodatkowego bólu i zbędnych pytań ze strony pielęgniarek -

sama podała, że ojciec nie żyje. Zrobiła to przede wszystkim dla niego, choć dzisiaj tego żałuje. Wtedy jednak ciągle - wbrew sobie samej... kochała go. Leżąc całymi dniami na szpitalnym łóżku myślała o nim, o dziecku i o swojej sytuacji. Nie była nawet utrzymanką -

konkubiną księdza; on zrobił z niej raczej dziwkę - prostytutkę na raz czy dwa, bo przecież właśnie tak - bez żadnych zobowiązań - spółkuje się z przygodnymi kurwami.

- Ale zaraz... one dostają za to niezłe pieniądze... - zatem nie jestem dla niego nawet dziwką. Tak traktowane są ladacznice i najgorsze szmaty - kalkulowała na zimno dziewczyna.

Nie było chyba aż tak źle, skoro szczęśliwy tatuś dwa lub trzy razy zadzwonił do szpitala i życzył matce i jej dziecku „dużo zdrowia”. Obiecał też „życziwą pamięć w modlitwach”. Nie wiśmy go za to, że nie złożył tych życzeń osobiście. Studia doktoranckie są absorbujące, a z naszym studentem wiązano szczególne nadzieje dla Kościoła...

Jako pierwsza odwiedziła Basię Irena. Przyniosła prezenty dla niej i dziecka - niemal całą

wyprawkę! Po jakimś czasie przyszli również rodzice.

Rysiek zjawiał się, gdy była już w domu. Chyba z uwagi na to, że za parę dni było

„Święto Zmarłych” - kupił jej... chryzantemy - pierwsze i ostatnie kwiaty, jakie od niego dostała. Upewnił się co do dobrego samopoczucia matki i dziecka; opowiedział jak fajnie jest na studiach, po czym - na odchodne - podszedł do łóżeczka, wyciągnął Łukaszka jak królika za obie rączki i powiedział:

- Wiesz, Basiu, muszę już jechać, mam zaraz ostatni pociąg... Pożegnał się i wyszedł.

Dziewczyna w tym momencie zrozumiała, że Łukasz nigdy nie będzie miał ojca.

Ksiądz Ryszard miał przed sobą drugi rok robienia doktoratu, kiedy - jako wzorowemu studentowi - dano mu kolejną możliwość dorobienia paru groszy. Miał pracować duszpastersko (m.in. prowadzić rekolekcje) w Ustroniu Morskim, w charakterze prawej ręki proboszcza Zenona Ziętkiewicza, kapłana bardzo postępowego i rozrywkowego. Basia została tam zaproszona wkrótce po wizycie Ryśka w Łodzi. Nad morzem mogła odpocząć po porodzie, ale była jeszcze zbyt słaba na taki wyjazd. Samo zaproszenie bardzo ją jednak ucieszyło. Każdy przejaw zainteresowania ze strony Ryśka był dla niej jak promyk słońca, wyzierający zza ciemnych chmur jego obojętności. Napawał... nadzieją. Do wyjazdu do Ustronia na początku listopada zmusiła ją w końcu raczej bieda niż chęć odpoczynku nad morzem. Miała tam przyobiecana pracę w charakterze katechetki i faktycznie pracowała w ten sposób przez dwa miesiące. Wieczorami u proboszcza zjawiali się jego koledzy po fachu i inne towarzystwo płci obojga. Wszyscy grali namiętnie w brydża. Nauczyła się także Basia, choć zazwyczaj nie brała udziału w grze. Robiła za kelnerkę roznoszącą gościom drinki.

Napatrzyła się i nasłuchiwała przez ten czas o księżach przyjeżdżających do wczasowej parafii księdza Ziętkiewicza. O wszystkim opowiadał jej sam gospodarz bez żadnych ogródek. Kapłani traktowali jego parafię niczym azyl. Wpadali tam zazwyczaj z dziewczynami lub po dziewczyny, które załatwiał im Ziętkiewicz. Najczęściej były to studentki. Dochodziło do komicznych sytuacji zwłaszcza latem, kiedy zupełnie nagie, młode kobiety opalały się lub myły przed plebanią. Sam proboszcz ustawił się w inny sposób. Wziął

z domu dziecka na wychowanie dziewczynkę (podobno nawet ją adoptował). Przystosował

sobie dziecko do tego - co i jak - każda kobieta powinna ofiarować mężczyźnie. Jednym słowem, wyszkolił ją w sprawach łóżkowych i miał metę we własnej sypialni, a w dodatku superalibi - wychowanka mogła zawsze przebywać u przybranego tatusia.

Basia spotkała w Ustroniu młodego, zakochanego księdza. Prowadzili długie i szczerze rozmowy o jej i jego położeniu. On mówił o obłudzie, jaka panuje w szeregach duchownych, o podwójnym życiu, na które nie chce się zgodzić. Ksiądz Stanisław był na zabój zakochany w studentce ATK. Nazywała się Jola Parol i mogła być chyba miss czelni - gdyby organizowano takie wybory - miała piękną figurę i urodę Cyganki o kruczoczarnych włosach.

Kapłan za nią naprawdę szalał. Pokazał ją kiedyś Basi w Warszawie, gdy spotkali się na sławnym

korytarzu. On miał 38 lat, a ona 25. Jest to normalna różnica wieku w związkach księży z dziewczynami, którymi są nierzadko ich uczennice. Związek Stasia i Joli przetrwał

próbę czasu i święceń. Oboje ukończyli ATK, po czym pobrali się i wyjechali do Gdańska.

Ksiądz Ziętkiewicz wiedział o sytuacji, w jakiej znajdowała się Basia. Poinformował

go sam Rysiek. Zapewne w ramach kapłańskiej solidarności i na wszelki wypadek, doświadczony kapłan ostrzegał dziewczynę, żeby zbyt wiele sobie po „księdzu” nie obiecywała:

- Czy myślisz, że kobieta może wypełnić księdzu całe życie? Nie łudź się..!

Basia spędziła w Ustroniu święta Bożego Narodzenia. Pod choinkę ksiądz proboszcz ofiarował trzem kobietom (Basi, gospodyni i swojej „dziewczynce”) trzy komplety damskiej bielizny. Wszystkie pasowały idealnie - miał oko znawca!

Wśród znanych nazwisk stałych bywalców Ustronia trzeba wymienić czcigodnego ojca Krąpca - ówczesnego rektora KUL - u.

Zbliżał się początek drugiego semestru studiów. Basia zaczęła obsesyjnie myśleć o powrocie na uczelnię. U rodziców czuła się ciągle źle. Nie chciała też być dla nich ciężarem.

Broniła się jednak przede wszystkim przed pogrzebaniem swoich marzeń i życiowych planów. W Łodzi mogła przeżyć, ale ona miała tylko 22 lata i chciała żyć. Postanowiła, że za wszelką cenę wznowi studia na ATK. Po raz kolejny stanął przed nią problem finansów.

Gotowa była jeść suchy chleb (co jej się zresztą zdarzało), ale trzeba było też gdzieś mieszkać, w coś się ubrać, kupić podręczniki. I znowu symboliczne stypendium i parę groszy z domu musiało załatwić sprawę. Tym razem jednak bieda doskwierała jej wyjątkowo dotkliwie. Osłabiona porodem i karmieniem, nie mogła tak łatwo oszukać głodu. Wynajęła pokój na Żoliborzu, do spółki z koleżanką Olą.

W tym czasie na studia wrócił również Rysiek. Pieniądzy miał jak lodu. Nie mogło być inaczej. Basia dowiedziała się później od jego matki, że otrzymywał z domu okrągłe sumki (m.in. z przeznaczeniem dla Basi i dziecka...) i całe walizy wędlin (widziała je dwukrotnie sama dziewczyna) od ojca, który wówczas jeszcze żył i pracował w zakładach mięsnych. Poza tym, musiał codziennie odprawić minimum jedną mszę. Z tzw. intencji mszalnych wyciąga się co najmniej średnią krajową. Do tego dochodziły dochody z zastępstw na parafii, wypłaty z tytułu prowadzonych rekolekcji itp. Mógł więc ksiądz Ryszard, bez dużego obciążenia dla swojego studenckiego budżetu wynająć Basi pokój w Warszawie i utrzymywać ją oraz ich wspólne dziecko, jak przystało na odpowiedzialnego mężczyznę.

Ponieważ był z niego tylko kawał świni, nie tylko tego nie zrobił, ale nie dał na własne dziecko ani grosza!!!

Nadmiarem jego łaskawości była wspomniana już propozycja podrzucenia Łukaszka matce do Kcyni. Tak też się stało, wkrótce po tym, jak Basia wróciła na studia. Nie chciała rozstawać się z

trzymiesięcznym dzieckiem, ale wiedziała, że musi to zrobić także dla niego.

Wtedy takie wyjście wydawało się konieczne i logiczne. Była to - jakby nie było - jakaś pomoc ze strony niedoszłej teściowej; genialny pomysł jej genialnego synka. Mały Łukasz miał być - przynajmniej na jakiś czas - dziewiątym, najmłodszym dzieckiem pani Łucji Kalka. Dopiero po czasie wyszło na jaw, iż w rzeczywistości wszystko to było zbrodniczą, podłą intrygą księdza Ryszarda. Na razie jednak pozbył się pierwородnego z Warszawy.

Przed tym faktem jednak małego wypadało ochrzcić. Ceremonia odbyła się w Łodzi, a chrzestnymi zostały dwie osoby spoza dwóch rodzin, które jako jedyne wiedziały o istnieniu Łukasza - wspomniani już Joanna Czarnecka oraz Wojtek Jabłoński - oboje byli przyjaciółmi Ryśka. Cała ich misja tudzież liczne zadania i obowiązki rodziców chrzestnych -

polegały do dnia dzisiejszego na trzymaniu dziecka w czasie chrztu. O dziwo - ku miłemu zaskoczeniu Basi - na uroczystości zjawił się również sam rodziciel. Stał z boku w bezpiecznej odległości. Nie trzeba chyba dodawać, że to Basia zapłacała za chrzest. Przy opłacaniu sakramentu podała, że - ojciec nie żyje - tak przykazał jej Rysiek.

Trudno powiedzieć czy to sprawiła bieda, czy zdrowy rozsądek, w każdym razie do Basi zaczęło docierać, że ze strony Ryśka należy się jej i dziecku jakieś wsparcie finansowe.

Chociaż mały przebywał u Kalków, dziewczyna miała ciągłe obawy, czy dziecko ma tam zapewnioną odpowiednią opiekę. Poza tym, jego utrzymanie ciągle należało do niej, a ona nie miała za co kupić mu nawet śpioszków. Zaczęła więc szukać kontaktu z Ryśkiem. On - jak się okazało - zmienił zupełnie swój sposób bycia. Nie prowadził już tak jak dawniej życia towarzyskiego. Jego pokój był wiecznie zamknięty. Najwidoczniej unikał dziewczyny, jakby przeczuwał jej intencje. W końcu jednak spotkała go samego na korytarzu, podeszła i z miejsca, żeby jej nie uciekł powiedziała:

- Cześć! Słuchaj Rysiek, jest mi bardzo ciężko. Nie starcza mi nawet na mleko dla Łukasza!

Na to on odpowiedział szybko i stanowczo:

- Szczęść Boże, nie mam pieniędzy. Do widzenia...

Sytuacja ta powtórzyła się mniej więcej po pół roku. Dziecko było już wtedy z Basią i bardzo zachorowało. Zrozpaczona matka - chociaż poprzysięgła sobie, że nigdy o nic więcej nie poprosi zwyrodnialca - musiała wyżebrać choć trochę pieniędzy na lekarstwa. Usłyszała dokładnie te same słowa, jak za pierwszym razem.

Do Łukasza, kiedy był jeszcze w Kcyni, jeździła co tydzień, chyba że nie miała na podróż. Kiedyś poskarżyła się matce Ryśka. Powie - działa otwarcie o swojej katastrofalnej sytuacji materialnej. Pani Łucja zaczęła rwać włosy z głowy.

- Przecież my dajemy mu tyle pieniędzy! Tyle pieniędzy, ile on nas kosztuje! Byłam przekonana, że to wszystko oddaje tobie..!

Matka Ryśka podjęła nawet pracę jako katecheta, aby wspomóc swojego księżyka; pracuje w tym charakterze do dzisiaj, nieprzerwanie przez 12 lat.

Był koniec roku akademickiego. Zbliżały się wakacje. Basia już wcześniej postanowiła sobie solennie, iż zrobi wszystko, aby być przez całe trzy miesiące z Łukaszem.

W Kcyni było to niemożliwe, w domu rodzinnym raczej też. Za cudem zaoszczędzone pieniądze ze stypendium oraz kilku dorywczych prac, których podejmowała się w Warszawie

- opłaciła trzymiesięczne letnisko w Grotnikach pod Łodzią. Łukasz nauczył się tam chodzić.

Adres letniska przesłała Ryśkowi, łudząc się, że może przyjedzie na jakiś czas. Nie chodziło jej już wówczas o siebie. O jakimkolwiek związku z tym człowiekiem przestała już nawet marzyć, choć wiedziała, że inni księża potrafią pogodzić jedno życie z drugim, chociażby dla dobra dzieci. Myślała o Łukaszu, który mógłby obudzić w Ryśku jakieś ojcowskie uczucia.

- Czy to maleństwo zasłużyło sobie na życie bez taty!? Przywoływała w pamięci jakże świeże wspomnienia - wyznania miłości, obietnice przyjaźni „po sam grób...”, deklaracje lojalności i pomocy - „cokolwiek by się stało...”. I to mówił ten sam człowiek?!

Pod koniec września Basia musiała z konieczności znowu odstawić dziecko do Kcyni.

Sama zaczęła drugi rok studiów. Rysiek ciągle jej unikał. Od znajomych dowiedziała się wówczas po raz pierwszy, że postawę studenta ATK - propozycję kontynuowania studiów w Paryżu.

Tymczasem nastąpił niekontrolowany przeciek - zaczęły krążyć pogłoski o Basi, Ryśku i ich dziecku. Prawdopodobnie wiedziały o tym również władze uczelni. Do pokoju dziewczyny zaczął przychodzić Krzysztof - zaufany kapuś rektora, powszechnie znany aktywista i lizus. Za każdym razem, w sposób bardzo obcesowy, zadawał Basi niedyskretne pytania: co zrobiła z pieniędzmi ze stypendium, dlaczego nie kupuje dziecku niezbędnych rzeczy, dlaczego nie była u dziecka w ostatnią sobotę itp. Krzysztof uświadamiał

dziewczynie, że ma ona na ATK - u jak najgorszą opinię i powinna być wdzięczna, jeśli pozwoli jej się dalej studiować. Basia czuła się zaszczuta i upodlona. Ze swojej udręki zwierzyła się jednemu człowiekowi, który był jej wówczas życzliwy - księdzu Józefowi Sikorskiemu. Po jakimś czasie straciła z nim kontakt, gdyż przeniesiono go do Instytutu Papieskiego w Watykanie. Tenże młody duchowny wkurzył się nie na żarty, kiedy usłyszał o najściach „świętej inkwizycji” na bezbronną dziewczynę, obiecał jej pomóc. Ponieważ Krzysztof zapowiadał zawsze swoje następne odwiedziny, ksiądz Józef postanowił zaczekać na niego w pokoju Basi. Inkwizycja przyszła o wyznaczonej porze i zaczęła swoje zwykłe przesłuchanie. Jedno z ostatnich pytań dotyczyło „podejrzanego mężczyzny” siedzącego w kącie pokoju:

- Kim pan jest, co pan tutaj robi? - zaatakował już wprost kapłana.

Na te słowa Sikorski wstał cały czerwony z oburzenia. Powiedział, że - jest księdzem i jeszcze nigdy w życiu nie był świadkiem takiego chamstwa. Zrugął kapusia na czym świat stoi i praktycznie

wyrzucił go za drzwi. Już więcej nie przyszedł. Później okazało się, iż wszystko to było zakrojone na pozbawienie Basi praw macierzyńskich.

O tym, że „związek” księdza Kalki z panną P. stał się tajemnicą poliszynela może świadczyć zabawny fakt z tego okresu. Na uczelni zostało zorganizowane sympozjum homiletyczne, które prowadził Rysiek. Zrobiono tam kilka zdjęć. Na jednym z nich fotograf uwiecznił sławnego homiletę i stojącą nie opodal Basię. Zdjęcie wraz z innymi zawisło w gablocie na korytarzu, a jakiś wesołek pomiędzy „kochankami” namalował amorka.

Na przełomie listopada i grudnia - kiedy na ATK zbliżał się koniec pierwszego semestru drugiego roku - stało się coś, co ostatecznie postawiło Barbarę i Ryszarda po dwóch stronach barykady.

Dziewczyna jak zwykle na koniec tygodnia pojechała do swojego dziecka do Kcyni.

Ponieważ była kiepska pogoda nie wychodziła z małym na długie spacery, jak to zwykle robiła, ale cały czas siedziała z nim w domu. Wieczorem, kiedy Łukasz już spał, a ona uczyła się w kuchni - doszedł do niej najmłodszy z rodzeństwa Kalków 17 - letni Tolek. Popatrzył na Basię smutnym, zagubionym wzrokiem.

- Nie powinienem ci tego mówić, ale pomyślałem, że muszę to powiedzieć. Proszę cię, zabierz stąd to dziecko - powiedział.

- Co się stało, czy dzieje mu się tu jakaś krzywda! - przestraszyła się.

- Nie, Łukaszowi jest tu dobrze, ale... oni chcą ci to dziecko odebrać. Parę razy był tu nawet adwokat i rozmawiali o tym. Nie mógłbym patrzeć, jak dowiadujesz się po następnym przyjeździe, że dziecko już do ciebie nie należy...

Okazało się, iż faktycznie był wówczas taki przepis prawny, z którego chciał

skorzystać ksiądz Ryszard. Jeśli udowodniono, że matka nie opiekuje się dzieckiem przez okres przekraczający jeden rok - można ją było pozbawić praw macierzyńskich i np. oddać dziecko do adopcji. Tak też dokładnie chcieli zrobić Kalkowie pod namową syna. Łukaszek miał zostać adoptowany przez panią Łucję i de facto stać się jej dziewiątym dzieckiem...

Basia struchlała jakby raził ją piorun. Jednocześnie była tak oburzona, że nie mogła wykrztusić słowa. Ci ludzie byli zdolni do wszystkiego! Jakże instrumentalnie, po rasistowsku traktowali ją i jej dziecko! Jak jakieś przedmioty, rzeczy które można przesuwac z kąta w kąt I za co - za to, że chroniła jak mogła tego chama w sutannie, że nie wystąpiła o należne jej alimenty i cierpiała biedę, że dziecko nie pialo ojca - teraz chciano pozbawić go nawet rodzonej matki!!!

Po bezsennej nocy spakowała się rano i pojechała do Łodzi. Mimo iż nie miała z ojcem dobrych układów, wytłumaczyła mu całą sytuację i poprosiła o zorganizowanie jakiegoś transportu do Kcyni. Ojciec zrozumiał i stanął na wysokości zadania. Następnego dnia podjechali na Dworcową do Kalków. Basia wzięła Łukasza na ręce i w samych śpioszkach, bez słowa - na oczach zdumionej babci - zabrała go do samochodu.

Dopiero po dwudziestu latach, podczas rozmowy telefonicznej, niedoszła teściowa przyznała się do zamiaru pozbawienia Basi praw do opieki nad Łukaszem. Powiedziała także, iż... „byłoby to najlepsze wyjście z całej sytuacji”, a wpadł na to oczywiście jej genialny syn.

Rysiek prawdopodobnie bał się, że prędzej czy później Basia będzie chciała ustalić jego ojcostwo i wystąpi o alimenty, których nie ma zamiaru nigdy płacić, bo niby z czego!?

Jedynym wyjściem było raz na zawsze odsunąć matkę od jej dziecka. Jego mamie jedno dziecko więcej nie robiło żadnej różnicy, a on mógłby zostać „duchowym ojcem” własnego syna - do czego został w końcu wykształcony. W efekcie jego „duszpasterskich” planów, kiedy Basia znalazła się już z dzieckiem w Łodzi, na serio zaczęła bać się nawet o życie małego. Co do babci, która miała awansować na matkę - od zabrania Łukasza aż do chwili obecnej - nie zainteresowała się nim ani razu.

Dziecko zostało w Łodzi u wiecznie schorowanej pani P., a Basia wróciła na studia. W

tym czasie Rysiek obronił już pracę doktorską i pakował walizy na wyjazd do Francji. Trzeba przyznać, iż tylko nieliczni księża doktoranci są wysyłani z ramienia swoich czelni na dalsze kształcenie. Z reguły zostają oni później kanclerzami, biskupami lub sięgają jeszcze wyżej...

Ksiądz Ryszard Kalka miał tymczasem osiąść w Instytucie Polskim na Sorbonie w Paryżu.

Chodziły słuchy, że załatwił mu to sam Glemp, który dobrze znał Kalkę jeszcze z seminarium w Gnieźnie; podobno prymas Rysiu był oczkiem w głowie przyszłego prymasa.

Tuż przed jego wyjazdem do Paryża - Basia i Rysiek spotkali się po wielu miesiącach, po raz ostatni. On jechał samochodem, a ona szła chodnikiem z koleżanką. W pewnej chwili podjechał zamasyście pod dziewczyny, wysiadł z samochodu, uśmiechnął się i zaprosił

Basię do auta. Ta jednak odmówiła, gdyż - jak zaznaczyła - ma już towarzystwo.

- A może wskoczysz do mnie na herbatę..?” - powiedział wręcz przymilnie.

Odmówiła i tym razem, po czym on odjechał. Być może chciał zostawić po sobie miłe wrażenie. W każdym razie wkrótce nie było go już w Polsce.

Zaczęły się kolejne wakacje i kolejny dylemat dla młodej matki - skąd wziąć pieniądze na wyjazd z dzieckiem. Na szczęście udało jej się załatwić pracę w warszawskim Horteksie.

Pracowała tam po 12 godzin dziennie przez cały lipiec. Pieniądzy starczyło na wykupienie 3 - tygodniowych wczasów w Polanicy Zdroju. Resztę wakacji spędziła w Łodzi.

Trzeci rok studiów zaczął się niespodzianką. Otrzymała przekaz od matki Ryśka opiewający na 500 zł. Była to kwota mniej niż symboliczna. Dla porównania - niewielkie stypendium Basi wynosiło wówczas 3500 zł. Nie wiadomo, czy była to inicjatywa Ryśka, który bał się reakcji Basi na jego wyjazd i chciał mieć jakiś czas spokój za granicą, czy też niedoszłą teściową ruszyło sumienie. W

każdym razie przekazy na taką kwotę przychodziły przez kilka miesięcy.

Któregoś wieczoru jakiś mężczyzna zapukał do pokoju dziewczyny i nie przedstawiając się, zaczął opowiadać ze szczegółami cały jej życiorys. Przeszedł w końcu do związku z księdzem Ryszardem i w niedwuznaczny sposób uświadomił Basi, że jest naiwną

„dupą”, która dała się wykorzystać; nie ma teraz środków do życia, za to na głowie - nieślubne dziecko.

- Twój Rysiek śmieje się teraz z ciebie za granicą, ale to wcale nie musi tak pozostać.

Masz okazję się na nim odegrać, współpracując z nami My możemy tak z nim załatwić sprawę, że będziesz miała zapewniony byt na długie lata.

Nie trzeba chyba dodawać, że „my” to była ówczesna Służba Bezpieczeństwa. Był rok 1979 i rzeczywiście dla SB nie było w tym kraju (ale także za granicą) nic niemożliwego.

Funkcjonariusz zaproponował Basi „wszechstronną współpracę”, ale nie sprecyzował na czym ona miała polegać. Dał jej po prostu 3 dni do zastanowienia.

Ksiądz Ryszard był dla bezpieki łakomym kąskiem. Po powrocie z prestiżowych studiów do Polski - niechybnie znalazłby się szybko w kręgu najbardziej wpływowych hierarchów Kościoła w Polsce. Agent po Sorbonie nie zdarza się tak często, a o to właśnie chodziło. Nieślubne dziecko było w tamtych czasach klasycznym hakiem bezpieki na duchownych. Dzisiaj mają oni pod tym względem zupełny luz i pełne pole do popisu.

Tak więc, z pomocą władzy ludowej, Basia mogła zakończyć swoją nędzną wegetację, a przy okazji odplacić Rysiowi pięknym za nadobne. Trudno doprawdy uwierzyć, ale nie wykorzystwała tej jedynej szansy, jaka jej się nadarzała. Nawet jej to na myśl nie przyszło.

Widać zbyt szlachetne miała serduszko. Pobieгла następnego dnia z rana do księdza rektora Antoniego Stępnia i opowiedziała o całej sprawie. Szef uczelni wysłuchał ją uważnie, pogłaskał po głowie i powiedział pobłaźliwie:

- Dziecko, ty jesteś tylko szarą studentką. Cokolwiek byś powiedziała temu panu i tak nie będzie to nic nowego, czego on by już nie wiedział. Dlatego najlepiej z nim w ogóle nie rozmawiaj.

Do takiego wniosku dziewczyna mogła dojść sama; ale opowiadając o swoim związku z Ryszardem (czyli za swoją szczerą), w przyszłości zapłaciła praktycznym usunięciem ze studiów. Tymczasem jednak przygotowała się bojowo na kolejne odwiedziny agenta. Kiedy przyszedł, od progu kategorycznie odmówiła wszelkich rozmów, kontaktów, a tym bardziej współpracy. Co więcej - postraszyła się nawet samym Stępnem - nadmieniając, iż o wszystkim mu opowie - działa. Esbek roześmiał się cienko jak lis z bajki i drwiąco zapytał:

- To tak bardzo wierzy pani swojemu rektorowi..? Od tej pory jednak więcej się nie pojawił.

Drugi semestr, wakacje i pierwsza połowa czwartego roku upłynęły Basi pod znakiem niedostatku i ciągłej tęsknoty za dzieckiem. W końcu dziewczyna stwierdziła, że - tak dłużej być nie może. Powinna studiować i mieć małego przy sobie w Warszawie.

- Jeśli mnie nie stać na opłacenie kilku godzin opieki nad dzieckiem, to może jego ojca będzie na to stać - zdecydowała i wybrała się do Kurii Archidiecezji Warszawskiej. Z

władzami Kościoła chciała załatwić sprawę polubownie, bez rozgłosu. To on byli przecież zwierzchnikami i pracodawcami Ryszarda. Mogli zobowiązać go do płacenia na dziecko, które spłodził. Gdyby Rysiek był w kraju, poszłaby do niego po raz trzeci i ostatni; on jednak asekuracyjnie nie zostawił swojego adresu nikomu, z kim ona mogła mieć styczność.

Znalazła się więc pod drzwiami kurii na ulicy Miodowej. Była wczesna wiosna 1981

roku. Prymasem Polski był jeszcze kardynał Stefan Wyszyński. W sekretariacie Basia złożyła podanie, opisując w nim - jakże owocną - przygodę z księdzem Ryszardem Kalką. Nakreśliła na koniec swoją dramatyczną sytuację bytową i niemożność (z braku pieniędzy) zamieszkiwania z dzieckiem. Prosiła o pomoc w wyegzekwowaniu od ojca dziecka należnych pieniędzy na wychowanie Łukasza. Kazano jej „za jakiś czas” dowiedzieć się, czy jest już jakaś decyzja w sprawie, którą przedłożyła. Przyszła po miesiącu, ale okazało się, że upłynęło za mało czasu i jest za wcześnie na odpowiedź. Odczekała jeszcze około miesiąca. Tym razem przyjął ją w swoim gabinecie sam kardynał Józef Glemp, który trzy tygodnie po tym spotkaniu został prymasem Polski. Basia zapytała - czy jest odpowiedź na jej podanie.

Kardynał oznajmił, że jeszcze nie ma, gdyż prymas Wyszyński jest bardzo chory i nie mógł rozpatrzyć tej sprawy. Kazał wobec tego... jeszcze raz napisać wszystko w drugim podaniu.

- Ale ekscelencja wie, czego dotyczy sprawa..? - upewniała się Basia.

- Tak, wiem doskonale. A czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że to pani go uwiodła; że pani tym samym

WIELKIE STRATY POCZYNIŁA KOŚCIOŁOWI!

Subtelna i ugrzecziona zazwyczaj Basia oniemiała na taką bez - czelność i podniesionym głosem zaczęła się bronić:

- Ja, straty! Jakie ja straty poczyniłam Kościołowi!? Chyba takie, że zdemaskowałam jeszcze jednego łobuza spośród was!!?

W tym momencie Glemp spojrział na nią ostro i zasadniczo. Dał jej kartkę papieru, długopis; kazał usiąść za biurkiem, po czym nerwowym głosem powiedział:

- Proszę pisać! Proszę pisać jeszcze raz...! Pisać wszystko, co pani dyktuje sumienie..!

Na tym rozmowa się zakończyła. Trudno było wówczas przypuszczać, jaki odniesie skutek. Sądząc z

podejścia kardynała Glempa - raczej mierny. Jedno natomiast było pewne -

Basia była totalnie zawiedziona, a nawet zgorszona. Autorytet duchownych, którzy reprezentowali Chrystusową Owczarnię, przestał dla niej praktycznie istnieć. Wcześniej wiedziała (aż za dobrze!), że poszczególni kapłani są tylko słabymi ludźmi, ale co do całej instytucji Kościoła - jej świętości i dobroci - nigdy nie miała wątpliwości. Perturbacje z Ryśkiem oraz to wszystko co widziała i wiedziała o innych księżach - w niczym nie zachwiały jej zaufania do Kościoła, a tym bardziej samej wiary w Boga. Chodziła systematycznie co niedziela do świątyni, przystępowała do sakramentów i modliła się jak mało kto. Tymczasem kardynał - książę Kościoła katolickiego (dodajmy: prymas Polski) robi z niej uwodzicielkę księdza. Gdyby tyle nie wycierpiała od Ryśka - kłamstw, zwodzenia, zawiedzionych nadziei, ale po tym wszystkim takie podsumowanie! Przecież to on ją uwiódł, to on pierwszy powiedział, że ją kocha; obiecywał przyjaźń, opiekę, lojalność! Na Usprawiedliwienie prymasa można tylko domniemywać, iż został odpowiednio nastawiony przez księdza Ryszarda. Jak mógł być jednak taki stronniczy i niesprawiedliwy!?

Przed wyjazdem na wakacje - zgodnie z umową - Basia przyszła po odpowiedź do kurii. Sekretarz prymasa, ksiądz Goździewicz przyjął ją „po staropolsku” - w drzwiach.

Oznajmił, że sprawa została już załatwiona. Na pytanie - w jaki sposób? - sucho wyjaśnił:

- Wezwaliśmy księdza doktora Kalkę z Paryża i odbyliśmy z nim rozmowę...

Basia obdarzyła go znowu pytającym wzrokiem.

- No już dobrze - powiedział niecierpliwie - proszę iść za mną.

Zaprowadził ją do sekretariatu, wyjął jakieś pismo i przeczytał sakramentalnym tonem:

- „Ja, ksiądz Ryszard Kalka zobowiązuję się do opieki materialnej i moralnej nad swoim synem Łukaszem, którą to opiekę nałożył na mnie Kościół”.

Basia, choć nie dostała do ręki żadnego dokumentu, była cała szczęśliwa. Nareszcie Rysiek - aczkolwiek pod przymusem - uznał Łukasza za „swojego syna” i zobowiązał się do opieki nad nim! Nie wątpiła, że już jego zwierzchnicy tego dopilnują. Zapytała Goździewicza:

- I co teraz, co dalej..? - mając na myśli formę płatności, a może nawet termin pierwszego przekazu. Sekretarz kazał jej naturalnie przyjść za jakiś czas” i dowiedzieć się -

jak sprawa wygląda.

Przyszła może nawet... nieco wcześniej, tuż przed wyjazdem na - wakacje. Miała nadzieję na jakieś pieniądze, które pozwolą jej zabrać gdzieś Łukasza. Goździewicz tym razem nie pozwolił jej wejść nawet za próg. Kiedy wyjawiała mu swoje oczekiwania, on spojrzał jakoś dziwnie na nią, pochylił się i zaczął trzepać wycieraczkę przed drzwiami. Po chwili doszedł do niej; złapał ją za brzeg letniego płaszcza, pogłaskał po nim i powiedział z głupia frant:

- O, jaki ładny ma pani płaszcz!

Nie ulegało wątpliwości, że traktuje ją jak idiotkę. Wzburzyła się nieco, bo tego jeszcze księży z nią nie przerabiali.

- To co ja mam wobec tego robić do jasnej cholery! Wiecie, że nie stać mnie na bilet do Paryża! Czy o to chodzi!

Sekretarz prymasa rozłożył na to ręce w teatralnym geście i pożegnał ją małym uśmiechem.

Na szczytach władzy kościelnej w Polsce stwierdzono, że to harde dziewczę za bardzo już nazumiało w przewielebnych szeregach Nie do pomyślenia było przede wszystkim, aby ktoś, kto - „wielkie straty poczynił Kościołowi” studiował nadal na katolickiej uczelni.

Zapadła więc decyzja o wykopaniu Basi jak najdalej od prymasowskiego pałacu. Załatwiono to - jak zwykle załatwia się podobne sprawy w Kościele - w sposób przemyślany i perfidny.

Kiedy dziewczyna na początku piątego roku zgłosiła się do komórki stypendialnej po przydział stypendium na kolejny rok studiów - spotkała się z odmową. Podobno wyszedł

akurat nowy przepis, zgodnie z którym pieniądze należały się studentom tylko przez pięć lat nauki. Dla Basi, która miała za sobą pół roku urlopu dziekańskiego, zaczynał się szósty rok na uczelni. Dziewczyna słyszała później o funkcjonowaniu tego przepisu, ale nigdy nie dotyczył

on urlopowiczów, a jedynie tych, którzy nie zaliczyli egzaminów kontowych. Nie pomogły prośby i odwołania - intryga była oczywista, uderzono w najczulszy punkt młodej studentki.

Brak stypendium zupełnie ją dyskwalifikował - nie mogła opłacić pokoju i po prostu przeżyć.

Basia była zrozpaczona - jej plany i marzenia legły w gruzach. Zdeterminowana poszła jeszcze do samego rektora ATK. Był nim wtedy Helmut Juros - promotor jej pracy magisterskiej z etyki (którą już prawie ukończyła). Ten ni mniej, ni więcej powiedział jej z drwiącym uśmiechem, że - w takiej sytuacji jest tylko jedno wyjście... dojeżdżać co dzień z Łodzi do Warszawy na wykłady. Ksiądz Juros z pewnością otrzymał już wcześniej odpowiednie instrukcje z „góry”. Nie można mu się zresztą dziwić - jako rektor Akademii Teologii Katolickiej nie mógł wypuścić ze swojej uczelni etyka z księżowskim bękartem. W

tej sytuacji Basia zabrała papiery i wróciła do Łodzi.

Przez rok mieszkała z Łukaszem u swoich rodziców. Później postarała się o kawalerkę. Dziecko miało już prawie siedem lat. Myśl o dokończeniu studiów, które z takimi wyrzeczeniami przez 4 lata kontynuowała w Warszawie, nie dawała jej spokoju. Dowiedziała się o otwarciu filii ATK w Łodzi na ul. Księdza Skorupki. Zgłosiła się do swojego byłego proboszcza, a wówczas już biskupa Adama Lepy. Poznał ją od razu jako swoją uczennicę.

Kazał przyjść za dwa tygodnie, dając nadzieję na pozytywne załatwienie sprawy. Po zrobieniu stosownego wywiadu (wcale tego nie ukrywał) stwierdził przy następnym spotkaniu, że - niestety Basia nie zasługuje na przyjęcie...

Pani Barbara P. prowadziła dalej typowe życie matki samotnie wychowującej dziecko.

Żyła skromnie, ale godnie. Imiała się różnych prac i zajęć. Najpierw podjęła pracę w Wytwórni Filmów Fabularnych, a następnie WF Oświatowych - jako asystent reżysera.

Poznała tam wielu wspaniałych ludzi, którzy zostali jej przyjaciółmi. Ponieważ wytwórnie zaczęły podupadać, zaczęto zwalniać świeżo zatrudnionych pracowników; zwolniono także -

po dwóch latach pracy - panią Barbarę. Dość szybko trafiła się jej posada nauczyciela -

wychowawcy w szkole podstawowej. Pensji brakowało nawet na opłaty. Przeniosła się do hotelu robotniczego, gdzie była wychowawczynią starszej młodzieży. Woląa jednak pracować z dziećmi; chodziło też o długie wakacje i ferie zimowe, gdyż uwielbiała wspólne wyjazdy z synem. Ukończone studium nauczycielskie pozwoliło jej wrócić do szkoły podstawowej. Pracowała przez 6 lat jako nauczycielka języka polskiego. Po tym czasie, ponieważ pensja w szkole była ciągle głodowa, udało jej się zaczepić na dwa lata w pierwszej w Polsce Telewizji Kablowej ATV. Zarabiała tam trzykrotnie więcej aniżeli w szkolnictwie.

Po dwóch latach redukcja zatrudnienia objęła m.in. panią Barbarę. W tym czasie poznała Darka. Otworzyli wspólnie stoisko odzieżowe w tuszyńskiej hali pod Łodzią, które niestety upadło wraz z załamaniem się rynku wschodniego. Podjęła pracę w firmie komputerowej, jednakże kobieca dolegliwość i konieczność natychmiastowej operacji odsunęła na bok życie zawodowe. Kiedy zakończyła rekonwalescencję po chorobie - bezrobocie w Łodzi było tak wielkie że nie było szans na pracę dla kobiety po czterdziestce.

Mniej więcej cztery lata temu Łukasz, który był wtedy w trzeciej klasie liceum, zaczął

przeżywać kryzys wieku młodzieńczego. Mama jest przekonana, że było to spowodowane w dużej mierze brakiem ojca. Nie wystarczała dziecku sama na tym etapie. Napisała do matki Ryśka list - prosząc o kontakt z synem. Ksiądz Ryszard odpisał wprost do Barbary.

Zawiadamiał o zamiarze przyjazdu do Polski i wyraził przy tym chęć spotkania się z nią i Łukaszem. Barbara po otrzymaniu tego listu po raz pierwszy powiedziała Łukaszowi o ojcu.

Wcześniej okłamywała go, że tata ich zostawił i wyjechał za granicę, Chłopak cieszył się jak małe dziecko - był przejęty i szczęśliwy - nareszcie spotka się ze swoim ojcem! Nie przeszkadzał mu nawet status tatusia, jak i to, iż nigdy nie będą normalną rodziną.

Przed przyjazdem Ryszarda, Barbara przyjęła swoją starą strategię postępowania, mając nadzieję na to, że syn choć w niewielkim stopniu odzyska rodziciela. Postanowiła ukryć w zanadrzu cały swój żal - wszystkie skargi, pretensje i bóle. Mówi o tym aż nazbyt dosadnie

„...Cała się w środku zablokowałam, choć powinnam urwać głowę temu człowiekowi...”.

Mieli się zobaczyć po raz pierwszy od i 6 lat. Barbara chciała najpierw sama spotkać się z Ryśkiem. Jego dotychczasowa postawa jasno dowodziła, iż w ogóle nie zależy mu na dziecku. Przez tyle lat nie dawał znaku życia! Kobieta bała się zatem ich pierwszej rozmowy.

Jeśli Rysiek miałby jeszcze teraz - choćby psychicznie - skrzywdzić Łukasza, który wiązał z tym spotkaniem tyle nadziei! Pragnęła dowiedzieć się, co Rysiek ma mu do powiedzenia, jakie ma wobec niego zamiary i jak je chce zrealizować. Spotkanie umówiono w kawiarni łódzkiego Grand Hotelu.

Ucałowali się na powitanie, jak para dobrych znajomych. W rozmowie od samego początku prym wiodł ksiądz homileta. Już na samym wstępie oznajmił, że - jest to spotkanie przełomowe i Barbara powinna je potraktować bardzo poważnie.

- Od dzisiaj wszystko się zmieni! - zapewniał.

W jego przemowie można było nawet doszukać się nutki pokajania za grzechy i zaniedbania przeszłości. Co do samego Łukasza, po zdaniu przez niego matury, Barbara miała nie wydać już ani grosza na jego utrzymanie, a przede wszystkim kształcenie. To on - ojciec marnotrawny - zabierze go do siebie do Paryża; pomoże podjąć studia, najlepiej na filologii francuskiej i zapewni mu - przynajmniej na ten czas - mieszkanie i utrzymanie. Po studiach za

- łatwi synowi świetną pracę i w ogóle umożliwi mu start i karierę na Zachodzie. Barbara spytała z przekąsem - czy wystarczy mu pieniędzy.

Trzeba nadmienić, iż ksiądz Ryszard pracował wówczas na misjach w Afryce. Miał

tam pełne utrzymanie, a ponadto co miesiąc na konto w Paryżu spływało mu ponad 8 tysięcy franków pensji (tj. ok. 5500 zł), do takiej kwoty przynajmniej sam się przyznał. W rozmowie z Barbarą zarzekał się, iż nie jest zamożny, nawet biedny, co było wierutnym kłamstwem.

Żył i żyje jak bonzo. Ma luksusowy apartament w centrum Paryża, jeździ najnowszym modelem mercedesa, co rok wynajmuje na dwa miesiące posiadłość na Lazurowym Wybrzeżu. Jest to człowiek, któremu nieprzeciętne zdolności i kościelne koneksje otworzyły pod - woje zachodniego świata. Romans z Barbarą praktycznie w niczym mu nie zaszkodził.

Z jego własnych relacji wynika, że przez rok - po wizycie dziewczyny w kurii - był

suspendowany, tj. odsunięty od czynności kapłańskich... i na tym koniec. Zaraz po przyjeździe do Paryża znalazł sobie inną dziewczynę - Polkę, która mieszkała tam na stałe i przygarnęła skwapliwie zdolnego księżulka. Jej kilkunastoletni syn jest jednoznacznie podobny do Ryszarda. Zdolny homileta z wyróżnieniem skończył Sorbonę - jedną z najbardziej renomowanych uczelni na świecie. W tym czasie pracował jako kapelan wojskowy w dwóch jednostkach, czyli na dwa etaty. Zrobił naprawdę wielką karierę. Trzeba również przyznać, iż pomógł paru ludziom z Polski znaleźć we Francji pracę. Swoją siostrę wkrcił do paryskiego Luwru, gdzie zajmuje ona dziś jedno z kierowniczych stanowisk. Przy tym wszystkim zapominał jednak o dziewczynie, której złamał życie, nie wspominając już o własnym synu.

Tymczasem w Łodzi sypał obietnicami jak z rękawa. Tak „podjarał” wizjami, które roztaczał przed Barbarą, że postanowił raz na zawsze porzucić misje w Rwandzie - choć pracował tam już kilka lat - i ze względu na syna osiąść z nim na stałe w Paryżu. Barbara nauczona doświadczeniem, nie

okazywała wówczas zbyt wielki entuzjazm. Aby chwilowo zmienić temat zapytała o pracę na misjach. Była ciekawa, czy Ryśkowi udało się kogoś nawrócić. Odparł z rozbawieniem że nikogo:

- Nawet nie próbowałem - śmiał się - ...Tamtejsza religia animistyczna podoba mi się o wiele bardziej niż chrześcijaństwo.

Rozmowa zakończyła się tego dnia dość nietypowo. Ryszard był zaskoczony, że Barbara nie zaprasza go do swojego mieszkania (głośno to wyraził). Ona uznała już wcześniej, iż byłoby to zbyt nieufalne po tak wielu latach. Kapłan wynajął więc pokój w

„Grandzie”, a następnie razem poszli go obejrzeć. Kiedy znaleźli się sam na sam Ryszard objął kobietę mocno w tali, przyciągnął do siebie i pocałował w usta. Barbara była zaskoczona, ale nie straciła zimnej krwi:

- Oj, Ryśku, Ryśku, jak się za daleko zagalopujesz, to jeszcze zrobimy sobie następne dziecko - powiedziała żartobliwie, wyswobodziła z jego objęć i wyszła z pokoju.

Następnego dnia spotkali się już we trójkę. Łukasz miał wówczas 17 lat. Mama nigdy nie nastawiała go negatywnie w stosunku do ojca, chociaż zawsze twierdziła, że ich zostawił.

Chłopiec szedł na spotkanie jakby miał, skrzydła u ramion - pełen radosnego podniecenia Ucałowali się dyplomatycznie na powitanie. Łukasz wpatrywał się w ojca jak w obrazek. Ten zaś, tak jak poprzedniego dnia Barbarze, wygłosił synowi porywające kazanie o wszelkich dobrodziejstwach które czekają na niego w Paryżu, pod troskliwą, ojcowską opieką. Stary naciągacz puścił wodze fantazji, a nieświadomy niczego chłopak uwierzył w każde jego słowo. W końcu tatuś nie widział go jak w kołysce, nic więc dziwnego, że chciał teraz nadrobić zaległości. Nawet czujna matka dała się zwieść (po raz który?!) bajerom swojego pierwszego kochanka. Ksiądz Kalka po szerokim rozwinięciu tematu, tudzież kilku pouczających przykładach egzystencjalnych, zaczął szybko zmierzać do końca swojej homilii

- apologii francuskiej „ziemi obiecanej”. Aby uwiarygodnić swoje wszystkie obietnice dotyczące przyszłości, zaprosił Łukasza na najbliższe wakacje do Paryża. Zakończył - tak jak poprzedniego dnia rozpoczął - deklaracją o wzajemnej przyjaźni i braterskich stosunkach pomiędzy stronami, które otworzą nowy rozdział w obopólnych kontaktach, co stworzy podwaliny dalszej, owocnej współpracy. Amen.

Okazało się, iż mógłby jeszcze długo tak przemawiać, ale musi jeszcze zadzwonić do Warszawy, gdzie ma do załatwienia następnego dnia jakąś sprawę. Był to telefon do rodziny jego „przyjaciółki” z Francji Barbara przygryzła wargi - straciła nadzieję, że przyjechał do swojego dziecka. Ksiądz Ryszard ani razu w czasie tej, jak i poprzedniej rozmowy nie przeprosił za to, że od narodzin Łukasza aż do chwili obecnej - miał go razem z jego matką głęboko w dupie. Mówił wiele wzniosłych rzeczy, ale ani razu nie przeszło mu przez gardło jedno, jedyne słowo - SYNU.

Po spotkaniu z ojcem Łukasz zmienił się nie do poznania. Jego wcześniejszy kryzys tożsamości najbardziej widoczny był w szkole. Często bywał tam rozdrażniony i wybuchowy; jednocześnie był bardzo bierny - nie angażował się zupełnie na zajęciach, nie obchodziły go wyniki w nauce, mimo -

iż był bardzo zdolny. Kontakt z ojcem odmienił Łukasza o 180°.

Zaczął udzielać się na lekcjach i poza nimi; stał się pomocny i koleżeński; zadeklarował

wychowawczynie, że wyreżyseruje sztukę teatralną i rzeczywiście sam tego dokonał (podobno była genialna!). Chłopak był po prostu uskrzydłony już samym poznaniem swojego ojca; a kiedy jeszcze ten roztoczył przed nim wizję wielkiego świata, którego on, Łukasz, będzie zdobywcą, na wyniki nie trzeba było długo czekać. Barbara musiała wysupłać ostatnie zaskórniaki na opłacenie kursów języka francuskiego dla syna, który nie wyobrażał sobie wyjazdu do Paryża bez uprzedniego poznania przy - najmniej podstaw tego języka. Od lutowego spotkania z Ryśkiem do wyjazdu na wakacje chłopak całkiem nieźle „padał” po francusku. Przez ten cały czas Łukasz żył jak w transie. Późną wiosną ojciec przysłał dla niego bilet, co już do końca przepełniło miarę szczęścia. Mama także nie posiadała się z radości. Była skłonna zapomnieć o całym bólu wyrządzonym jej i dziecku przez Ryszarda.

Na początku lipca chłopak wylądował na lotnisku w Paryżu. Tato wyjechał po niego srebrnym „mercem”. Pojechali do domu Eli - kochanki Ryśka i mieszkali tam we czwórkę przez dwa tygodnie. Łukasz najczęściej przebywał ze swoim przyrodnim bratem Olkiem.

Poznał również siostrę ojca, która go bardzo polubiła. Przeniósł się nawet do jej mieszkania, gdyż konkubina Ryśka bywała dla niego bardzo uszczypliwa. Jako gospodyni domu czyniła

„subtelne” uwagi chłopakowi, np. że - za dużo... je. Przez cały lipiec Łukasz uczęszczał na wakacyjny kurs języka francuskiego. W sierpniu Rysiek, Ela i chłopcy wyjechali na południe



Francji do Limoux, gdzie ubogi kapłan od lat wynajmował przestronną willę z ogrodem i basenem. Spędzili tam cały miesiąc, objeżdżając mercedesem okoliczne tereny. Ela była coraz bardziej

napastliwa; najwidoczniej złościła ją obecność drugiego syna kochanka.

Tymczasem Łukasz praktycznie zdany był na towarzystwo jej i 14 - letniego Olka, gdyż ojciec pracował po 12 godzin dziennie przy komputerze. Podobno dorabiał sobie tłumacząc książki. Sierpień szybko minął i Łukasz znalazł się z powrotem w Łodzi.

Łukasz z ojcem

Minęły dwa tygodnie. Barbara zadzwoniła do Limoux, aby po - dziękować Ryškowi i zapytać o jego dalsze plany związane z kształceniem Łukasza, który był już w klasie maturalnej. To, co usłyszała spadło na nią jak wielki ciężar i zawisło na wysokości serca.

Przez chwilę pomyślała, że może ile zrozumiała albo ma halucynacje. Ksiądz Ryszard oznajmił, iż kontaktował się ze swoimi znajomymi na uczelniach paryskich co do przyjęcia Łukasza na studia. Niestety - jest to niemożliwe, gdyż taką możliwość ma wyłącznie młodzież z krajów należących... do NATO (może teraz zmieni zdanie).

Była to tak wielka bzdura, że Barbara - po chwili milczenia - zaczęła się śmiać nerwowym, niepohamowanym śmiechem. Rzuciła słuchawkę i zawyła głośnym płaczem.

Długo nie mogła się uspokoić. Wyobrażała sobie, jak wielki zawód spotka jej syna - jedyną istotę, która ją kocha. Rzeczywiście bardzo go to przygnębiło. Do dzisiaj - choć minęło już trzy i pół roku - czuje głęboki żal. Ale paradoksalnie to, iż po raz kolejny stracił ojca, jeszcze bardziej zbliżyło go do matki.

Kiedy Barbara przed Bożym Narodzeniem zadzwoniła do matki Ryška, aby jak co roku złożyć jej świąteczne życzenia - nie mogła się opanować i opowiedziała pani Łucji o ostatnim numerze jej syna. Starszej kobiecie było przykro, tym bardziej że ona w odróżnieniu od Barbary, wiedziała o „powodach”, które kierowały kapłanem. Otóż niedawno Rysiek wpadł do niej przejazdem dosłownie na godzinę, z jakimś... arcybiskupem w wycierusach.

Kiedy matka spytała - jakie ma plany w związku ze swoim synem - odparł zniecierpliwiony:

- Łukasz nie jest wart tego, abym poświęcał mu swój czas. Nie mam najmniejszego zamiaru się nim zajmować!

Babcia, która nie zadała sobie nawet trudu, aby poznać wnuka, przytoczyła jednak zaraz inną o nim opinię - swojej córki mieszkającej w Paryżu. Ta była dokładnie przeciwnego zdania. Trzeba dodać, że Łukasz naprawdę jest wyjątkowo ambitnym, grzecznym i mądrym chłopcem i nikt nigdy nie miał o nim takiego zdania, jak jego własny ojciec. Obecnie chłopak studiuje zaocznie na psychopedagogice w Łodzi; jednocześnie pracuje na utrzymanie swoje i bez - robotnej mamy.

Aby zrozumieć kim jest ksiądz doktor Ryszard Kalka rodem z Kcyni, należy wspomnieć o jeszcze jednym epizodzie sprzed roku. Barbara i jej syn byli wtedy bodajże w największym dołku. Na jej chorobę i rekonwalescencję poszła reszta domowych oszczędności Łukasz stracił dorywczą pracę, a za nic nie chciał przerywać studiów. Pieniądzy brakowało im nawet na jedzenie. Byli bezsilni i

zrozpaczeni. Łukasz z trudem przełamał dumę.

Postanowił po raz ostatni szukać pomocy u ojca. Wysłał do niego długi list, w którym opisał

dramatyczną sytuację. Nie chciał pieniędzy, prosił o załatwienie pracy przy winobraniu na południu Francji, gdzie ksiądz Ryszard miał mnóstwo znajomych. Odpowiedź długo nie nadchodziła. Pomyślał, że list mógł nie dotrzeć do taty i w końcu odważył się do niego zadzwonić. Nie stracił dużo na telefon - odpowiedź była krótka, bez żadnych uzasadnień -

„NIE”.

Pani Barbara P. ma dzisiaj 43 lata. Pozostała samotną matką mieszkającą z dorosłym już synem. Jest nadal atrakcyjną, młodo wyglądającą kobietą. Nie wyszła za mąż, choć dwukrotnie się jej oświadczano. Boi się zaufać i zawieść na kolejnym mężczyźnie. Rana, którą zadał jej katolicki ksiądz, była i jest ciągle nie zablizniona. Ona sama nie czuje się zbyt pokrzywdzona. Całą winę upatruje w swojej dziewczęcej naiwności. Stara się nawet zrozumieć człowieka, który pierwszy wyznał jej miłość, pozbawił dziewictwa, obiecywał

złote góry a później - wystawił do wiatru. Nie potrafi jednak pojąć i chyba nigdy nie przebaczy krzywdy, która spotkała jej dziecko - odrzucone i sponiewierane przez ludzi w sutannach.

Nazwisko pani Barbary - na jej prośbę - zostało zastąpiono inicjałem. Poza tym wszystkie personalia osób, a także miejsca i zdarzenia są autentyczne.

ROZDZIAŁ II

Zażalenie do Pana Boga

„Biada ci, łupieżco, tyś sam nie złupiony,

i tobie, grabieżco, sameś nie ograbiony!

Kiedy skończysz łupić, wtedy ciebie złupią,

kiedy grabież zakończysz, ograbią też ciebie,

Panie, zmiłuj się nad nami,

W Tobie mamy nadzieję!”

Księga Izajasza 33,1 - 2

Na początku stycznia tego roku, pod adresem Stowarzyszenia przyszedł krótki i trochę zagadkowy list z Torunia, podpisany przez panią Danutę Hubert - Strauss. List praktycznie nic nie wyjaśniał, ale przebijał z niego wielki dramatyzm. Nieznana kobieta, będąc najwyraźniej w jakiejś rozpaczliwej sytuacji, bardzo prosiła o spotkanie.

Każdego dnia otrzymuję co najmniej kilka listów z kraju i z za - granicy w najróżniejszych sprawach. Ogromna większość ludzi przed - stawia swoje problemy i prosi o konkretną pomoc. Są jednak i tacy, którzy chcą mnie po prostu naciągnąć, a niektórzy wymagają natychmiastowej pomocy psychiatrycznej. Pół roku temu spotkałem się z kobietą, która słała do mnie codziennie listy, wymyślając w nich najróżniejsze problemy osobiste i rodzinne. Już po godzinie okazało się, że jest agentką nasłaną przez Kościół.

Nauczony zatem doświadczeniem, zadzwoniłem najpierw do Torunia pod numer zamieszczony w liście, aby wybadać - kto zacz? Odebrała pani Strauss. Rozmowa z nią na tyle mnie zaintrygowała, że umówiłem się na spotkanie. Kobieta przyjechała do Łodzi i jeszcze po drodze z dworca zaczęła opowiadać swoją historię. Po kilku minutach zacząłem już pluć sobie w brodę i złorzeczyć w duchu na zmarnowany dzień. Pani Danuta opowiadała bowiem rzeczy wprost nie z tej ziemi, niewiarygodne! Swoją relację przekazywała w sposób dość chaotyczny, z wielkim nakładem emocjonalnym, ale sama absolutnie nie robiła wrażenia nienormalnej. Jednak dopiero kiedy - na potwierdzenie swoich słów - pokazała mi cały stos wiarygodnych dokumentów - opadła mi ze zdumienia szczęką. Ta kobieta mówiła prawdę!

W swojej pracy na rzecz osób poszkodowanych przez duchownych spotykam się z wieloma trudnymi i bolesnymi sprawami; widzę bezmiar zła, jakie czynią ludzie Kościoła, pod przykrywką jego wątpliwego autorytetu. Niestety, ciągle niemało jest osób wierzących w Kościół, księży - a nie w Boga; choć sami często nie zdają sobie z tego sprawy. W czasach kryzysu, upadku bądź też zeszczenia większości autorytetów, wielu ludzi podświadomie jednak ciągle szuka w czymś lub w kimś oparcia. Jest to zupełnie naturalne i oczywiste - tak skonstruowany jest człowiek. Wydaje się jednak, iż u progu XXI wieku musimy pogodzić się z myślą, że żyjąc i opierając się na uniwersalnych zasadach humanizmu, możemy zaufać tylko sobie i samemu Bogu. W każdym razie instytucja Kościoła rzymskokatolickiego, biorąc pod uwagę jego historię i teraźniejszość, nie może być uważana za autorytet dla nikogo.

Zdaję sobie sprawę, iż dla wielu katolików czytających te słowa w katolickiej Polsce -

powyższe stwierdzenie jest potwarzą, a nawet bluźnierstwem. Niestety, taka jest bolesna prawda, a prawda nie boi się zarzutów. Jeśli ktoś po przeczytaniu historii, którą przytaczam za panią Danutą Hubert - Strauss, zarzuci mi jeszcze szkalowanie, oczernianie Kościoła - niech szybko biegnie do spowiedzi i wypowiada się z grzechu obmowy. O ile bluźniercą nazywa się kogoś, kto demaskuje kłamstwo i walczy o prawdę - będę bluźnił do końca swoich dni!!!

Pani Danuta pochodzi ze wsi. Ma w tej chwili 43 lata (1999 r). Jest technikiem analityki. Zaliczyła dwa lata biologii na studiach, ale z uwagi na stan zdrowia musiała zrezygnować z dalszej nauki. Lekarze nie dawali jej wówczas więcej niż 2 lata życia. Jest bardzo szczupła, filigranowa, tzw. pięć minut.

Jej mąż Jan ma lat 48 i pochodzi z rodziny inteligentkiej z Człuchowa. Skończył

studia prawnicze.

Pobrali się w 1986 roku. Mają czworo dzieci: Paweł ma 13 lat, bliźniaki - Wojtek i Piotrek - po 10,

Agatka - 7 lat.

Państwo Strauss byli i są nadal ludźmi głęboko wierzącymi. Niezachwianą wiarę wynieśli oboje ze swoich domów rodzinnych. Jedynym i najwyższym ziemskim autorytetem był dla nich zawsze Kościół rzymskokatolicki, a papież i księża - ludźmi świętymi, „znakami Boga na ziemi”. Wypełniali sumiennie wszystkie nakazy Kościoła, wszystkie praktyki i obowiązki. Kapłani stawiali ich za wzór katolickiej - wielodzietnej rodziny. W uwielbieniu dla instytucji Kościoła przodował zwłaszcza pan Jan Strauss. Jednym z największych przeżyć tego sztandarowego polskiego katolika - było odprawienie w jego domu mszy św., połączonej z chrztem najmłodszej córki. Często i głośno zwykł mawiać, że Kościół i kapłani są dla niego jedynym autorytetem na ziemi. Człowiek ten wierzył bezgranicznie i bezkrytycznie każdemu księdzu, a sam stan kapłański uważał za ponadludzki. O tym jak wielka była to wiara i ufność najlepiej świadczy fakt, iż nawet dzisiaj(!) niewiele się w tym względzie dla niego zmieniło.

Po ślubie żyli raczej skromnie. Wszystko zaczęło się zmieniać w 1991 roku, w krótkim czasie po założeniu przez pana Jana - toruńskiego oddziału firmy ubezpieczeniowej KONZEPTION II, z siedzibą w Tychach. Była to hybryda firmy KONZEPTION I, działającej w Niemczech. Pośrednictwo w zawieraniu umów ubezpieczeniowych bardzo odpowiadało przedsiębiorczemu i komunikatywnemu prawnikowi. Szybko zdobył sobie wielkie uznanie jako niezwykle rzetelny i operatywny agent ubezpieczeniowy. Świadczyły o tym najlepiej zawierane przez niego spektakularne umowy o ubezpieczenie z największymi podmiotami gospodarczymi w kraju (np. Polskie Koleje Państwowe), które innym agentom - o znacznie dłuższym stażu pracy - mogły się śnić po nocach.

Państwo Strauss niemal z roku na rok stali się ludźmi zamożnymi, ponieważ w ślad za umowami na bardzo wysokie ubezpieczenia, szły na ich konto bardzo wysokie prowizje.

Rozpoczęli budowę własnego 9 - pokojowego domu, jeździli na zmianę dwoma zachodnimi samochodami. Danuta i Jan nie byli jednak materialistami - nie obnosili się ze swoim nowym dorobkiem; pożyczali znajomym pieniądze, wspomagali organizacje dobroczynne, a przede wszystkim Kościół. Chociaż sami mieli duże potrzeby (czworo dzieci) chętnie dzielili się tym, co zarobili. Nade wszystko cenili sobie spokój i naprawdę udane życie rodzinne. Radość z powodzenia w interesach i dobrobytu oraz sielanka rodzinna nie trwały długo - niespełna trzy lata.

1. Jan Hubert Strauss - Toruń
2. MAD S.C. - Katowice
3. Masarczyk, Świerkot - Zabrze
4. Piotr Gerne - Toruń
5. Andrzej Pawletko, Grzegorz Rydzyński - Żory
6. KONCEPCJA S.C. - Tychy
7. Stanisław Majchrzak, Janusz Szota - Tychy 8. Andrzej Słodczyk - Tychy 9. B.T. i U. YOLVEX - Leszczyny
10. Ryszard Radek - Tychy
11. Zbigniew Unicki - Bytom



Serdeczne podziękowanie składając

jednocześnie wszystkim współczesnym
wiadomym czynimy i potomnym
zaświadczamy, że

Imię Pan Jan Hubert Strauss
na odbudowę Zamku Golubskiego
10.900.000,- zł wpłacił

walnie przyczyniając się do jego rewa-
loryzacji. Także do publicznej wiado-
mości podajemy, że dar ów do

Księgi Wieczystej Pamięci

Zamku Golubskiego

wpisan został pod pozycją 1020
z datą 31. xii. 1992 r. aby po wsze czasy
wydarzenie to potomnym znane było.

Dyrektor Zamku
/ - / Sigmund Kwiatkowski

Dan w Golubiu, dnia 31. xii. 1992 r.



TORUŃ, DNIA 29.09.1993

Prof. dr hab. Semon Hubert Nowak

Agencja Konsepcjon II
ul. Kościuski 41/47
w Toruniu

Pa. P.

Mgr Jan Hubert-Strauss
Dyrektor Agencji "Konsepcjon II"
ul. Kościuski 41/47
87-100 Toruń

Serdusznie dziękuję za udzieloną pomoc finansową przy organizacji VII międzynarodowej konferencji naukowej z tytułu "Ordines Militares".

z wyrazami szacunku
Jan Hubert Strauss
Prof. dr hab. Semon Hubert Nowak

Potwierdzam odbiór polisy ubezpieczeniowej

firmy Towarzystwo Ubezpieczeniowe "TOK" S.A. nr M 043126
wystawionej przez Konsepcjon II-Biuro Toruń ul. Kościuski 41/47.

Niniejsza polisa obejmuje ubezpieczenie od ognia
i innych zdarzeń losowych budynku Szobka nr 6 w Toruniu przy
ulicy Łigi Polskiej 6 oraz wyposażenia w/w obiektu.

Składka w wysokości 2.510.000 zł za ubezpieczenie
w/w mienia o wartości 2.034.620.000 zł została opłaconą
przez mgra Jana Hubert-Straussa, Dyrektora Konsepcjonu II w Toruniu.

Do wiadomości:

- 1) Miejski Wydział Zdrowia - Szobka Miejska
- 2) s/a

KIEROWNICI
1993
- w M. H. S. -

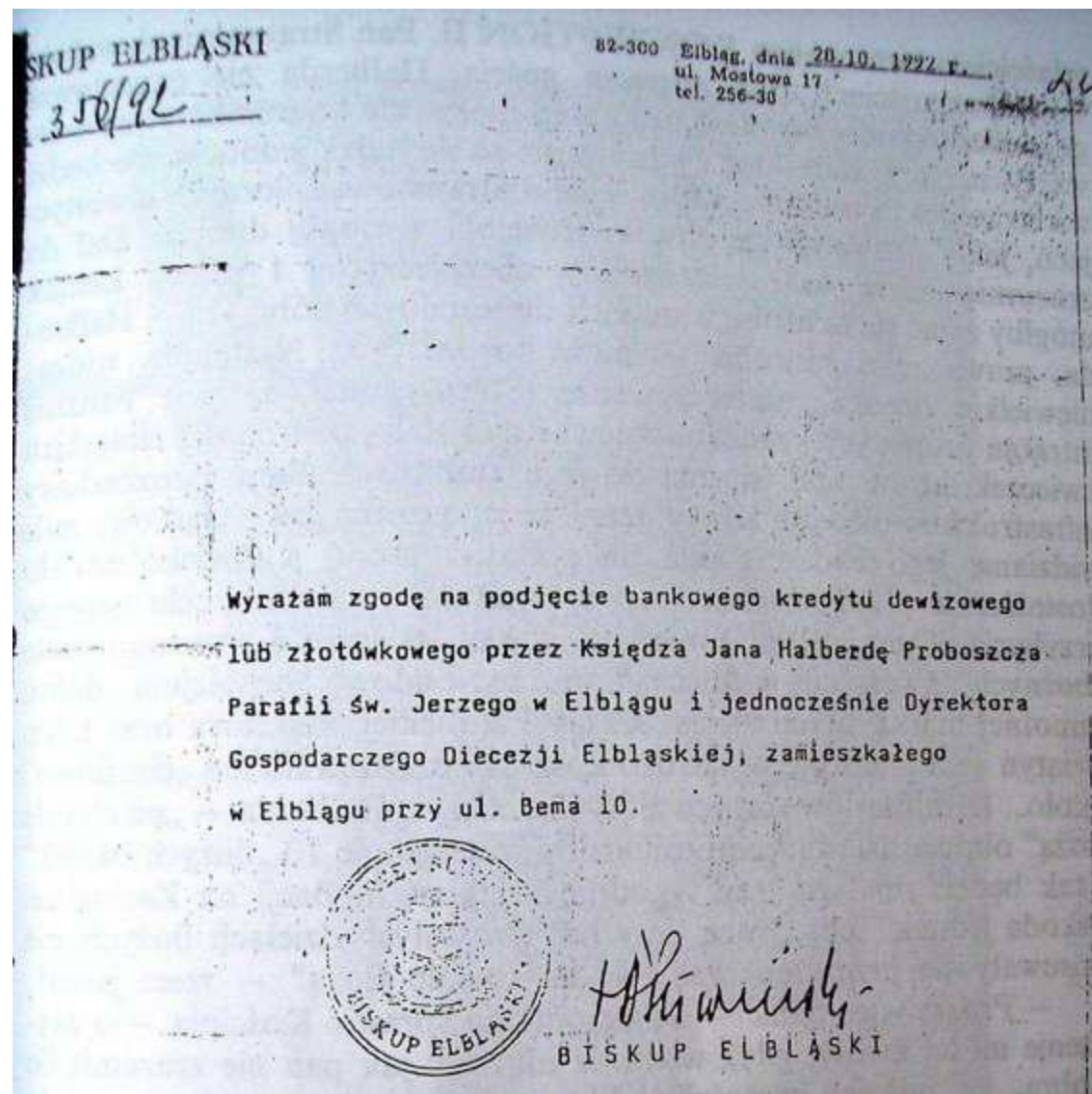


Dom państwa Straussów z „okresu świetności”

Na początku 1994 roku Jan Strauss przebywał w Warszawie w interesach. Również w interesach przebywał w tym czasie w stolicy ksiądz prałat Jan Stanisław Halberda - niski, łysiejący kapłan przy tuszy, około pięćdziesiątki. Piastował on wówczas odpowiedzialne stanowisko dyrektora gospodarczego diecezji elbląskiej; był jednocześnie proboszczem Parafii św. Jerzego w Elblągu, członkiem Rady Kurialnej, diecezjalnym duszpasterzem Służby Zdrowia, Straży Pożarnej oraz prawą ręką i wielkim zaufanym biskupa Andrzeja Śliwińskiego, ordynariusza nowo erygowanej diecezji. Należy nadmienić, iż diecezja elbląska, jak wiele innych, nowych diecezji w Polsce, powstała w 1992 roku na mocy bulli papieskiej.

Ksiądz prałat Halberda (co niezwykle istotne!) miał wszelkie pełnomocnictwa od swojego biskupa na zaciąganie różnorodnych pożyczek i kredytów. Wiązało się to z tym, iż zajmował się on

diecezjalnymi finansami, inwestycjami, a także ubezpieczeniami tychże inwestycji - prowadził m.in. własną agencję PZU SA. Duchowny, który (oprócz biskupa) ma dojsście do dużej kasy, jest zawsze szarą eminencją w diecezji i cieszy się pełnym zaufaniem swojego ordynariusza.



Obowiązki Halberdy w zakresie ubezpieczeń zadecydowały o skrzyżowaniu się dróg dwóch mężczyzn. Spotkali się w Warszawie zupełnie przypadkowo. Pan Strauss rozmowę z osobami duchownymi poczytywał sobie zawsze za wielki zaszczyt, stąd też prawdopodobnie jemu można przypisać główną inicjatywę w zawarciu tej znajomości. Tym razem zrobił to na swoją zgubę. Ten dzień i to spotkanie będą przeklinać do końca swoich dni - on sam, jego żona i czwórka ich dzieci.

O ile pierwsze spotkanie było przypadkowe i miało charakter kurtuazyjny, drugie miało być o wiele bardziej „owocne”. Ksiądz prałat pofatygował się do Torunia, aby zaszczyścić swoją obecnością właściciela tamtejszego KONZEPTION II. Pan Strauss rozpyływał się w serdecznościach pod adresem gościa. Halberda nie pozostawał gospodarzowi dłużny. Jest to kapłan niezwykle komunikatywny i ot - warty, mający wielki dar zjednywania sobie ludzi; jednocześnie budzi wielki respekt i zaufanie. Opowiedział Straussowi o licznych inwestycjach, jakie prowadzi na chwałę Kościoła w nowej diecezji Dał do zrozumienia, że taki wiarygodny ubezpieczyciel i prawy katolik mógłby zająć się ochroną wszelkich diecezjalnych dóbr. On - Halberda, prawa ręka biskupa - może to załatwić. Następnie, widząc niewielkie oznaki zainteresowania (Strauss miał o wiele bardziej intratne propozycje) zaczął

ubolewać nad słabą ofiarnością elbląskich owieczek, która nijak się ma do jego ambitnych planów rozbudowy infrastruktury diecezji. Kiedy uznał, że jego osoba jest wyjątkowo mile widziana, jego gadka trafiła na podatny grunt, a łowisko zostało dostatecznie przygotowane -

przystąpił do wyjawienia celu swojego przybycia. Oznajmił ni mniej, ni więcej, iż musiał

przerwać wiele zbożnych inwestycji w diecezji, m. in. budowę: hospicjum, domu samotnej matki, przedszkola, szkoły katolickiej, klasztoru oraz kilku świątyń - a przestoje są bardzo kosztowne. Zabrakło mu „chwilowo” około... 10 miliardów starych złotych... On - Halberda -

„na chwałę Bożą” obraca dziesiątkami miliardów, a te głupie 10 „dużych baniek” i tak będzie miał za trzy tygodnie z jakiejś fundacji na Zachodzie. Szkoda jednak, żeby prace przy tak wzniosłych dziełach Bożych, nie posuwały się przez ten czas - „na chwałę Bożą” - rzecz jasna!

- Proszę więc pana - osobę oddaną sprawie Kościoła - o użyczenie mi tej kwoty, gdyż wiem, iż nikt tak jak pan nie zrozumie ile dobra, ile miłości chrześcijańskiej przynieść mogą tak wspaniałe przedsięwzięcia.

Pan Hubert - Strauss był rasowym businessmanem, ale niestety przede wszystkim oddanym katolikiem, który widząc sutannę tracił instynkt samozachowawczy. Pech chciał, że akurat miał otrzymać na konto 9 miliardów od Energetyki Poznańskiej, tytułem ubezpieczenia w PZU. Innymi słowy - tyle wynosiła składka ubezpieczeniowa Energetyki, którą pan Jan miał przekazać na konto PZU. Agent ubezpieczeniowy wiedział, iż pieniądze te mogły leżeć u niego co najmniej przez dwa miesiące. Po tym czasie powinien jednak uregulować wierzytelność. Dlaczego nie miałby wspomóc ukochanego Kościoła i zaskarbić sobie łaskę Pana Boga - oddając na parę tygodni pieniądze do dyspozycji tego zacnego księdza? Gdyby nie miał, ale akurat jest taka możliwość. Może to palec Bożej opatrności!? Resztką





„Uboga” świątynia „Ubogiego” prałata.

zdrowego rozsądku nakazała mu jednak sprawdzić wiarygodność księdza Halberdy. Nie obiecując mu nazbyt wiele zaprosił się do Elbląga, aby na miejscu zobaczyć „zbożne inwestycje”, jakie do tego czasu poczynił rezolutny prałat Wszystko zgadzało się co do joty -

rozpoczęte z rozmachem ogromne budowle, firmy oczekujące na uregulowanie należności, duży nakład środków finansowych oraz majątek, który dawał gwarancję ewentualnego ściągnięcia długu. Prawdziwą gwarancją spłaty pożyczki w terminie był jednak kredyt, który Halberda miał otrzymać „najpóźniej za parę tygodni”. Na dowód tego wymachiwał przed nosem Straussa napisanym po angielsku... podaniem(!!!) o przyznanie 50 mln dolarów na rozbudowę parafii, wraz z opisem wykorzystania kredytu. Na swoje nieszczęście pan Jan nie znał angielskiego. Był już zresztą na tyle omamiony i zbajerowany, że bilet lotniczy do Londynu przyjąłby za przelew z Banku Światowego.

Po upływie dwóch tygodni była już przygotowana umowa pożyczki 9 miliardów zł, naturalnie bez żadnego oprocentowania Asekuracyjnie - na wniosek Straussa - przyjęto dwa miesiące na spłatę całej kwoty, tj. do 29 kwietnia '94; chociaż ksiądz Halberda zarzekał się, że spłaci wszystko „...za kilkanaście dni...”. Na wszelki wypadek Strauss poprosił Halberdę o podpisanie weksli, które mogły być uruchomione w przypadku niedotrzymania terminu zwrotu pożyczki. Wszelkie nieścistości miały regulować przepisy Kodeksu Cywilnego.

Pieniądze zostały przekazane w całości (w gotówce i przelewem) księdzu prałatowi, co ten potwierdził własnoręcznym podpisem. Wkrótce uiścił też opłatę skarbową od umowy - w wysokości 200 mln st. zł.

Trzeba zaznaczyć, że faktycznie była to umowa pomiędzy Janem Hubertem -

Straussem a Parafią rzymskokatolicką św. Jerzego, którą proboszcz Halberda tylko reprezentował. Jako diecezjalny dyrektor gospodarczy - zaciągając pożyczkę na cele sakralne

- występował również z ramienia swojego biskupa.

Pan Jan postanowił nie mówić o niczym żonie, gdyż ta była daleko bardziej ostrożna i z pewnością odradziłaby mu pożyczanie nie swoich pieniędzy. W połowie kwietnia Strauss przypadkowo dowiedział się o artykule zamieszczonym w jednym z tygodników na temat ogromnych pożyczek zaciąganych przez księdza... Halberdę, których ten nie i spłaca.

Spanikowany agent przez parę kolejnych nocy nie zmrużył oka. W końcu żona wyczuła, że coś jest nie tak i wprost zapytała o to męża. Jan wyznał jej wszystko. Teraz nie spali już oboje. Następnego dnia mężczyzna wybrał się do prałata, ale ten znowu bezbłędnie

p. w. Św. Józefa
ul. Gen. Józefa Bema 10
tel. 252-78, 266-42
82-300 ELBLĄG

DESCRIPTION OF A USE OF CREDIT

St. George Roman Catholic Parish in Elbląg has been running economic activity since 1.08.1990 on the grounds of art. 40 Act of relation of the State towards Church in the Republic of Poland (Regulations Gazette No 29, item 154 of 23.05.1989) as a subject of rights on the grounds of art. 7, part 1, item 5 of the said Act. In order to extend its activity the Parish is applying for a credit of 50.000.000 US dollars.

Considering the privatization processes which are now taking place in Poland, the Parish intends to use the credit for the following economic undertakings:

- to achieve full economic efficiency of the agriculture farms that have been taken over;
- to start and develop a broadcasting station (frequency has been already allocated by the Ministry of Communication);
- to develop more extensive education and didactic activity;
- to buy stocks or whole plants that are being privatized in the region essential to maintain high condition of the establishment.

In a process of revindication of church possessions, large agriculture farms with the whole infrastructure are being taken over. After years of bad economic management it is necessary to invest a lot of money to regain their full production capacity. It requires not only recultivation of land but also renewing stock of machines and buildings on the level of the world requirements. We want to carry out all this maintaining full ecologic standards for healthy food production, in a close production process i.e. from growing and breeding through processing industry to products and intermediate products for the market.

UMOWA POŻYCZKI

Zawarta w dniu 02 marca 1994 roku w TORUNIU
pomiędzy Janem HUBERT-STRAUSS
zam. w Toruniu przy ul. J. Długosza lm. 2
legitymującym się ~~Dowodem Osobistym~~ ^{Dowodem Osobistym} Serii AA Nr 3309124
wydanym przez wojewodę toruńskiego
a Proboszczem Parafii Rzymskokatolickiej pw. Św. Jerzego w Elblągu
ks. Janem Stanisławem Halberda, zam. Elbląg, ul. Bema 10
legitymującym się Dowodem Osobistym Serii AB Nr 5102150 wydanym
przez Naczelnika Gminy w Lidzbarku Warmińskim.

§ 1

Jan Hubert-Strauss -----

udziela bezprocentowej pożyczki w kwocie: 9.000.000.000,- zł
(słownie: dziewięć miliardów złotych -----)

ks. Janowi Stanisławowi Halberda, który pożyczkę przyjmuje
i potwierdza jej odbiór.

§ 2

Pożyczka zostanie zwrócona w terminie do dnia 29 kwietnia 1994 roku.
w siedzibie Parafii Rzymskokatolickiej pw. Św. Jerzego w Elblągu,
ul. Bema 10.

§ 3

W przypadku niedotrzymania terminu zwrotu pożyczki zostanie uruchomiony
weksel podpisany w dniu wypłaty pożyczki.

§ 4

Umowa niniejsza może być wypowiedziana po pierwszym miesiącu jej
trwania, jednakże z tygodniowym wyprzedzeniem.

§ 5

Wszelkie zmiany umowy wymagają formy pisemnej.

§ 6

W sprawach nie uregulowanych niniejszą umową mają zastosowanie
odpowiednie przepisy Kodeksu Cywilnego.

§ 7

Umowa została sporządzona w dwóch egzemplarzach, po jednym dla
każdej ze stron.

POŻYCZKODAWCA

Parafia Rzymskokatolicka
p.w. Św. Jerzego
ul. Gen. J. Bema 10 tel. 252-78
82-300 ELBLĄG

POŻYCZKOBIORCA

PROBOSZCZ PARAFII
ks. Jan Halberda

2.000.000.000 zł w biurze w dniu
02.03.1994 do rąk Niasnych J. Halberdy

CZEK GWYBKOWY
AB 1899108
ZAWIADOMIENIE O KSIEGOWANIU CZEKU
3.000.000.000
W CIĘŻAR RACHUNKU NUMER
08601 15144 130
02-03-94

(PRZELEWU/POBRANIA)
Nazwa wierzyciela
Panofia Wyznska-Kato
sw. Jacek
ul. Bema 17 81-010
ks. Jan Stanislaw Halberdy
w (Banku): Bank Gdanski S.A. w (Banku): PKO BP
Nr rachunku: 308601-16144-130 Nr rachunku: 15144-130
Pl. Kas.: Kwota: 4.000.000 000
Data: 02.03.94 Tytułem: wypłata z dnia 02.03.94
"KONZEPCION III"
mgr Jan Hubert Strauss
Toruń, ul. Kościuszki 41/47
tel/fax 344-45
02-03-94

86285 z torun c
511305c el c
zczc 107/c 191 511305c el c
elblag/2 42 26 1450

tf05625003
konepcion ii
agencja jan hubert- strauss
ul szosa chełmonska 28
87-100 torun

z uwagi na sytuację losową zobowiązanie księdza
halberdy nie może być zrealizowane w terminie ksiąg
w stanie ciężkim leży w szpitalu
ryszard bafia adwokat

col tf05625003 28 87-100

TEI
206
Przyjęto
26/05/92
Odelegatowa
dn. 26.05.92
5003
Książka
W medontow
lon

wykorzystał cały swój dar przekonywania. Zapewnił „na 100%”, iż dług będzie spłacony na czas. Kiedy nadszedł termin spłaty - zamiast pieniędzy przyszedł telegram od adwokata Halberdy, informujący o ciężkiej chorobie księdza dyrektora, co okazało się oczywistym blefem.

Tymczasem jednak pan Strauss pogrążył się w boleści nad chorobą kapłana i „sytuacją losową”, w jakiej znaleźli się obydwaj. Pani Danuta natomiast kobiecym nosem wyczuła jawny przekręt i - nie szukając Halberdy po szpitalach - od razu zadzwoniła do jego przełożonego, biskupa ordynariusza Śliwińskiego. Ten zarzekał się, że nie wie o żadnej pożyczce. Było to bezczelne kłamstwo, udowodnione później przed sądem.

Straussowa z duszą na ramieniu pojechała jeszcze tego samego dnia do Elbląga. Do pałacu biskupiego dotarła około 22.30. Ordynariusz przyjął ją nawet dość grzecznie, jak na tę porę. Przed wszystkim okazało się, iż Halberda jest nieosiągalny. Biskup ubolewał nad samo

- wolą swojego dyrektora. Tłumaczył się nawalaniem pracy i obowiązków:

- Nie mogę wiedzieć o poczynaniach każdego(!) ze swoich proboszczów. Mam w diecezji ponad 300 parafii..! - kłamał jak najęty (w rzeczywistości ma niespełna 150).

Obiecywał jednak zrobić wszystko co w jego mocy, aby pozytywnie załatwić sprawę. Takie zapewnienia z ust - bądź co bądź pasterza diecezji i księcia Kościoła - dość skutecznie uspokoiły panią Danutę. Jeszcze wówczas do głowy jej nie przyszło, że ma do czynienia z perfidnym szubrawcą i złodziejem.



Królestwo biskupa Śliwińskiego

„...lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł oprzeć” Ew. Łuk. 9,58



„Mieszkanko” ordynariusza

Halberd a był ciągle nieuchwytny. Tymczasem PZU zaczęło upominać się o składkę Poznańskiej Energetyki. Pan Jan kilkakrotnie prosił o prolongatę w przelewie pieniędzy.

Ciągle wierzył, iż nagle zjawi się ksiądz prałat i załatwi od ręki całą sprawę. W końcu zjawił

się, owszem - tyle że bez grosza. Przepraszał, ubolewał; tłumaczył się wstrzymaniem zagranicznego kredytu; obiecywał pieniądze - za tydzień, za miesiąc, za dwa tygodnie, w przyszłym kwartale itd. itp... Miał nawet kilka błyskotliwych pomysłów na zarobienie w krótkim czasie całej pożyczonej kwoty. Chciał m.in. założyć fundację w celu oddłużenia diecezji elbląskiej, ale biskup podobno zabronił mu się wygłupiać. Myślał również o wejściu w układ z jakąś firmą ubezpieczeniową, której

agentami byliby... księża. Kiedy jednak biskup zawiesił go w czynnościach kapłańskich i pozbawił parafii - Halberda tylko bezradnie rozkładał ręce i mówił:

„Teraz to już nic nie mogę zrobić...”

Śliwiński nie miał jednak innego wyjścia. Przy okazji sprawy Straussów, nagłośnionej już w mediach, na światło dzienne zaczęły bowiem wychodzić inne przekręty prałata. Do kurii zgłaszali się coraz to nowi poszkodowani. Suma pożyczek zaciągniętych przez Halberdę przekroczyła ...200 000 000 000 st. zł!!! (słownie: dwieście miliardów starych złotych).

Duszpasterz puścił z torbami nie jedną rodzinę (kilka doprowadził na skraj nędzy). Upadło kilkanaście firm; paru ludzi stanęło później przed sądami i otrzymało wyroki skazujące; jednego podobno odcięto z liny; inny zmarł na zawał, a wszystko to „NA CHWAŁĘ BOŻĄ!” Swoją drogą, ciekawe jak czują się dziś użytkownicy sakralnych budowli księdza Halberdy.

Wśród najbardziej głośnych spraw, należy wspomnieć o dramacie dwóch mieszkańców Gdyni - Andrzeju W. i Zbigniewie Z, którzy jesienią 1992 roku pożyczili Halberdzie kilkanaście miliardów w sześciu ratach. Trzy lata później zaparkowali przyczepę kempingową przed kurią w Elblągu. Na przyczepie widniał transparent „Biskupie oddaj nasze pieniądze”. Ich pikietą trwała parę tygodni - bez żadnego skutku. Wcześniej wystosowali do Śliwińskiego pismo, na które nie otrzymali odpowiedzi. Przez półtora roku jeździli po wszystkich instytucjach kościelnych w kraju. Pojechali też do Watykanu, skąd odesłano ich do nuncjusza papieskiego w Polsce. Arcybiskup Kowalczyk odpowiedział, iż:

„...nie zajmuje się sprawami między żyjącymi...” i skierował wierzycieli do Episkopatu. W Wigrach odbywała się akurat konferencja biskupów. Czekali dwa dni przed budynkiem. W końcu podszedł do nich jakiś ksiądz i powiedział:

„W Kościele nie ma odpowiedzialności zbiorowej. Macie załatwiać rozliczenia bezpośrednio z diecezją w Elblągu...”. Wysłali pismo do Sądu Metropolitalnego w Olsztynie.

Bez żadnej odpowiedzi. Jedyne biskup Pieronek opowiedział się po ich stronie, ale niczego nie załatwił. Poza nim, wszędzie spotykali się z lekceważeniem, arogancją, a często z najzwyczajszym chamstwem ze strony przedstawicieli Kościoła. W Elblągu byli średnio dwa razy w tygodniu. Biskup Śliwiński, o ile zgadzał się ich przyjąć, rozkładał bezradnie ręce.

„...Nie mogę regulować prywatnych długów księdza Halberdy!” - zapewniał i odsyłał

do wyższych władz. Gdynianie próbowali dochodzić swoich praw przed sądem cywilnym. Ze względu na wysokość kosztów wpisu, zmuszeni byli żądać jedynie kwot częściowych. W

pierwszej sprawie Sąd Rejonowy w Elblągu nakazał parafii zwrot 100 milionów st. złotych.

Zgoła osobnym problemem okazało się ściągnięcie ww. kwoty. Koczując w przyczepie pod kurią, zdesperowani gdynianie bezskutecznie prosili o ostateczną rozmowę z biskupem. Ten skierował ich w końcu do diecezjalnej siedziby Caritasu. Ksiądz dyrektor Bronisław Trzciniński zaproponował im

jednorazową pomoc w wysokości... 10 - 20 milionów. Ludzie, którzy stracili ogromne majątki odebrali to jako pot warz. Nie chcieli zapomogi. Zapowiedzieli strajk głodowy do skutku. Kogo to jednak obchodziło! A panowie z Gdyni to nie wiedzieli, że Kościół jest po to, żeby brać, a nie dawać!?

W trakcie przygotowywania książki do druku otrzymałem wiadomość z ostatniej chwili.

Andrzej W. zmarł nagle na zawał serca w wieku 43 lat. Stało się to na kilka dni przed kolejną rozprawą przeciwko kurii w Elblągu, zapisaną na 25 lutego 1999 r. Sprawa z powództwa gdynianina została zawieszona. Wdowa, Mirosława W., pozostała z dwojgiem dzieci, bez pracy i bez środków do życia. Musiała zmienić mieszkanie na mniejsze, gdyż nie stać ją było na opłacenie czynszu. Jej teściowa zadzwoniła do biskupa Śliwińskiego, przedstawiając mu tragiczną sytuację rodziny. Nie miały bowiem nawet pieniędzy na pogrzeb. Ubogiej wdowie i jej pól sierotom, biskup odmówił jakiegokolwiek pomocy, choć Andrzej W. „utopił” w jego diecezji kilkanaście miliardów st. zł - niemal wszystko co posiadał. Po wpadce z „pożyczką” dla Kościoła, jemu i jego rodzinie niemal z dnia na dzień zajrzało do oczu widmo nędzy. Andrzej wraz z kolegą Zbyszkim przez prawie siedem lat walczyli

Szanowny Pan
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Aleksander Kwaśniewski
Warszawa

Ks. Jan Halberda, były proboszcz parafii pod wezwaniem św. Jerzego w Elblągu zaciągnął pożyczkę w Towarzystwie Wspólnego Inwestowania S.A. w Elblągu.

Otrzymałem informację, że Pan Prezydent wyraził zgodę na likwidację tego zadłużenia zgodnie z przepisami prawa.

Wyrażam głębokie przekonanie, iż zlikwidowanie tego bolesnego problemu leży w głębokim interesie społecznym.

Z poważaniem



Andrzej Śliwinski
BISKUP ELBLĄSKI

o odzyskanie swoich pieniędzy. Zmarły przedwcześnie mężczyzna był coraz bardziej załamany, nie spał po nocach, żył w ciągłym stresie. W końcu dostał rozległy zawał. Jego krew jest na rękach czarnych oprawców z Elbląga.

Ktoś powie, że na biednych nie trafiało? Będzie miał sporo racji, chociaż przewielebny Halberda nie gardził żadną ofiarą i pożyczka od kogo się dała. Przede wszystkim polował jednak na prawdziwe rekiny młodej, kapitalistycznej gospodarki. W

ubiegłym, 1998 roku bogacz z Elbląga Bogdan Gomel wystawił na sprzedaż kościół św.

Jerzego. Oferta sprzedaży wisiała przez kilka tygodni w gablocie biura AG - Univers w Gdyni. Halberda „trafił” Gomela na... 80 miliardów st. zł. Kościół został wyceniony na trzy miliony

dolarów. Sąd w Elblągu wydał parafii nakaz spłacenia Gomela. Świątyni nikt nie kupił. Pieniądzy jak nie było, tak nie ma.

W tym samym czasie, w tym samym Sądzie - inny mieszkaniec Elbląga domagał się jedynie miliarda. Zapewne uznał, iż nie warto na taką sumę spisywać porządnej umowy pożyczki, gdyż Sądu nie przekonały dokumenty, które przedłożył.

W Elblągu głośno było o zadłużeniu diecezji w Towarzystwie Wspólnego Inwestowania SA. Chodziło o (bagatela!) 32 miliardy. Halberda nie oszczędzał więc nawet własnego podwórka. Jak wiadomo, dobry złodziej nigdy nie kradnie na swoim terenie, stąd też ordynariusz tym razem „poczuł się” do załatwienia problemu, o czym świadczy załączone obok pismo.

Jedną z ostatnich ofiar Halberdy była księgowa Energetyki w Elblągu, która w 1994

roku pożyczyła mu 1,5 miliarda, niespełna tydzień przed wypłatą w swoim przedsiębiorstwie.

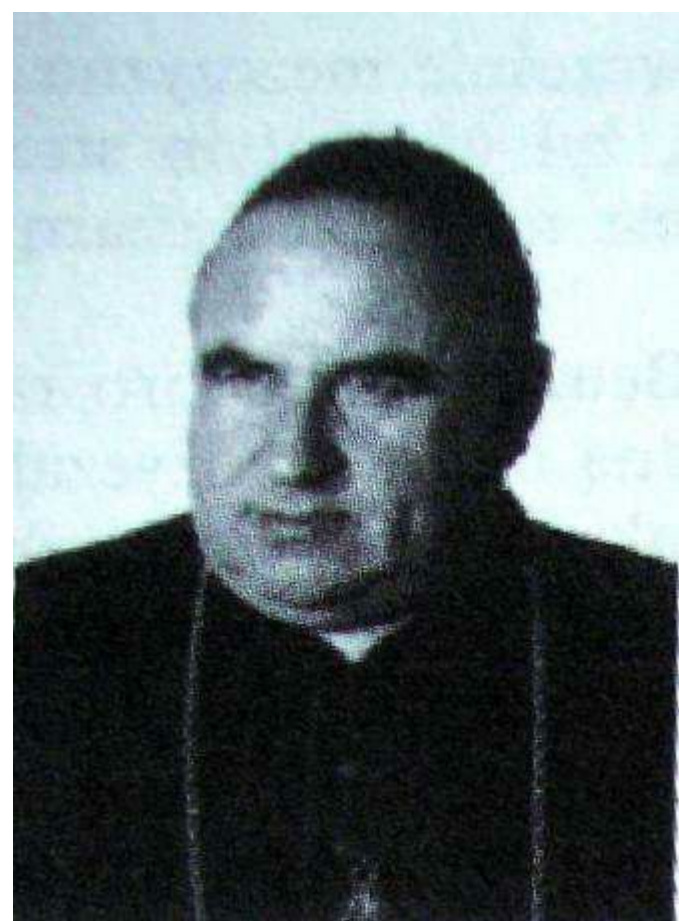
Jak nie trudno się domyślić - zwrot pożyczki miał nastąpić po „paru” dniach. Księgowa wylądowała w sądzie, gdzie miała sprawę karną o zagarnięcie mienia. Dostała wyrok i poszła siedzieć.

Pieniądze straciła także... koleżanka Halberdy z Nowego Sącza. Jej mąż przez kilka lat wypruwał sobie flaki w Stanach Zjednoczonych, podejmując tam - polskim zwyczajem -

najcięższe prace. W związku z tym podupadł na zdrowiu. Cóż z tego, skoro naciulał aż 50.000

„zielonych”. Halberda dowiedział się o jego powrocie do kraju. Ambitny góral był również znanym obrońcą wartości chrześcijańskich. On i jego rodzina cieszyli się dewizami przez parę dni. Stracili całe 50.000 \$.

Nie sposób wyliczyć wszystkich pojedynczych osób - „ofiarodawców” diecezji elbląskiej. Są dowody na to, iż wielu z nich po prostu



O AUTORZE:

Biskup dr Andrzej Śliwiński urodził się 6 stycznia 1939 roku w Werblini. Szkołę podstawową ukończył w Wejherowie średnią w Pelplinie. Świecenia kapłańskie otrzymał w Pelplinie 17 grudnia

1961

roku.

Po

dwuletniej

pracy

duszpasterskiej rozpoczął studia specjalistyczne z teologii dogmatycznej na Katolickim Uniwersytecie

Lubelskim, uwieńczone uzyskaniem stopnia doktora,

na podstawie złożonych egzaminów i pracy pt.:

„Idea ludu Bożego we współczesnej eklezjologii”. W

latach 1968 - 1995 był profesorem Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie, a od 1970 do 1986 roku Kanclerzem Kurii Pelplińskiej.

W roku 1986 papież Jan Paweł II mianował go biskupem pomocniczym diecezji chełmińskiej. Mieszkając w Gdyni pełnił funkcję wikariusza generalnego i wikariusza biskupiego do Spraw Duszpasterstwa Wybrzeża, Diecezji Chełmińskiej.

Był dyrektorem punktu konsultacyjnego Akademii Teologii Katolickiej.

25 marca 1992 roku został pierwszym biskupem, nowo utworzonej diecezji elbląskiej.

W Episkopacie Polski pełni funkcję Duszpasterza Ludzi Sportu. Jest prezesem Katolickiego Stowarzyszenia Sportowego Rzeczypospolitej.

machnęło ręką na swoją krwawicę. Plując sobie w brodę, ludzie ci spisali wszystko na karb własnej naiwności. Ilu z nich po drodze straciło wiarę? Ile osobistych i rodzinnych dramatów poniosła za sobą ich „ofiarność”? Czy to są te „owoce”, po których mamy poznać prawdziwych uczniów Chrystusa i prawdziwy, święty, apostołski Kościół?!

Biskup Śliwiński zarzekał się wielokrotnie, że nie wiedział o żadnej z kilkudziesięciu pożyczek! Wielokrotnie również udowodniono mu w tym względzie kłamstwo. Jest niemal pewne, iż wiedział przynajmniej o większości z nich, w tym o wyłudzeniu 9 mld od państwa Straussów. Na rękę była mu rozbudowa całej diecezji za pieniądze, które pożyczał jego zaufany kapłan. Sam, wiedząc o nadzwyczajnych zdolnościach Halberdy na tym polu, namawiał go do okradania ludzi na prawo i lewo. Kiedy przyszło do spłaty długów - biskup w goście Piłata umył ręce, a wszystkich wierzycieli odsyłał do swojego byłego dyrektora, ze słowami:

„...Idźcie do Halberdy, to jego prywatne pożyczki i prywatne długi. On teraz nie podlega nawet pod moją władzę. To prywatna osoba..!”.

Dla odmiany kierował nieraz pokrzywdzonych do prymasa, nuncjusza apostolskiego lub wprost do Watykanu. Stamtąd odsyłano ich z powrotem do kurii w Elblągu. Nieważne było dla Śliwińskiego, że za skradzione ludziom pieniądze wybudowano prawdziwe królestwo, po którym mógł z dumą przechadzać się nowy ordynariusz - pomieszczenia kurialne, dom parafialny, dom samotnej matki, klasztor Sióstr Nazaretanek, hospicjum stacjonarne, pomieszczenia rozgłośni radiowej, szkołę katolicką, przedszkole, dwie nowe świątynie, bazę turystyczną, sklepy, bar itp. Niektóre z tych inwestycji miały co prawda służyć potrzebującym ludziom, ale większość obliczona była na zysk. Może biskup Śliwiński sądził, iż w ciągu dwóch lat wszystko to zbudowało i wyposażyło się samo - w sposób cudowny; ewentualnie pieniądze rozmnożyły się na kościelnych tacach! Guzik prawda!

Dokładnie o wszystkim wiedział i sam zaplanował cały business plan. Nie chciał czekać na podatki z parafii i marne dotacje z Episkopatu. Prałat Halberda - choć też oszust i naciągacz, ale bardziej nałogowy niż wyrafinowany - był tylko jego kozłem ofiarnym. Oto, co napisał

czcigodny ojciec diecezji swojemu kapłanowi, jednocześnie go suspendując i odbierając mu prawo do wynagrodzenia:

„...Przewielebny ksiądz prałat swoim lekkomyślnym zaciąganiem pożyczek i kredytów, nie mając przy tym realnych podstaw na ich zwrócenie, doprowadził nie tylko do poważnego zakłócenia porządku moralnego i publicznego, ale przede wszystkim do krzywdy wielu osób, które zostały bez funduszy do normalnej egzystencji (...) W ten sposób Przewielebny ksiądz prałat naruszył nie tylko normy Prawa Bożego i Prawa Kanonicznego, ale także przepisy Prawa Świeckiego, obowiązującego w Polsce...”.

Zdegradowany kapłan nie miał już nic do stracenia - postanowił się bronić:

„Nie mogę dłużej milczeć” - powiedział ksiądz Jan Halberda dziennikarzom 24

października 1995 roku.

„...Zdaję sobie sprawę, że moja decyzja wtajemniczenia prasy w sprawy diecezji, może zakończyć się dla mnie niezbyt pomyślnie, ale ja muszę się bronić. Jestem niewinny.

Pożyczki zaciągałem za wiedzą i przy poparciu księdza biskupa Śliwińskiego. Chyba nikt nie przypuszcza, że jako dyrektor gospodarczy diecezji elbląskiej, działałem bez upoważnienia mojego zwierzchnika?

Nikt z hierarchii kościelnej nie chce ze mną rozmawiać. Moje listy pozostają bez odpowiedzi Tak jest w przypadku Sekretariatu Episkopatu, tak jest z biskupem Śliwińskim.

Nuncjusz papieski, ks. abp Józef Kowalczyk również zbył mnie, nie wnikając w sedno sprawy. A przecież pieniądze pozyskiwane w formie pożyczek przeznaczałem na cele kościelne. Chcę powiedzieć, że realizowałem łącznie 16 różnych inwestycji podległych diecezji. Mam oficjalne

wyceny niektórych spośród nich: dom samotnej matki - ponad 4

miliardy złotych, szkoła katolicka - ponad 13 miliardów, hospicjum św. Jerzego - ponad 7

miliardów. Przecież te pieniądze nie wzięły się z niczego. Na wszystkie inwestycje, remonty i materiały mam rachunki, faktury. Czy naprawdę ksiądz biskup nie wiedział, skąd pochodzą pieniądze..?!”

Tak więc ksiądz Halberda twierdził i do dnia dzisiejszego to podtrzymuje, że Śliwiński wiedział o każdej pożyczce. Na potwierdzenie tego ma podobno wiele niepodważalnych dokumentów, których nie ujawnia, gdyż ciągle ma nadzieję na powrót do czynnej pracy w Kościele. Według słów prałata - biskup wielokrotnie sam osobiście prosił go o pożyczanie „na szybko” jakiejś brakującej mu kwoty, np. na podróż do Watykanu.

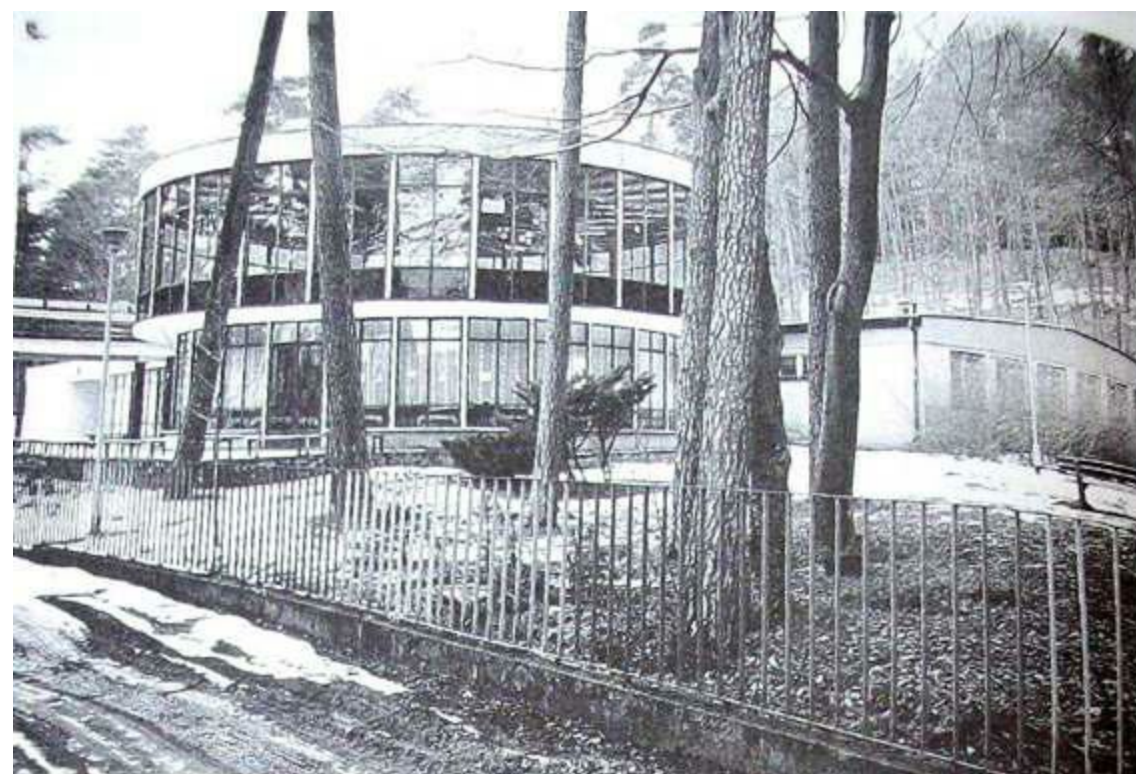
Wszystko działało się za jego zgodą i pełną aprobatą. Co więcej, był on - przez fakt bezpośredniego zwierzchnictwa nad Halberdą - motorem sprawczym polityki rozbudowy diecezji za pożyczone pieniądze. Bezsportny jest fakt pełnej odpowiedzialności Śliwińskiego za skutki takiej polityki, ponieważ pieniądze były pożyczane na umowy sygnowane pieczęcią parafii św. Jerzego. Podpisywał





Kurialny ośrodek wczasowy

Jedna z wielu plebanii wybudowanych za „pożyczone” pieniądze





Ośrodek rekolekcyjny. Czy ten budynek sprzyja umartwieniom?

Jedna z wielu „superfortec” Elbląga - tzw. dom modlitwy je ks. Halberda, mający pełnomocnictwa oraz poparcie swojego biskupa i to zarówno z racji funkcji dyrektora gospodarczego diecezji, jak i proboszcza parafii.

Wyłudzenie pieniędzy od zakładów, banków, firm prywatnych i osób cywilnych trwało z górą dwa lata. Zakończyło się na Straussach, a właściwie na pani Danucie, która zrobiła najwięcej szumu wokół całej sprawy.

Istnieją dowody, że tak Śliwiński, jak i inni najwyżsi dostojnicy kościelni w Polsce wiedzieli już jednak dużo wcześniej o pożyczkach, jakie zaciągał obrotny prałat. Mimo to, nie zrobili niczego, aby go powstrzymać; co więcej - przez długie miesiące pełnił on dalej funkcję ekonoma diecezji i naciągał kolejnych ludzi. Dowodem jest wymiana korespondencji pomiędzy Ryszardem Bafią - prawnikiem Halberdy, biskupem Śliwińskim oraz sekretarzem Episkopatu Pieronkiem, ze stycznia 1994 roku. Listy te (jak wszystkie inne dokumenty dotyczące całej sprawy) są obecnie w moim posiadaniu. Straussowie otrzymali je od Stanisława Wronka - sekretarza bpa Pieronka, podczas pierwszej wizyty na Miodowej.

Korespondencja dotyczy kontaktów Halberdy z firmą Banker LTD z Gdyni. Prałat zwrócił się do Bankera z prośbą o pośrednictwo w znalezieniu kredytodawcy na sumę miliona dolarów.

Kiedy zabiegi firmy wyraźnie przeciągały się w czasie, duchowny - nie mogąc najwidoczniej doczekać się kasy - wysępił „na szybko” 4,5 miliarda złotych od samego Bankera.

Operatywna firma z Gdyni nie znalazła jednak „leszcza” na bańkę zielonych dla Halberdy.

Ten - w związku z tym - nie czuł się zobowiązany oddać 4,5 miliarda...

Każdy, kto słyszy o działalności tego charyzmatycznego kapłana, wiedząc nawet o jego nadzwyczajnych zdolnościach mamienia ludzi, zachodzi mimo to w głowę - jak udało mu się pożyczyć tak wiele od tak wielu, skądinąd przeważnie twardo stąpających po ziemi ludzi businessu?! Cały problem tkwi w pokutującym ciągle micie o niepodważalnym, wielowiekowym autorytecie i powadze instytucji Kościoła rzymskokatolickiego. Przed powzięciem decyzji o udzieleniu pożyczki zbierały się często całe narady; obradowały całe sztaby ludzi, którym na ogół nie przychodziło nawet do głowy, że ksiądz, parafia, biskup, diecezja - mogą być nierzetelne czy niewypłacalne. Sam ogromny majątek Kościoła nie dawał

żadnych podstaw do jakiegokolwiek niepokoju co do spłaty należności. Nikt nie pomyślał

jednak, w jaki sposób może w przyszłości dochodzić swoich praw i pieniędzy - sprzedając kościół, hospicjum, szkołę katolicką, srebrne lichtarze z kaplic? Kto na to pozwoli w katolickim kraju?! Wyobrażacie sobie jaką „reklamę” zrobiłoby takiej świętokradczej firmie np. Radio Maryja, ze swoim milionem słuchaczy. Dramaty poszczególnych ludzi czy też całych przedsiębiorstw, zupełnie się przy tym nie liczą. Co prawda Kościół ma także innego rodzaju dobra, ale i one są nienaruszalne; zresztą kapłańskie w tym głowy, aby nie został

tknięty poświęcony majątek. Faktem jest, iż niektóre firmy prześcigały się wprost, by to właśnie one mogły pożyczyć Kościołowi, który po upadku komuny miał jeszcze większe plecy. Przypomnijmy sobie, kto na początku lat 90. rządził Polską oraz w kim miał i ma oparcie, a wszystko stanie się jasne.

22 września 1994 roku na wniosek państwa Straussów została wydana opinia biegłych prawników, dotycząca jednoznacznego uregulowania kwestii spłaty pożyczki. Podpisali ją: prof, dr hab. Mirosław Nestorowicz z Wydziału Prawa i Administracji Katedry Prawa Cywilnego i Międzynarodowego Obrotu Gospodarczego na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz adwokat Henryk Ornas. Prawnicy oparli się zarówno na przepisach Kodeksu Cywilnego, jak również Kodeksu Prawa Kanonicznego. Opinia o objętości 4 stron maszynopisu A4 - sprowadza się do ustalenia odpowiedzialności za zaciągnięcie pożyczki w kwocie 9 miliardów st złotych. Praktycznie całą kwestię rozstrzyga już kilka odnośnych kanonów prawa kanonicznego:

1. Kanon 515 paragraf 1 - „Parafia jest określoną wspólnotą wiernych, utworzoną na sposób stały w Kościele partykularnym, nad którą pasterską pieczę, pod władzą biskupa diecezjalnego powierza się proboszczowi jako jej własnemu pasterzowi.
2. Kanon 515 paragraf 3 - „Parafia erygowana zgodnie z prawem posiada mocą samego prawa osobowość prawną”.
3. Kanon 532 - „W załatwianiu wszystkich czynności prawnych proboszcz występuje w imieniu parafii, zgodnie z przepisami prawa”.

„Bez znaczenia” - piszą prawnicy - „...jest okoliczność, iż ks. Jan Halberda nie jest już proboszczem parafii, gdyż osoba prawna, a jest nią parafia rzymskokatolicka św. Jerzego w Elblągu - ze swej

natury trwa nieprzerwanie (patrz, kanon 120 paragraf 1 KPK); a wobec tego dla odpowiedzialności cywilnej parafii za zobowiązania parafii nie wywołuje negatywnego skutku dla pożyczkodawcy Jana Huberta - Straussa okoliczność, iż w miejsce ks. Jana Halberdy został powołany inny ksiądz na stanowisko proboszcza parafii św. Jerzego w Elblągu”.

- 4 -

Parafia Rzymsko-Katolicka p.w.św. Jerzego w Elblągu zgodnie z paragrafem 2 umowy pożyczki i zgodnie z art. 720 paragraf 1^{kc} była zobowiązana do zwrotu pożyczonych pieniędzy w terminie do dnia 29 kwietnia 1994 r. i od tego też dnia, skoro nie zwróciła kwoty 9.000.000.000 zł słownie: dziewięć miliardów złotych, pozostaje w zwłoce, co skutkuje po stronie parafii obowiązkiem zapłacenia odsetek za zwłokę. (Art. 481 kc).

3. Wnioski opinii

- 1) Parafia Rzymsko-Katolicka p.w.św. Jerzego w Elblągu przy ul. Gen. J. Bema 10 jest osobą prawną w rozumieniu przepisów prawa.
- 2) Parafia Rzymsko-Katolicka p.w.św. Jerzego w Elblągu przy ul. Gen. J. Bema ponosi odpowiedzialność cywilną z tyt. umowy pożyczki zawartej w dniu 2.III.1994r. z Janem Hubertem-Straussem zam. Toruń ul. J. Długosza 1 m2.
- 3) Parafia Rzymsko-Katolicka p.w.św. Jerzego w Elblągu przy ul. Gen. J. Bema 10 jest zobowiązana do zwrotu kwoty 9.000.000.000 zł słownie: dziewięć miliardów zł na rzecz Jana Huberta-Straussa zam. Toruń ul. J. Długosza 1 m 2 wraz z ustawowymi odsetkami od dnia zwłoki tj. od 29 kwietnia 1994r.
- 4) Bez jakiegokolwiek znaczenia dla odpowiedzialności cywilnej Parafii Rzymsko-Katolickiej p.w.św. Jerzego w Elblągu za zobowiązania wynikające z umowy pożyczki z dnia 2.III.1994r. ma fakt, iż umowę powyższą podpisał ks. Jan Stanisław Halberda, proboszcz Parafii Rzymsko-Katolickiej p.w.św. Jerzego w Elblągu, który aktualnie nie pełni tej funkcji, gdyż został odwołany z proboszcza parafii przez Biskupa Elbląskiego. Kan. 532 przewiduje, że w razie łatwieniu wszystkich ~~czynności~~ czynności prawnych proboszcz występuje w imieniu parafii, zgodnie z przepisami prawa. Oznacza to w konsekwencji odpowiedzialność parafii - jako osoby prawnej - za skutki tych czynności bez względu na to, czy proboszcz nadal pełni swoje funkcje. Ponadto kanon 1284 nakłada na każdorazowego zarządcę parafii obowiązek działania ze starannością dobrego gospodarza, w tym ^{musi} osuwać nad zwrotem długu głównego oraz wypłacać w ustalonych terminach procenty, należne z tytułu pożyczki.

Dr. Henryk Orness
odsetek:

Henryk Orness
odsetek:

Inżynier M. M. M.
WYDZIAŁ PRAWA I ADMINISTRACJI
KATEDRA PRAWA CYWILNEGO
I MIĘDZYNARODOWEGO
OSRODKU GOSPODARSTWA
ul. Falc. Sienkiewicza 1a
87-100 TORUŃ

KIEROWNIK

Prof. dr. hab. Mieczysław Rudziński

4 - ta strona opinii prawnej

Konkluzja opinii jest jednoznaczna - umowa pożyczki sygnowana była pieczęcią parafii i podpisem jej proboszcza, zatem parafia św. Jerzego winna jest pieniądze i powinna je zwrócić z należnymi odsetkami od dnia 29 kwietnia 1994 r., tj. upłynięcia terminu zwrotu pożyczki na umowie. Potwierdził to Urząd Skarbowy w Elblągu, gdzie uiszczono opłatę od umowy - „Parafia rzym. kat. św. Jerzego w Elblągu przy ul. J. Bema ponosi cywilną odpowiedzialność wynikającą z umowy pożyczki

z dnia 02.03.1994 r. i jest zobowiązana do zwrotu opisanej w umowie kwoty 9.000.000.000. złotych. Umowa odwołuje się do postanowień Kodeksu Cywilnego (par. 6 umowy). Ponieważ jednak dla każdego jest oczywiste, iż ponad parafią jest kuria, a ponad proboszczem - biskup diecezjalny; przeto cała odpowiedzialność spada na biskupa. Prawo Kanoniczne nie pozostawia w tym względzie żadnych wątpliwości Reguluje to również cywilna Ustawa z dnia 17.05.1989 r. „O stosunku Państwa do Kościoła”.

Celowo wdałem się w te niuanse prawne, celowo zamieszczam tyle dokumentów - aby wykazać wszystkim niedowiarkom, kto tu jest winien. Najbardziej denerwują mnie bowiem ludzie ciemni i ograniczeni, tj. w tym przypadku tacy, którzy na niepodważalne dowody reagują wzruszeniem ramion. Do prawdziwej pasji doprowadzają mnie ograniczone półgłówki i zakute pały, które na okrągło - nie przytaczając żadnych argumentów - pieprzą, że historie, które opisuję są wysrane z palca.

Powróćmy jednak do tragedii państwa Straussów - „ku pokrzepieniu serc” ślepych, bezkrytycznych obrońców Kościoła. Pan Jan musiał zrezygnować z prowadzenia swojej firmy. Wiązało się to z tym, iż poszła fama o przywłaszczeniu przez niego ogromnej sumy pieniędzy, przez co stracił swoją wiarygodność jako ubezpieczyciel. Kilku zatrudnianych przez niego ludzi znalazło się na bruku. Po błyskotliwych sukcesach zawodowych rozpoczął

się w jego życiu kolejny rozdział - walki o odzyskanie 9 miliardów złotych. Małżeństwo zmuszone było zatrudnić niemal na stałe mecenasa Ornasa z Torunia. Zaczęły się wyjazdy z adwokatem do Elbląga i wszystkich innych możliwych miejsc, które przychodziły do głowy coraz bardziej zdesperowanym ludziom. Listami, które napisali, można by zapełnić małą biblioteczkę. Nie chcieli nagłaśniać swojego problemu przez dziennikarzy czy też idąc od razu do sądu. Poza tym zależało im, aby pieniądze były zwrócone jak najszybciej, gdyż Janowi groził proces karny o zagarnięcie mienia dużej wartości Przez długi czas mieli nadzieję na polubowne załatwienie sprawy z Kościołem tak, by nie szkodzić jego „dobremu imieniu”.

Pani Dyrektor
Elżbieta Pełc
Biuro Operacyjne Centrali
P Z U S.A.
W a r s z a w a

W nawiązaniu do Waszego pisma z dnia 8-09-1994 r proszę o ostateczną
prolongatę terminu spłaty kwoty 7.723.539.000. na dzień 15 października 1994 r.

Skierowanie sprawy na drogę postępowania sądowego nie przyczyni się do
uregulowania należności finansowych dla żadnej z poszkodowanych stron.

Z pewnością postępowanie sądowe przeciwko mojej osobie spowoduje
daleko idące konsekwencje dla mojej rodziny (żony i czworga dzieci od 2-8 lat), jak
również może doprowadzić do sprawy politycznej przeciwko Kościołowi
Katolickiemu w Polsce.

W interesie wszystkich poszkodowanych stron jest odzyskanie w/w kwoty, co
w przypadku sprawy karnej przeciwko mojej osobie będzie fizyczną
niemożliwością ponieważ:

- osobisty majątek nie pokryje nawet części zadłużenia
- uniemożliwi kontynuowanie przeze mnie działań w celu odzyskania w/w
należności.

Jednocześnie oświadczam, że pełnomocnik Ks. Biskupa Słowińskiego w dniu
27-09-1994 r. będąc ze mną w Energetyce Poznańskiej zapewnił, że do dnia 15
października 1994 r. dług zostanie zwrócony w wyniku finalizacji kredytu w
Bankach Zachodnich.

Na tej podstawie Energetyka Poznańska S.A. przełożyła mi uregulowanie
należności do 15 października 1994 r.

W związku z powyższym bardzo proszę o nie wysyłanie do Energetyki
Poznańskiej S.A. do dnia 15-10-1994 r. monitów dotyczących zapłaty należności za
ubezpieczenie na w/w kwotę.

Z poważaniem:

Toruń 29-09-1994

Oczywiste było, że wszystko powinno się rozstrzygnąć na poziomie diecezji elbląskiej i biskupa
Śliwińskiego. Ten na początku sprawiał wrażenie bardzo zbolełego; współczuł nawet oszukany
ludziom i obiecywał wszechstronną pomoc. Trzeba przyznać, że prawie zawsze -

poza paroma przypadkami ukrycia się - przyjmował osobiście wierzycieli. Kiedy jednak Straussowie
wprost do niego kierowali swoje roszczenia - zapewniał, iż:

- „gdyby miał, to by oddał...” i rozkładał bezradnie ręce.

W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że kuria elbląska dysponowała już wtedy ogromnym majątkiem,
pochodzącym nie tylko z przekrętów finansowych. Samo miasto Elbląg, po erygowaniu nowej
diecezji, przekazało jej kilkanaście nieruchomości, przede wszystkim budynków. Kuria posiada m.in.

sklepy, szkoły, samochody, bary, ośrodek wczasowy i bazę turystyczną oraz dwa 1000 - hektarowe gospodarstwa na Żuławach, o najżyźniejszych glebach. Do jej skarbca wpływają podatki ze 150 parafii, darowizny od firm i osób prywatnych. Biskup załatwił podobno duże dotacje z zagranicy. Większość parafii jest w posiadaniu nieruchomości - ziemi, budynków, samochodów, maszyn, zwierząt hodowlanych, dzieł sztuki itp.

Rozmowy dotyczące zwrotu pożyczki toczyły się również z udziałem następcy proboszcza Halberdy - księdza Wasilewskiego. Okazał się on nie mniejszym bajerantem niż jego poprzednik. Notorycznie zwodził rozgoryczonych ludzi załatwianiem na zmianę -

kredytów, dotacji, fundacji i następnych pożyczek. Pieniądze miały być - „za tydzień”, „za miesiąc”, „tuż - tuż”, „już nie długo” itd. O tym, jak bujną wyobraźnię mają elbląscy kapłani może świadczyć powyższe pismo Straussa do PZU.

A tak na marginesie - okazało się, iż 9 miliardów od Straussów - przynajmniej w części - poszło na spłacenie wcześniejszych długów, bo podobno... „ktoś za głośno krzyczał”... o swoje.

Straussowie zaczęli jeździć do wyższych instancji kościelnych. Pierwsze kroki skierowali do biskupa Pieronka, który był wówczas sekretarzem Episkopatu. Za pierwszym razem go nie zastali. Przyjął ich jego prawnik - ks. Chmiel. Po wysłuchaniu całej historii stwierdził, że dług i odpowiedzialność za niego jest ewidentna. Nawet gdyby nie było umowy pożyczki, a ksiądz Halberda przyznał się do jej zaciągnięcia - jest to już sprawa całego Kościoła w Polsce, który musi zwrócić pieniądze. Rozważał nawet opodatkowanie w tym celu 40 diecezji i każdej parafii z osobna. Jeśliby rozłożyć na nie 9 miliardów - wychodziły śmiesznie niskie kwoty do zapłaty.

Biskup Pieronek, którego zastali za drugim razem, przyjął inną koncepcję. Wstał zza biurka i wzburzony zaczął wykrzykiwać:

SEKRETARIAT
PRYMASA POLSKI
00-246 Warszawa 1, ul. Miodowa 17
tel. 31-21-57
telex 817000 SPP PL

Warszawa, dnia 1994.07.06.

N 2231/94/P.

Szanowny Pan
Jan Hubert Strauss
ul. Długosza 1/2
87-100 TORUŃ

W związku z pismem z dnia 5 lipca br.

Sekretariat Prymasa Polski uprzejmie donosi, że sprawa, poruszona wspomnianym listem,
została przekazana do Kurii Diecezjalnej, ul. Mostowa 18
82-300 Elbląg

do wiadomości — wzdle kompetencji.

KIEROWNIK
Sekretariatu Prymasa Polski
X P.T.D. w. mls
Ks. Dr Andrzej P. Dziuba

DL. W-wa. 254/94. 20 000.

- Jeśli trzeba, to wszystkich zamkniemy do kryminału! Straussa, Halberdę i biskupa Śliwińskiego - do kryminału!!!

Danuta odparła na to spokojnie, że owszem - można tak zrobić, ale kto wtedy odda pieniądze, a poza tym wszystko „pójdzie w świat”.

- Czy Kościół czuje się już taki silny, iż nie boi się uszczerbku na opinii? - zapytała kobieta.

Na to Pieronek obruszył się jeszcze bardziej:

- Czy pani ma zamiar mnie szantażować!

Na tym wizyta się zakończyła. Straussowie zaprosili później sekretarza Episkopatu na rozmowę: Śliwiński - Pieronek - PZU, ale nie przyjechał. Nie stawili się również przedstawiciele PZU, gdyż... „nie chcieli zadzierać z Kościołem”.

Kolejna wizyta w Sekretariacie Prymasa Polski zakończyła się przed bramą budynku -

nikt nie chciał wpuścić „ludzi znikąd”. Kilka wysłanych listów do samego Prymasa pozostało bez jakiegokolwiek odpowiedzi; natomiast oficjalne pismo do Sekretariatu zostało skwitowane jak niżej:



NUNCJATURA APOSTOLSKA
W POLSCE

00 182 WARSZAWA, 05.07.1994
ul. 1 Armii Wojska Polskiego, 12

Szanowny Panie,

Nuncjatura Apostolska w Warszawie otrzymała Pański list (bez daty), w którym przedstawiona została sprawa pożyczki udzielonej przez Pana Ks. Janowi Halberdzie z Elbląga. Uprzejmie informujemy, że Nuncjatura Apostolska, jako Przedstawicielstwo dyplomatyczne w Polsce, nie jest instancją kompetentną do rozstrzygnięcia spraw spornych zaistniałych pomiędzy poszczególnymi osobami żyjącymi w tym kraju, dlatego korespondencja - także z racji na powagę przedłożenia - została przekazana Biskupowi Elbląskiemu z prośbą o odpowiednią interwencję na miejscu.

Z wyrazami szacunku i obietnicą pamięci w modlitwie



Szanowny Pan
Jan HUBERT-STRAUSS
TORUŃ

Byli również w Nuncjaturze Apostolskiej w Warszawie. Mieli nadzieję spotkać się z arcybiskupem Kowalczykiem, ale miał w tym czasie ważniejszego gościa z zagranicy. Mniej zajęty był jego sekretarz Włoch, który niestety nie umiał słowa po polsku. Tłumaczką była siostra zakonna. Po zapoznaniu się z całą sprawą, sekretarz zaczął mówić od rzeczy i formułować dziwne oskarżenia pod adresem Straussów. Adwokat Ornas, obecny przy rozmowie, stwierdził porównawczo i rzeczowo:

- „Jak lekarz może stawiać diagnozę nie znając chorego i choroby!?” Makaroniarz -

kiedy mu to przetłumaczono - wzburzył się strasznie, pokazał palcem drzwi całej trójce i kazał się wynosić do diabła. Mecenaz Ornas - w podeszłym już wieku - powiedział później, że

- jeszcze nikt w jego długoletniej praktyce adwokackiej, nie potraktował go w taki sposób.

Po tym niemiłym spotkaniu pozostał niesmak, ale i niedosyt - nie spotkali się z abp Kowalczykiem, który - jako przedstawiciel Watykanu, tj. instytucji zwierzchniej nad wszystkimi duchownymi - powinien być osobą najbardziej kompetentną w ich sprawie.

Okazało się jednak, iż nuncjusz ma inną, lepszą fuchę niż się spodziewali - przyjmowanie gości, bankiety, przyjęcia w ambasadach; natomiast zwykle „osoby żyjące” go nie obchodzą.

Tymczasem byłemu agentowi groziło w każdej chwili aresztowanie, sprawa karna o defraudację ogromnej kwoty i co najmniej 10 lat odsiadki. Małżeństwo, a raczej zdesperowana pani Danuta, postanowiła za wszelką cenę ratować męża, który ciągle - na przekór wszystkiemu - wierzył w dobrą wolę przedstawicieli Kościoła. Odbyli wspólnie setki dramatycznych rozmów. Pan Jan był u kresu wytrzymałości nerwowej. W pewnym momencie uklęknął przed umową z Halberdą i rozpaczliwym głosem wołał:

- „...Danusia, przecież to są święte pieczętki, święte pieczętki!!!”.

Żona nie mogła już tego więcej słuchać. Wkrótce skontaktowała się z firmą ściągającą długi. Na podstawie umowy oraz opinii ekspertów, przedstawiciele firmy zdecydowali się na kupienie długu, który ich zdaniem ewidentnie obciążał parafię i biskupa. Naturalnie firma wypłacała wierzycielom tylko nieco ponad połowę pieniędzy, ale Danuta liczyła się już ze sprzedażą wszystkiego co mieli, by spłacić brakującą resztę, chroniąc tym samym męża od więzienia. Brakowało tylko zgody pana Straussa.

Jednak niedługo po tym, wczesną jesienią 1994 r. nastąpił - przy - najmniej w mniemaniu Straussów - wielki przełom w całej ich udręce. Po kilkudziesięciu wizytach w Elblągu, biskup Śliwiński - wyraźnie już zniecierpliwiony uciążliwymi wierzycielami -

obiecał przystać na ich propozycję i przejąć „dług księdza Halberdy”. Miał się spotkać z Janem Straussem, aby omówić szczegóły tegoż przejęcia. Spotkanie zostało umówione na dzień otwarcia nowego Seminarium Duchownego, na zapleczu gmachu Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie odbywała się cała uroczystość. Jednak Śliwiński zamiast - zgodnie z umową - przyjechać wcześniej, zjawił się na ostatnią chwilę przed główną imprezą i od razu wszedł do środka. Zrezygnowany Jan, który widział to stojąc na uboczu, zadzwonił do Danuty. Ta - przekonana o kolejnym uniku ekscelencji - ubrała czwórkę dzieci, zabrała po drodze byłą pracownicę męża, Ewę, i z piątką pasażerów przyjechała do Uniwersytetu. Zaczepiła jednego z księży - ochroniarzy pilnujących na zewnątrz i posłała go po biskupa. Po pięciu minutach wykidajło w sutannie wyszedł sam i wzruszył ramionami mówiąc:

- Nie przyjdzie.

- Niech ksiądz idzie jeszcze raz i powie biskupowi, że jak nie przyjdzie sam za pięć minut, to ja pójdę po niego z dziećmi! - zagrzmiała Straussowa.

Tym razem „czarny książę” pojawił się w okamgnieniu. Dla świętego spokoju od razu i z góry zapewnił, że podpisze umowę przejęcia długu, jak tylko ułożą ją prawnicy. Pani Danuta, nauczona przykrymi doświadczeniami, była jednak nieufna.

- Niech nam ksiądz biskup napisze dzisiaj chociaż krótkie oświadczenie, że umowa, którą przywieziemy od prawników, będzie przez biskupa podpisana..! - prosiła stanowczym tonem, ściskając dzieci - jakby chciała je uchronić przed tym wszystkim, co przeżywała razem z ich tatą. Śliwiński za nic nie chciał „na razie” niczego podpisywać. Zapewniał coraz bardziej zniecierpliwiony, iż na pewno dotrzyma słowa. Pan Jan omal go nie przeproszał za zachowanie żony. Ewa także odwodziła Danutę od upierania się przy oświadczeniu. Ta w końcu skapitulowała. Kiedy odeszli w stronę samochodu, Ewa pokazała Straussom dyktafon, na który nagrała całą rozmowę.

- No, teraz to chociaż coś mamy, bo słowo biskupa jest nic nie warte - westchnęła Straussowa.

Ze sporządzoną przez prawników umową i z duszą na ramieniu - Straussowie po raz kolejny zapukali do pałacu w Elblągu. Pierwotnie miał jechać sam Jan i wspomniana już Ewa, ale Danuta - tchnięta złym przeczuciem - dołączyła do nich w ostatniej chwili. Jak się później okazało - bez jej udziału mąż po raz kolejny odjechałby „z kwitkiem”. U biskupa był już obecny ksiądz Leszek Wasilewski, następca Halberdy. Obydwaj mieli bardzo pochmurne miny. Śliwiński oznajmił, iż po rozmowie z nowym proboszczem parafii św. Jerzego, zdecydował się nie podpisywać przejęcia długu, ponieważ... „nie może brać takiego ciężaru na swoją diecezję”.

Pan Jan - nie po raz pierwszy zresztą - nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Przecież ksiądz biskup obiecał - wyjąkał zupełnie zdruzgotany. Dlaczego ja muszę iść do więzienia, od żony, od czwórki dzieci... Pożyczyłem pieniądze dla dobra Kościoła...

Mężczyzna, który przez ostatnie pół roku zestarzał się, (wyglądał co najmniej na 29 lat więcej), zupełnie zapadł się w sobie. Wbrew pozorom sama perspektywa więzienia nie ciążyła mu aż tak bardzo; o wiele bardziej dotkliwie cierpiał z innych powodów. Ponieważ jest to człowiek niespotykanie uczciwy i rzetelny - bolały go strasznie, wręcz piekły -

oskarżenia o defraudację, zagarnięcie, kradzież. Mało kto jeszcze wtedy wierzył mu w jego dobrą wolę, w opowieść o „biednej diecezji i naiwnym Straussie”. Ten człowiek był

kompletnie zdruzgotany, wytracony ze swojej dotychczasowej tożsamości ufne go i wierne go dziecka Kościoła. On po prostu tracił grunt pod nogami!

Biskupa Śliwińskiego niewiele to wszystko obchodziło. Coraz bardziej zniecierpliwiony powtarzał:

- No tak, tak obiecałem - ale... ale... ale...

Wasilewski dzielnie mu sekundował:

- Nie możemy brać na siebie takiej odpowiedzialności - powtarzał.

Kiedy pani Danuta powiedziała, że nie ruszy się z biskupiego pałacu dopóki umowa nie będzie podpisana, Wasilewski wyciągnął zza pazuchy jakieś pismo.

- A co to jest TO! - krzyknął, podstawiając kartkę pod nos kobiety.

Był to dokument, przesłany do kurii przez wspomnianą już firmę skupującą długi, która najwyraźniej pospieszyła się z działaniem, a może chciała tylko potwierdzenia prawdziwości przedstawionych przez Straussową pism i podpisów. Pani Danuta nie straciła zimnej krwi i odpaliła proboszczowi:



- To właśnie jest to, co będzie podpisane przez męża w chwili, kiedy nie podpiszecie tego! - tu wskazała na przywiezioną umowę.

Filigranowa kobieta zaczęła się cała trząść ze zdenerwowania.

- Choćby własną krwią, a zapłacicie za wasze złodziejstwo, oni nie będą się z wami cackać tak, jak my! - wykrzyczała.

Biskup, również zdenerwowany, spojrzął na zdesperowaną kobietę i powiedział:

- No to teraz już chyba nie mamy wyjścia... - i podpisał umowę przejęcia długu.

Właściwie nie wносиła ona wiele nowego do całej sprawy. Poprzednią umowę firmowała przecież także parafia św. Jerzego. Istotne były dwa nowe podpisy - biskupa ordynariusza i aktualnego proboszcza parafii oraz ostateczna data spłaty pożyczki - 19

listopada 1994 r. Był to wielki sukces Straussów; prawdziwy przełom w ich zmaganiach z oszustami z Elbląga. Nadzieja wstąpiła w serce pani Danusi, a jej mąż gotów był całować biskupa nie tylko po rękach.

Biskup był tak dobry, iż skierował ich do... prałata Jankowskiego z Gdańska, swojego kumpla, aby ten z kolei wstawił się za Straussami do prezesa PZU w Warszawie, też kumpla -

tylko że Jankowskiego. U wielkiego bonzy z Gdańska pani Danuta była zresztą kilkakrotnie.

Prałat wielu tytułów i orderów wysłuchał ich uważnie i napisał pismo polecające, z którym Straussowie pojechali do Warszawy. Chodziło o to, by PZU poczekał na oddanie pieniędzy do 19 listopada i zaakceptowało umowę o przejęciu długu agenta przez nowego proboszcza.

Prezesa akurat nie było. Straussowie złożyli więc pismo z wyjaśnieniami i czekali na odpowiedź. Po jakimś czasie przyszła:

- „PZU przyjmuje warunki pana Jana Straussa i jego wyjaśnienia do akceptującej wiadomości”.

Małżonkowie rzucili się sobie w ramiona - ich gehenna dobiegała końca. Odpowiedź z Warszawy oznaczała przecież, że od tej pory wszelkie roszczenia finansowe będą kierowane do parafii w Elblągu i diecezji, a za parę tygodni kuria spłaci dług i o wszystkim będzie można zapomnieć!

Mniej więcej w tym samym czasie w PZU zebrał się sztab ludzi na naradę finansową, podczas której szczegółowo analizowano sprawę Straussów. „Święte pieczętki” nie wystarczyły urzędnikom; postanowili upewnić się co do dobrej woli biskupa i zadzwonili do kurii. Telefon odebrał kanclerz ks. dr Zdzisław Bieg i w imieniu ordynariusza Śliwińskiego oznajmił:

- Ksiądz biskup podpisał tę umowę dla jaj, na odczepne i nie należy jej traktować wiążąco.

Pan Jan dowiedział się o tym później z akt sądowych.

Pod koniec października Straussowie otrzymali pismo z PZU, które miało już charakter ultimatum. Po raz kolejny stało się dla nich jasne, iż biskup nie ma zamiaru zapłacić. Kolejne wizyty w Elblągu nic nie dały. Zaczęto ich traktować jak natrętnych intruzów, a nawet obrażać. Jan dowiedział się na przykład od kanclerza kurii, że - jest...

złodziejem, gdyż sprzeniewierzył cudze pieniądze. Małżonkowie byli zrozpaczeni. Pozostało im tylko czekać na wezwanie od prokuratora. Parę dni po tym ciężkim ciosie nastąpił

następny - pan Jan uległ poważnemu wypadkowi, jadąc na kolejne negocjacje w sprawie pożyczki. Doznał ciężkich obrażeń górnej części ciała i zupełnie skasował przy tym swoje bmw. Dla niego i żony jest dziś oczywiste, że nie doszłoby do czołowej kolizji z wojskową

„L” - ką, gdyby nie stan nerwowego wyczerpania, w jakim jechał Strauss. Kiedy wyszedł ze szpitala, musiał jeszcze długo leczyć się w przychodni psychiatrycznej, w związku z urazem głowy.

Zbliżał się koniec roku. Skończył się okres ostatecznej spłaty pieniędzy wyznaczony przez PZU, który oddał sprawę do prokuratora. Panu Janowi zabrakło sił. Załamany psychicznie, potłuczony w wypadku - po którym pozostały mu dokuczliwe bóle głowy - był

ciężarem dla żony, która przecież miała co robić przy czwórce małych dzieci. Trzeba zaznaczyć, iż nigdy nie czyniła mu wyrzutów z powodu nieszczęsnej pożyczki, której udzielił

Halberdzie. Gotowa była sama ponieść kolejne ofiary, a męża - przynajmniej na jakiś czas -

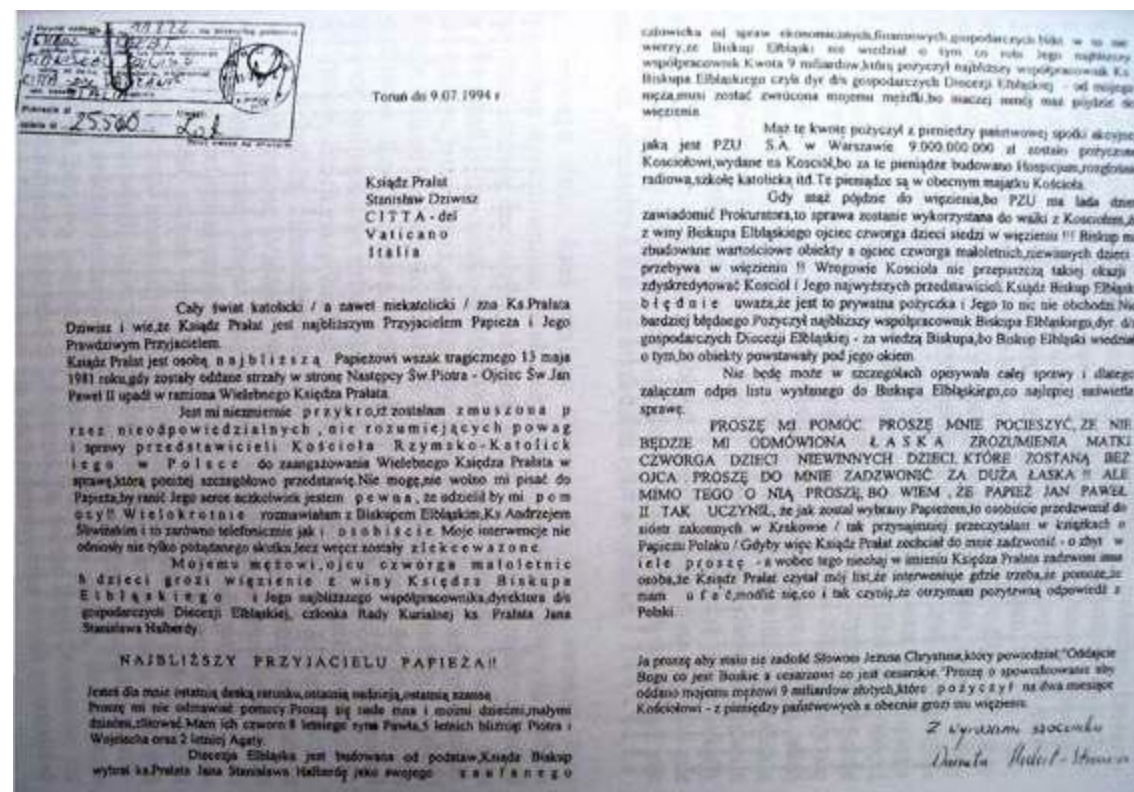
uchronić od następnych ciosów; i tak nie miał już sił do dalszej walki - był wówczas bezwolnym

cieniem człowieka.

Zdesperowana Danusia postanowiła podjąć ostateczną - jak jej się wydawało - próbę odzyskania pieniędzy. 13 lutego 1995 roku pojechała wraz z koleżanką do Watykanu.

Wcześniej wysłała kilka listów do prałata Dziwisza - osobistego sekretarza i zarażeni najbliższego przyjaciela papieża. Nie otrzymała jednak żadnej odpowiedzi. Pismo wysłane do samej głowy Kościoła też nic nie dało.

Przed samym wyjazdem nadała telegram informujący o dniu przyjazdu. Kobieta nie była zbyt dobrym kierowcą, a i zimowa droga nie sprzyjała tak dalekiej jeździe. Małe Uno parokrotnie z trudem wychodziło z opresji. Cudem zatem - jak wspomina pani Danuta



Drugi Ojciec św.

Przeżył ten list z przeświadczeniem, że tym razem uda się do rąk Ojca św. i dzięki różniom i nadziejom, iż ostaną się pozytywne wyniki w sprawie mojego problemu wyrażone w piśmie do Płocka.

Ojciec św. Ojciec św. pomógł mi skutecznie załatwić sprawę kapłana Jędraszki, który także uszykował mi listy, które w ten sposób, za pośrednictwem kardynała, zostały wysłane do Ojca św. w sprawie mojego problemu wyrażone w piśmie do Płocka.

Ojciec św. sprawa, o której pisałem w roku zeszłym, dotyczyła sprawy mojej rodziny, która została wydalona z Polski w 1945 roku. W tym czasie byliśmy w Związku Radzieckim i w tym czasie Ojciec św. pomógł mi skutecznie załatwić sprawę mojej rodziny, która została wydalona z Polski w 1945 roku.

Ojciec św. sprawa, o której pisałem w roku zeszłym, dotyczyła sprawy mojej rodziny, która została wydalona z Polski w 1945 roku. W tym czasie byliśmy w Związku Radzieckim i w tym czasie Ojciec św. pomógł mi skutecznie załatwić sprawę mojej rodziny, która została wydalona z Polski w 1945 roku.

ukraci i nikogo nie szkodzi. Najważniejszą przyczyną jest jego siła, która myślenie o dobrej woli ludzi w rzeczywistości - to jest nie ma niczego jak się mówi - to jest nie ma.

Przechodził, kontynuując listy z oświadczeniem, że w sprawie mojej rodziny, która została wydalona z Polski w 1945 roku, Ojciec św. pomógł mi skutecznie załatwić sprawę mojej rodziny, która została wydalona z Polski w 1945 roku.

Ojciec św. jestem w strasznym wyścigu, o którym wcześniej nie wspomniałem. Chcę się kogoś zastanowić, czy jest to możliwe, aby w tym czasie Ojciec św. pomógł mi skutecznie załatwić sprawę mojej rodziny, która została wydalona z Polski w 1945 roku.

Ojciec św. jestem w strasznym wyścigu, o którym wcześniej nie wspomniałem. Chcę się kogoś zastanowić, czy jest to możliwe, aby w tym czasie Ojciec św. pomógł mi skutecznie załatwić sprawę mojej rodziny, która została wydalona z Polski w 1945 roku.

Życzę dużo zdrowia.

Z poważaniem
Danuta Hubert-Strasna

- kobiety dostały się w pobliże watykańskich pałaców. Dotarły w końcu do odpowiedniego budynku. Portier zadzwonił do Dziwisza, a ten przez telefon zapytał z jakiej są pielgrzymki.

Danuta przypomniała mi się z listów, on zaś kazał wypisać dwie przepustki i posłać dalej.

Przyjął je osobiście, razem z księdzem Nowackim, który - jak się okazało - był... „specjalnie oddelegowany do spraw Elbląga”, gdyż podobnych wniosków, próśb i petycji wpłynęło dużo więcej. Obaj kapłani byli zgodni, że całą sprawę należy załatwić „po linii kościelnej”; w przeciwnym wypadku nabierze ona charakteru publicznego i politycznego, czemu trzeba koniecznie zapobiec. Dziwisz obiecał „konkretną pomoc”, ale nie chciał sprecyzować na czym ona będzie polegać. Tydzień po przyjeździe do Polski, Danuta dowiedziała się o komisji z Watykanu, która przyjechała do Elbląga. Mogła mieć tylko nadzieję, że chodzi o przekręty Halberdy i Śliwińskiego. Pisała jeszcze później wielokrotnie do ks. Nowackiego, ale nie otrzymywała odpowiedzi. Kiedy zadzwoniła - Nowacki odłożył słuchawkę (!). W każdym razie komisja z Elbląga odjechała. Dziwisz również nie odpisywał na jej następne listy, a na kolejny wyjazd do Włoch nie miała już pieniędzy. Nie było zresztą po co jechać.

Pewnego dnia, ktoś mający kontakt z policją ostrzegł Jana o rychłym aresztowaniu.

Małżonkowie, a właściwie Danuta podjęła natychmiastową decyzję o ucieczce męża. Jego siostrzeniec mieszkając w Hiszpanii i do niego postanowił wyjechać Strauss. Miał go tam zawieźć znajomy, gdyż sam Jan był jeszcze zbyt słaby, aby prowadzić. Kiedy zbliżali się już do polskiej granicy wpadli w poślizg i walnęli w drzewo. Kolejne auto, tym razem kolegi, poszło do kasacji. Na szczęście oni sami nie odnieśli prawie żadnych obrażeń. Jan zadzwonił

do Danusi, która natychmiast posłała mu swoje uno z kierowcą. Ten zabrał w końcu nieszczęśnika i zawiózł do Alcoi w Hiszpanii.

Przyszły święta Wielkiej Nocy. Po raz pierwszy rodzina spędzała je nie w komplecie.

Dwa dni później o 6.15 rano pod mieszkanie Straussów podjechał czerwony polonez. Weszło trzech policjantów „po cywilu”. Mieli nakaz rewizji oraz aresztowania Jana, w związku z

„zagarnięciem znacznej kwoty”. Danusia weszła do pokoju dzieci i zabroniła im wychodzić; powiedziała również, że tego dnia nie pójdą do szkoły. Funkcjonariusze skrupulatnie przetrząsnęli wszystkie pomieszczenia; na prośbę kobiety nie weszli tylko do pokoju dzieciennego. Zabrali dokumenty dotyczące pożyczki, a także listy Straussów do biskupa i inną korespondencję. Na odchodnym jeden z nich powiedział:

- Już my sprawdzimy, czy to rzeczywiście była pożyczka.

Nieobecność męża pani Danuta wytłumaczyła szkoleniem, na które musiał jechać do Szczecina. Przez następne dwa tygodnie policja zrobiła im jeszcze piętnaście „nalotów”, o różnych porach dnia i nocy. Za każdym razem kobieta robiła zdziwioną minę:

- Nie wiem, co się stało, pojechał i nie wraca.

O wiele trudniej było ciągle okłamywać dzieci, które pytały o powód częstych odwiedzin panów policjantów. Mama z trudem powstrzymywała łzy. Kiedy skończyły się

„kotły” i przeszukania, dostała wezwanie na komendę w celu złożenia zeznań, jednak skorzystała z prawa do odmowy jakichkolwiek wyjaśnień. Zaczęły się przesłuchania znajomych oraz byłych pracowników Jana. Po kilku dniach jeden z policjantów powiedział

Danucie, że - wiedzą już o jego wyjeździe do Hiszpanii. Później okazało się, iż wiadomość tę uzyskali z podsłuchu zainstalowanego w jej telefonie, gdyż Danusia dzwoniła kilkakrotnie do Alcoi. Oficer prowadzący sprawę doradził, aby dla dobra męża poradziła mu szybki powrót do kraju.

Jan spędził w Hiszpanii rok i osiem miesięcy. Nie był to bynajmniej wyjazd w celach turystycznych. Zabrał trochę pieniędzy i dopóki je miał, siostrzeniec wraz z żoną - Hiszpanką i dwojgiem dzieci - nie mieli nic przeciwko odwiedzinom wujka. Sytuacja stała się niezręczna, kiedy zabrakło dewiz i przybyła jeszcze jedna gęba do wykarmienia. Jan szukał

pracy, ale jej nie znalazł. Wiedział, że na żonę spadły wszystkie problemy i całe odium.

Chciał coś zrobić w swojej sprawie, choć „Hiszpania za górami”. Ciągle wierzył, iż ludzie w sutannach - jeśli nie w Polsce, to na obczyźnie - mogą przyjść mu z pomocą. Wielokrotnie kontaktował się z przewodniczącym Konferencji Episkopatu Hiszpańskiego oraz pomniejszych urzędnikami i księżmi. Parę razy był osobiście w tej sprawie w Madrycie.

Zaangażowała się w to również Danuta. Kościół hiszpański miał przyjąć pozycję mediatora w sporze Straussów z biskupem Śliwińskim i Kościołem w Polsce, taka przynajmniej była koncepcja małżonków. Próba takiej mediacji została podjęta, ale wszystko skończyło się jak zwykle na pobożnych życzeniach i obietnicy modlitwy. W każdym razie nie było żadnego odzewu ze strony polskiej.

W czerwcu miała się odbyć I Komunia najstarszego syna Pawła. Chociaż Danucie ciągle brakowało czasu, a i pieniądze szybko topniały - postanowiła wyprawić synowi duże przyjęcie. Wynajęła salę i zaprosiła mnóstwo gości. Pragnęła choć w taki sposób wyna –

Konferencja Episkopatu
Hiszpanii
Vicesekretariat Generalny

Pani
Danuta Hubert-Strauss
ul. Długosza 1/2
Toruń (POLSKA)

Szanowna Pani,

Potwierdzam, iż otrzymałem list z 25 lutego 1996r., który prosiła Pani przekazać Arcybiskupowi Przewodniczącemu Konferencji Episkopatu w Hiszpanii.

Jego Magnificencja Arcybiskup polecił mi, abym wysłał kopię Pani listu i kopię listu skierowanego do Świętego Ojca, Biskupowi Sekretarzowi Episkopatu Polski, Jego Magnificencji Tadeuszowi Pieronkowi, aby pomógł Pani.

Jednocześnie przekazuję następną kopię Dyrektorowi Departamentu Migracji tej Konferencji Episkopatu, aby się skontaktował z Pani mężem i zorientował się co do formy pomocy dla Pani.

Jego Magnificencja Arcybiskup będzie się modlił, aby wszystkie problemy Pani zostały rozwiązane. Ja również będę wspierał moją modlitwą.

Proszę przyjąć najserdeczniejsze pozdrowienia.

Juan J. Asenjo Pelegrina

Vicesekretarz Generalny
Konferencji Episkopatu Hiszpanii

grodzić dziecku brak ojca, do którego chłopiec był niezwykle przywiązany. Nie na wiele się to zdało - Paweł nie mógł zrozumieć, dlaczego taty nie obchodzi jego uroczystość. Na przyjęcie komunijne przyszli także dwaj panowie na służbie, ale na szczęście „po cywilnemu”. Po godzinie - nie doczekawszy się zbiega - ulotnili się po angielsku.

Siedziba Radia Maryja powstawała w sąsiedztwie bloku, w którym mieszkali Straussowie (ich dom był jeszcze nie wykończony). W tym czasie imperium księdza Rydzyka było jeszcze w trakcie

budowy. Danuta widziała powstający olbrzymi gmach i całe bogactwo Radia. Pomyślała, że - taki człowiek i taka instytucja jest na pewno bardzo potężna i ustosunkowana. Zachodziła tam w sumie kilkanaście razy, ale bądź to nie mieli dla niej czasu, bądź też zbywano ją obietnicami bez pokrycia i - tak jak wszędzie - obiecywano modlitwę w jej intencji. Nigdy nie pozwolono jej dotrzeć do samego ojca dyrektora, W końcu jednak Rydzyk - informowany zapewne o odwiedzinach natrętnej sąsiadki - wezwał do siebie księdza Jerzyckiego, byłego proboszcza Danuty, oraz swojego adwokata Libiszewskiego.

Zapytał, czy nie wieżę czegoś więcej o całej sprawie. Najlepiej zorientowany był Jerzycki, który też wkrótce odwiedził Danutę i powiedział jej o spotkaniu z Rydzykiem. Ksiądz dyrektor - po zapoznaniu się z historią Straussów - miał oznajmić:

„Jeśli ten człowiek (Jan) pójdzie do więzienia i zajdzie taka potrzeba, będę osobiście krzychał na antenie na tę jawną niesprawiedliwość! Przekażcie tej kobiecie, iż będę się gorąco modlił za pomyślne załatwienie jej problemów”.

Co do modlitwy, to jeśli miała miejsce - nie została wysłuchana, tak jak wszystkie inne. Natomiast dobrą wolę pomocy ze strony ojca Rydzyka należałoby opatrzyć wielkim znakiem - ? Ale do tego jeszcze wrócimy.

Aby chociaż częściowo wyczerpać temat wyjazdów Danuty, trzeba wspomnieć o jeszcze kilku. Niektóre z nich miały miejsce już po powrocie Jana z Hiszpanii, ale Danuta również wtedy zazwyczaj podróżowała sama, bądź też z adwokatem lub koleżanką. Kiedy wrócił mąż, było przynajmniej z kim zostawić dzieci, on zaś nawet wołał zostawać w domu -

brakowało mu już sił do walki z Kościołem; była to ostatnia rzecz, jaką chciał robić w życiu.

Kolejne wyjazdy Danuty - w świadomości jej samej - były właściwie bezcelowe. Nie spodziewała się, iż nagle ktoś lub cos odwróci bieg wydarzeń. Trzymała się jednak kurczowo choćby rąbka, cienia nadziei która towarzyszyła każdemu listowi, spotkaniu, telefonowi. Ta właśnie nadzieja, mająca także swoje źródło w długich modlitwach, ratowała ją i męża przed kompletnym załamaniem.

W taki sposób znalazła się na Jasnej Górze - szukając pomocy u Matki Boskiej i ojca przeora. Czcigodny paulin skierował ją do swoich dwóch przyjaciół... ojca Rydzyka i prałata Jankowskiego. Stwierdził, że - tylko oni mogą jej pomóc, pożyczając lub po prostu... dając te 9 miliardów, gdyż - jego zdaniem - „na co dzień obracają podobnymi kwotami”. Danuta miała ich jak wiadomo „zaliczonych”, zatem przeor postanowił sam telefonicznie przedstawić im sprawę i zawiadomić ją o wynikach rozmów. Faktycznie, po tygodniu zadzwonił do Straussów, ale od swoich możliwych przyjaciół miał odpowiedzi odmowne. Obiecał za to pamiętać w modlitwach.

Nie zostało już wiele „świętych” miejsc, których pani Danuta nie odwiedziła i

„poświęconych” głów, z którymi nie rozmawiała. Wszystko na nic! Kobieta skierowała zatem swoje kroki do „obozu wroga”, poszła do toruńskiego SLD. Jak łatwo się domyślić, znali tam dobrze większość przewalek Halberdy i Śliwińskiego. Zapewniali, iż byli tym szczerze przerażeni. Pozbawili przy okazji Danutę wszelkich złudzeń:

- Czy pani nie wie, jaka jest różnica pomiędzy nami a sutannowymi?

Otóż oni mogą wziąć, ale nie muszą oddać i nikt ich nie ma prawa zmusić. Walka z Kościołem i hierarchami, to porywanie się z motyką na słońce!

Danuta idąc tym samym tropem próbowała skontaktować się z Kwaśniewskim (jeszcze nie był prezydentem). Została już nawet umówiona na osobiste z nim spotkanie. Nie pojechała jednak, gdyż odwiódł ją od tego jej znajomy ksiądz Jerzycki.

- Cała nadzieja w dobrej woli Kościoła! - zapewniał.

Wielokrotnie była u biskupa ordynariusza Suskiego w Toruniu. Kiedy po raz pierwszy usłyszał całą historię, powiedział odkrywczo:

- No tak, teraz rozumiem skąd oni mieli pieniądze na tak huczne otwarcie hospicjum!

W czasie późniejszych wizyt próbowała wymóc na biskupie obietnicę przedstawienia jej problemu na forum Episkopatu, przy okazji jakiejś kolejnej konferencji - bezskutecznie.

Ostatnio zachodzi tam tylko prosząc o zapomogę.

O pomoc materialną zwraca się też czasami do ekonoma diecezji toruńskiej księdza Majewskiego. Dał jej w sumie około 2000 zł, ale zawsze z wielkiej łaski. Na początku robił

wrażenie, jakby nie wierzył w sam fakt udzielenia Halberdzie pożyczki. Parę razy nazwał

nawet jej rodzinę „mafią”, mając na myśli... wyłudzenie przez nich pieniędzy od Kościoła (!).

Przed I Komunią bliźniaków Danuta zadzwoniła do niego i z płaczem prosiła o kilkanaście złotych, gdyż nie miała za co kupić dzieciom książeczek.

- Nie będę z panią rozmawiał - powiedział ksiądz Majewski i rzucił słuchawkę.

Podobne „ojcowskie” i „duszpasterskie” podejście reprezentuje aktualny proboszcz Straussów. On też pierwszy powiedział o nich „mafia”. Kiedy poszła do niego koleżanka Danuty, prosząc o wsparcie dla oszukanej, biedującej rodziny - proboszcz oznajmił, iż - musi najpierw sprawdzić dokładnie całą sprawę. Po kilku dniach znajoma Straussów usłyszała:

- Już sprawdziłem, to wszystko nieprawda!

Obydwu duchownych Danuta zapraszała do sądu na rozprawy, aby przekonali się - kto tu naprawdę jest „mafią”, ale żaden z nich nie przyszedł. Była jeszcze później raz u księdza Majewskiego, ponieważ bolało ją bardzo, że ten człowiek jej nie wierzy. Po długiej rozmowie zmienił zdanie i obiecał modlitwę.

Każda diecezja i każdy biskup diecezjalny ma święty obowiązek troszczyć się i wspomagać swoje owieczki, szczególnie te pokrzywdzone. Jednakże ponad tą zasadą zawsze stawiana jest inna,

niezmienna od wieków:

KOŚCIÓŁ JEST PO TO, ABY BRAĆ, A NIE DAWAĆ !!!

Do małżonków ciągle nie docierało, że wszystko już stracone, że nikt im nie może pomóc. Danuta śniła po nocach o wybawieniu, o spokojnym, normalnym życiu. We śnie przychodziły jej do głowy różne rozwiązania. Miała na przykład sen, w którym stała w tłumie ludzi i bardzo się czegoś bała, a jej były proboszcz - wspomniany już Jerzycki - wyciągnął do niej ręce i zabrał w bezpieczne miejsce. Pojechała do niego już następnego dnia. Proboszcz wysłuchał ją spokojnie i powiedział:

- Musimy się przede wszystkim zastanowić moje dziecko, jak ty masz dalej żyć.

Obiecał, że zastanowi się, jak jej pomóc i wkrótce się odezwie. Rzeczywiście, po tygodniu przyjechał z „nowym” pomysłem.

- Musimy jechać do biskupa! - oznajmił.

Idea wyjazdu do Śliwińskiego nie była zbyt oryginalna. Za spaloną benzynę i zużyte bilety do Elbląga - Danuta mogłaby zacząć nowe życie na średnim poziomie. W każdym razie na długi czas zapomniałaby co to bieda. Nie chciała jechać. W czasie ostatnich spotkań z biskupem, kanclerzem, proboszczem Wasilewskim i nowym ekonomem diecezji - traktowano ją bardzo nieprzychylnie. Dawano do zrozumienia, że się naprzykrza. Za jej plecami, ale tak by widziała - pukano się w głowę. Śliwiński powtarzał już tylko, że nie będzie płacił

„prywatnych długów Halberdy”(!) Po długich namowach pojechała w końcu, ale nie weszła do środka. Jerzycki poszedł sam. O dziwo - kobieta z początku nie chciała w to wierzyć -

wynegocjował dla niej 1000 zł miesięcznej pensji od biskupa. Znając „solidność” ordynariusza, proboszcz zaofiarował się sam osobiście odbierać pieniądze. Szkopuł był w tym, że również biskup osobiście je wypłacał. Skutkiem tego - jeśli nie było biskupa, nie było także pieniędzy, np. przez dwa miesiące urlopu, w czasie wizytacji, odpustu, okolicznościowego wyjazdu itp. Kiedy Śliwiński znowu się pojawiał, płacił już tylko na bieżąco. W ten sposób 10 baniek docierało do Straussów mniej więcej co drugi miesiąc, ale to już było coś! Ta idylla trwała od sierpnia 1996 roku - do czerwca 1998. Po tym okresie, tj. w lipcu ubiegłego roku, biskup Śliwiński dał Straussom jednorazowo 20.000 złotych (nowych) -

„na nową działalność ubezpieczeniową”. Powiedział przy tym znamienne słowa:

- Na tym nasze sprawy finansowe się kończą. Jesteśmy rozliczeni(!) Rzucił jeszcze na pożegnanie (swoim zwyczajem) pustą obietnicę, że - załatwi Straussowi wyłączność na ubezpieczanie wszelkich budynków kościelnych na terenie swojej diecezji.

Danuta próbowała jeszcze wielokrotnie i na wszelkie sposoby „wyrwać” od biskupa jakieś pieniądze na utrzymanie rodziny (to, co jej dał, nie było nawet odsetkami odsetek od 9

miliardów), ale nigdy nic więcej nie dostała. Kiedyś dowiedziała się od siostry, że proboszcz z

Białych Bud szuka kupca na swój dom. Zaproponowała Śliwińskiemu, aby kupił go po okazyjnej cenie, a później sprzedał i częściowo spłacił dług. Zgodził się dość chętnie. Za jakiś czas powiedział, iż - nie ma od razu tyle pieniędzy, ale spłaci dom w ratach. W końcu, jak zwykle się wypiął.

Innym razem Danuta prosiła go, by ubezpieczył diecezję w Konception II w Bydgoszczy, gdzie pracował przyjaciel męża - Janusz Słomski. Prowizja od tego ubezpieczenia miała oczywiście zmniejszyć dług biskupa wobec Straussów. Należało ubezpieczyć każdą parafię, ale ile ich było? Śliwiński mówił co prawda wcześniej o 300; kiedy jednak zadzwonili do niego z pytaniem - ile polis mają przygotować? - przyznał się już tylko do 150. Wspólnie ze Słomskim przez kilka dni przygotowywali stopy niezbędnych dokumentów. W końcu pojechali z dwiema walizami polis, umów, wycen itp. Niestety -

biskup się rozmyślił.

Aby załagodzić sytuację, sam wyszedł z propozycją kupna Danucie samochodu. W

tym czasie bowiem znalazła sobie pracę technika analityki medycznej w Szpitalu Wojskowym w Bydgoszczy. Samochód bardzo by się jej przydał. Po dłuższym milczeniu biskupa postanowiła jechać do Elbląga i osobiście upomnieć się o obiecane auto. Śliwiński zwał winę na proboszcza Wasilewskiego, który miał podobno wszystko załatwić. Tego było już za wiele. W kobiecie coś pękło i musiała w końcu odreagować. Zaczęła więc krzyczeć na cały głos:

- Mnie to nic nie obchodzi! Ja stąd nie wyjdę, zanim nie dostanę samochodu albo na samochód. Nie jestem żebraczka! Jak nie, to wyjadę stąd passatem biskupa!

Kolor twarzy ekscelencji zlał się w jednej chwili z kolorem jego piuski. Stał tak wpatrzony w Danutę, jakby chciał ją porazić siłą swojego majestatu.

Udało mu się, nie wiadomo po raz który z rzędu. Danuta była kobietą z natury nieśmiałą i subtelną. Ciągłe pokutowało w niej swoiste zażenowanie, a nawet strach przed hierarchą Kościoła, mający niewątpliwie swoje źródło w dziecięcym wychowaniu. Zawsze, ilekroć zechciał ją łaskawie przyjąć - w głębi duszy i wbrew sobie - czuła za sam ten fakt...

wdzięczność dla człowieka, który przecież zrujnował życie jej i rodziny. Śliwiński z pewnością doskonale to wyczuwał i wykorzystywał do granic możliwości.

Także i teraz - zrozpaczona, zahukana, słaba kobieta - zaniósła się tylko histerycznym płaczem, wybiegła z pokoju i... poszła pieszo na dworzec.

Od tego czasu przynajmniej przestała już do reszty wierzyć w dobrą wolę biskupa Śliwińskiego i jego puste obietnice, obliczone na zwłokę i tzw. odczepne. Jak mogła zresztą ludzię się tyle czasu! Nawet obcy ludzie (w tym jeden ksiądz - Siechowski) dziwili się jej naiwności. Zrozumiała w końcu, że wszelkie kontakty z tym człowiekiem nie mają już jakiegokolwiek sensu. Kiedy Jan stanął przed sądem w sprawie karnej, pojechała jednak jeszcze raz, właściwie tylko po to, aby powiedzieć, iż - cieszy się przynajmniej z jednego: cała historia i dramat jej męża stały się tak głośne, że już chyba

nikt więcej nie da się oszukać.

- Nie będzie już więcej ludzkich dramatów, takich jak nasz! - oznajmiła z satysfakcją.

Chwilami, będąc w ciężkiej depresji, Danuta miewała myśli samobójcze. Podczas spotkania z biskupem - roztrzęsiona, ze łzami w oczach - powiedziała:

- Pewnego dnia, kiedy nie będę miała na chleb dla dzieci, zabiorę do samochodu całą czwórkę i tak się rozbiję, żeby nikt nie uszedł z życiem. Może wtedy poruszy się sumienie eksceleńcji.

Śliwiński zrobił wrażenie dość poruszonego, ale ona była raczej skłonna przypuszczać, że jej śmierć przyniosłaby mu niemałą... ulgę i wybawiła z kłopotu.

Oprócz niezliczonych wyjazdów, państwo Strauss w ciągu pięciu lat wysłali setki listów; przeważnie po kilka, a nawet po kilkanaście do każdego z adresatów. Do Energetyki Poznańskiej i PZU pisali przeważnie wyjaśnienia oraz prośby o prolongaty. Pozostała korespondencja miała na celu uzyskanie interwencji, wsparcia, poparcia, mediacji, uwrażliwienia, czy też w końcu - pozytywnego załatwienia ich sprawy. Wszystko na próżno!

Pisali m.in. do:

arcybiskupów - Glempa, Kowalczyka, Macharskiego, Muszyńskiego biskupów -

Pieronka, Gocłowskiego (Gdańsk), Suskiego (Toruń),

Nowaka (Częstochowa), Śliwińskiego i Wysockiego (Elbląg) episkopatów - Polski i Hiszpanii Watykanu - papież (kilka), prałaci: Dziwisz i Nowacki a także:

prezydenta Kwaśniewskiego i jego żony oraz do Lecha i Danuty Wałęsów.

Odpowiedzi przysłało z: Nuncjatury Apostolskiej, Sekretariatu Prymasa Polski i Episkopatu Hiszpanii. Wszystkie były niezwykle krótkie, lakoniczne i odsyłały Straussów do Elbląga (czyt. do diabła).

Z osób cywilnych odpisała tylko pani Jolanta Kwaśniewska, która zalecała drogę sądową, ale sama nie mogła przecież nic poradzić.

Powoli kończyły się Straussom ostatnie pieniądze. Od dłuższego czasu wysprzedawali kolejno wszystko, co można było szybko upłynnić. W końcu przyszła kolej na dom i samochód Danuty. Jan od dawna już nie prowadził interesu i był bezrobotny, a 6 - osobowa rodzina musiała z czegoś żyć. W najlepszym okresie prosperity firmy Jana, Danuta - która zawsze ponad wszystko kochała dzieci - założyła w Toruniu sklep z butami, aby wszelkie zyski ze sprzedaży przeznaczyć na fundację pomocy biednym dzieciom. Poczyła już duże starania w celu jej powstania, ale kiedy sklep zaczął wreszcie przynosić zyski - musiała go ze stratą sprzedać i całe przedsięwzięcie upadło. Po czterech latach życia w stresie i ciągłym strachu przed skazaniem Jana na długoletnie więzienie, stracili wszystko co mieli oprócz mieszkania w bloku. Setki różnych wyjazdów, opłaty związane z pracą adwokatów, pobyt Jana w Hiszpanii, rozbite samochody a przede wszystkim brak jakiegokolwiek źródła dochodu,

jak również inne wydatki - pochłoneły fortunę i doprowadziły zamożną niegdyś rodzinę Straussów na skraj ubóstwa. Czasem brakowało nawet na porządny posiłek, nie mówiąc już o nowych butach czy ubrankach dla dzieci. Małżonkowie wstydzili się prosić o wsparcie swoich rodziców i bliskich, ale często to właśnie oni ratowali ich z opresji.

Bezinteresowną pomocą i drobnymi pożyczkami wspomagali ich współczujący przyjaciele, znajomi i sąsiedzi. Straussowie do dnia dzisiejszego żyją w ciągłym niedostatku, a okresami -

w skrajnej nędzy.

Powróćmy do faktów i chronologii wydarzeń. We wrześniu 1996 roku wspomniany już ksiądz Jerzycki zorganizował pielgrzymkę do Portugalii, pod osłoną której Jan Strauss miał powrócić do Polski. Znajomy kapłan sugerował wcześniej, aby to raczej Danuta z dziećmi pojechała na stałe do męża, ale istniały uzasadnione obawy, że Interpol i tak go prędzej czy później znajdzie; nie było więc sensu emigrować całą rodziną do Hiszpanii. Jan dołączył do pielgrzymki w Madrycie. Pojechał z nią w dalszą drogę do Fatimy w Portugalii, a 30 września razem ze wszystkimi wrócił do kraju. Z obawy przed policją Jerzycki przywiózł

go do domu w środku nocy. Około 4.00 rano poszli obydwaj na komisariat Jana zatrzymano w areszcie najpierw na 48 godzin, które przedłużyły się jednak o całą dobę. Po rozmowie z prokuratorem został co prawda zwolniony, ale dwa razy w tygodniu musiał meldować się w komisariacie.

Wkrótce w Sądzie Wojewódzkim w Toruniu rozpoczęła się sprawa karna. Prokurator wysunął oskarżenie o zagarnięcie mienia znacznej wartości. Straussów bronił mecenas Ornas.

Świadcami byli pracownicy Jana, Danuta, jej siostra, a z drugiej strony dwie kobiety pracujące w Energetyce. Sąd trzykrotnie wzywał księdza Halberdę oraz kilku pracowników kurii, m.in. kanclerza - nikt jednak nie przyjechał. Biskup naturalnie obiecał, że - „będzie i pomoże”. Prałat - jak później powiedział Straussom - bał się zeznawać w obecności kurialistów. Jego zeznania mogły mieć jednak kluczowe znaczenie dla poparcia linii obrony, która dążyła do zmiany paragrafu i odsunięcia zarzutu zagarnięcia ogromnej kwoty, za co groziła Janowi kara kilkunastu lat więzienia. Na wniosek Ornasa - Halberdę przesłuchano zatem w Elblągu. Na szczęście zeznał wszystko zgodnie z prawdą. Sędzina nie mogła się nadziwić - dlaczego kuria nie oddała pieniędzy. Zarówno prałat, jak i Straussowie byli dla niej ofiarami kurii elbląskiej. Zachodziła w głowę - dlaczego nie założono żadnej sprawy biskupowi!?

Sprawa karna trwała prawie rok. Zakończyła się po Wielkanocy 1998 r. Ostatecznie sąd uznał Jana winnym popełnienia przestępstwa z art. 206 Kodeksu Karnego. Wyrok brzmiał: dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata, zakaz wykonywania zawodu ubezpieczyciela na okres dwóch lat, zasądzenie na rzecz pozwanego kosztów sądowych w wysokości 1.500 zł.

Sędzia Barbara Bogaczewicz - Jul przez ponad półtorej godziny uzasadniała orzeczenie sądu. Powiedziała między innymi:

- „Jan Strauss jedną pożyczką zmarnował to, na co pracował wiele lat. Stracił zaufanie jako agent

ubezpieczeniowy, a w strukturach firmy - w której pracował - zaszedł bardzo wysoko i miał szansę na dalszy awans”.

Sam wyrok był wielkim sukcesem Straussów i adwokata Ornasa. Sąd uznał, iż Jan faktycznie pożyczył 9 miliardów diecezji elbląskiej, a zatem nie zagarnął ich dla siebie; zmieniła się w związku z tym kwalifikacja czynu. Jednak przez samowolne pożyczenie nie swoich pieniędzy naraził na straty PZU, do którego nie dotarła składka, za co otrzymał ww.

wyrok.

W trakcie sprawy karnej Energetyka założyła sprawę cywilną o zwrot całej kwoty.

Sprawa w Sądzie Wojewódzkim w Toruniu trwała grubo ponad rok. Zakończyła się (o dziwo!) odsunięciem roszczeń poznańskiej Energetyki, ponieważ w tym czasie wpłaciła ona brakującą składkę do PZU. W związku z tym jej strata nie była dla sądu tak... ewidentna.

Sędzia ponadto uznał, iż to nie Energetyka jest poszkodowana, a jedynie Państwowy Zakład Ubezpieczeń, do którego nie wpłynęły pieniądze. Sąd apelacyjny nie miał już takich wątpliwości - zasądził od Jana zwrot kwoty 9 miliardów na rzecz Poznania wraz z ogromnymi kosztami procesowymi. Był to wyrok sprawiedliwy. Nikt nie wnosił od niego apelacji i wkrótce stał się prawomocnym, z klauzulą wykonalności. Straussowie nigdy nie kwestionowali swoich zobowiązań finansowych; inna sprawa, że komornik nie mógł im już wówczas zabrać nawet telewizora.

Na sprawie cywilnej - Jana reprezentował mecenas Stefan Libiszewski, rekomendowany przez Jerzyckiego. Był to prawnik Radia Maryja, o czym Straussowie dowiedzieli się niestety dużo później, W rzeczywistości człowiek ten bronił zawsze interesów Kościoła i biskupa Śliwińskiego, od którego też podobno otrzymywał pieniądze, W czasie, gdy Jan przebywał w Hiszpanii, Danuta weszła w kontakt z mecenasem Tyszkiewiczem z Łodzi, który za 500 zł napisał pozew przeciwko Śliwińskiemu i podjął się prowadzenia całej sprawy o zwrot pożyczki. Na nieszczęście kobieta pokazała pozew Libiszewskiemu. Ten uznał, że - jest on „do niczego” i „nic nie da”. Zaofiarował się - jak będzie trzeba - za darmo napisać odpowiedni dokument i przedłożyć go w sądzie. Kiedy już „było trzeba”, tzn. po długich naciskach Danuty, zredagował pozew i dał Danucie, aby podpisała go w imieniu męża. Kobieta była przekonana, że papiery zostaną jak najszybciej złożone do sądu. Tak się jednak nie stało. Libiszewski, podobnie jak jego kościelni mocodawcy, okazał się geniuszem gry na zwłokę. Nagabywany przez Danutę co do losów złożonego pozwu - wymyślał coraz to nowe przeszkody i przeciwności; kazał ciągle uzbrajać się w cierpliwość; usprawiedliwiał

opieszalność sądu (który nie nadsyłał odpowiedzi) nawałem spraw. Straussowie dopiero po...

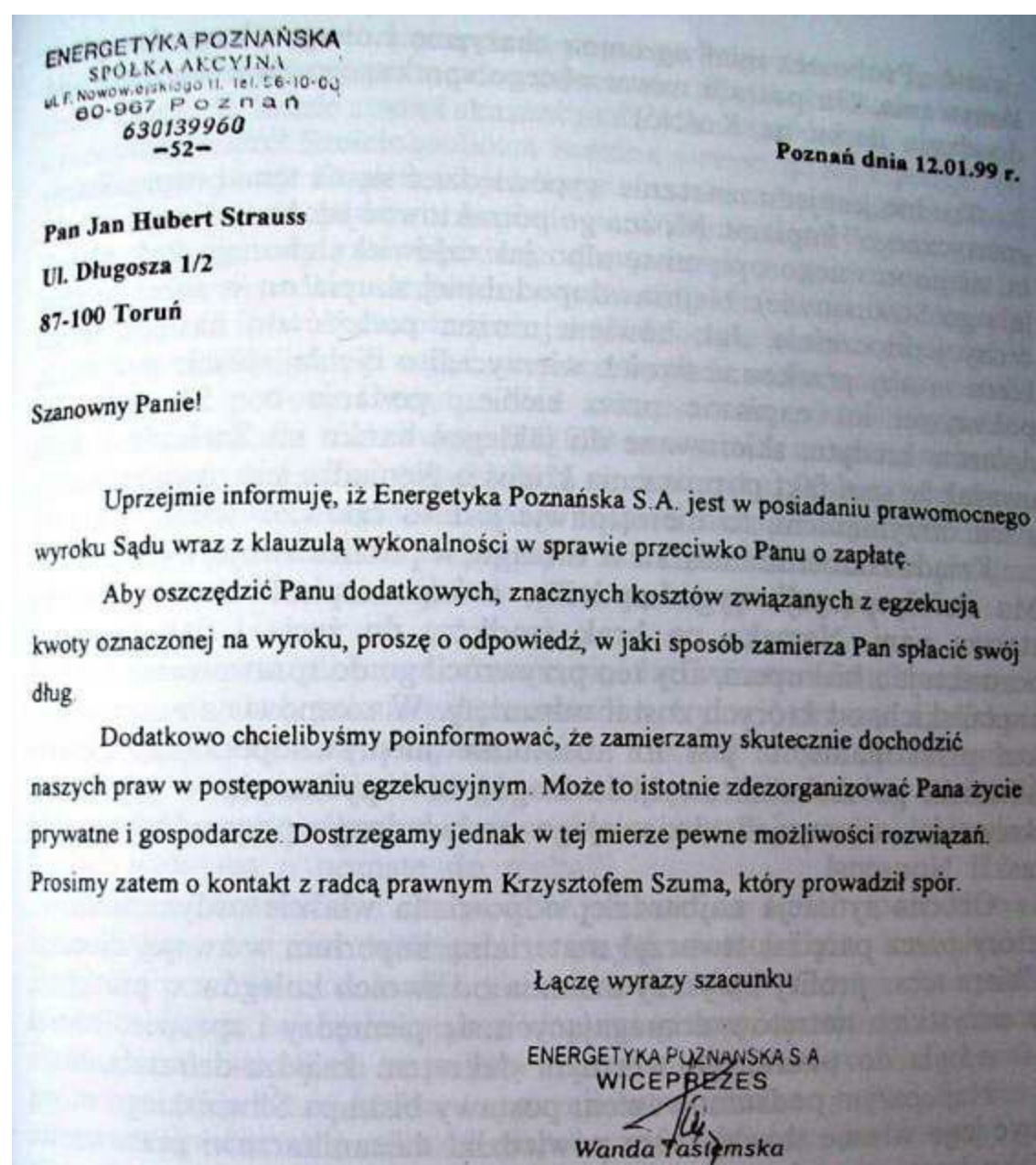
dwóch latach dowiedzieli się na 100, że „ich” mecenas nie złożył żadnego pozwu.

Libiszewski przyznał się do tego wówczas, gdy był już zupełnie pewien, iż jego klienci nie mają pieniędzy na godne życie - nie mówiąc już o drugim pozwie i założeniu sprawy biskupowi.

Należy podkreślić niezwykle przychylną postawę przedstawicieli Energetyki poznańskiej wobec Jana i jego rodziny. Tak naprawdę nie chcieli od nich zwrotu składki (z pewnością miał na to również wpływ

fakt niewypłacalności Straussów). Zwrócili się natomiast do kurii elbląskiej z prośbą o polubowne załatwienie całej sprawy. Dla wszystkich było oczywiste, iż pieniędzy trzeba szukać w diecezji elbląskiej czyli tam, gdzie zostały faktycznie zainwestowane. Biskupowi proponowano m. in. rozłożenie spłaty zadłużenia na okres... 50 lat z możliwością częściowego umorzenia. Nie spotkało się to z żadnym odzewem. Biskup Śliwiński uparcie powtarzał, że - gdyby nawet miał, to niby z jakiej racji ma płacić „prywatne długi jakiegoś księdza”.

Księdzu prałatowi Janowi Halberdzie nikt nigdy nie przedstawił żadnego zarzutu. W dziesiątkach spraw sądowych o zwrot zaciągniętych przez siebie pożyczek występował zawsze w charakterze... świadka. Gdyby nawet doszło do wytoczenia mu procesu - praktycznie niemożliwe byłoby udowodnienie mu, że już w momencie brania



pieniędzy nie miał zamiaru ich oddać. A tylko w takim przypadku można by wydać wyrok skazujący. Tak więc człowiek ten jest praktycznie bezkarny, a z Kościołem - który reprezentował - nikt nie chce

zadziierać.

Założymy się, że biskup Śliwiński przewidział taki scenariusz, gdy upoważniał

swojego dyrektora gospodarczego do zaciągania nieograniczonych pożyczek i prowadzenia inwestycji bez opamiętania..?

Jeden ze świadków na procesie Straussa powiedział o księdzu Halberdzie:

- „Proboszcz miał ogromną charyzmę i niespotykany dar przekonywania. On potrafił nawet obcego spotkanego na ulicy namówić do dania datku na Kościół”.

Trudno jest jednoznacznie wypowiedzieć się na temat tego „charyzmatycznego” kapłana. Można go potraktować jak bezczelnego oszusta, niepoprawnego optymistę albo jak człowieka chorego (tak określają go Straussowie). Najprawdopodobniej skupia on w sobie te trzy cechy jednocześnie. Jak bowiem można podejść do następującego faktu - aby przekonać swoich wierzycieli o rychłej spłacie pożyczek, pokazywał im napisane przez siebie... podanie o... 50 milionów dolarów kredytu, skierowane do jakiegoś banku na Zachodzie. Jeśli uważał, że sam fakt poproszenia kogoś o pieniądze jest równoznaczny z ich otrzymaniem, to niewątpliwie jest to człowiek wielkiej wiary!

Ksiądz Halberda mieszka w Elblągu, w pobliżu swojej byłej parafii Ma do dyspozycji wygodną willę, którą... zapisała mu za opiekę starsza pani. Narzeka na brak środków do życia i (jak twierdzi) pertraktuje z biskupem, aby ten przywrócił go do sprawowania funkcji kapłańskich, od których został odsunięty. W rozmowie z nim wyraziłem przekonanie, iż jest to absolutnie nieprawdopodobne. Gdyby Śliwiński go zrehabilitował, do kogóż to - pytam się

- wysyłałby wszystkich wierzycieli, do swojego podwładnego przywróconego do łask?!

Nonsens!

Obecna sytuacja najbardziej odpowiada właśnie ordynariuszowi, który przez parę lat stworzył materialne imperium w swojej diecezji Zbiera teraz profity i wyrazy uznania od swoich kolegów w piuskach, a wszystkich natrętów domagających się pieniędzy i sprawiedliwości - odsyła do ukaranego własnym dekretem księdza - defraudanta.

Najlepszym podsumowaniem postawy biskupa Śliwińskiego mogą być jego własne słowa, które powiedział dziennikarzowi prasowemu, jako komentarz do wyroku Jana Straussa, parę dni po zakończeniu sprawy karnej:

„Sprawy już nie ma i nie ma żadnego problemu” (!!!)

Tymczasem dramat Danuty i Jana, podobnie jak innych ofiar Halberdy - niezmiennie toczy się nadal. Straussowie są ludzkim wrakami; wychudzeni, znerwicowani i schorowani od życia w ciągłym stresie, palący po kilka paczek papierosów dziennie. Danuta ma 42 lata, a jej mąż 48. Dla ludzi w takim wieku praktycznie niemożliwe jest dziś w naszym kraju rozpoczęcie nowego, godnego życia od podstaw, Podjęcie interesującej pracy, dorobienie się czegokolwiek, wykształcenie dzieci. Ci ludzie

zostali skazani przez kler na ubóstwo, wegetację i powolną śmierć! Sześciuosobowa rodzina utrzymuje się z pensji 700 zł, którą otrzymuje Danuta, dojeżdżająca codziennie pociągiem ponad 50 kilometrów do pracy w szpitalu w Bydgoszczy. Jej mąż prawdopodobnie już nigdy nie będzie mógł pracować, w związku z powikłaniami po wypadku samochodowym. Obecnie stara się o rentę inwalidzką.

O ile w ogóle otrzyma jakąś skromną kwotę - komornik może ją w każdej chwili zająć na poczet spłaty zadłużenia, podobnie jak skromne pobory Danuty. Nad całą rodziną wisi do spłacenia niewyobrażalna dla nich kwota 900.000 nowych zł, wraz z ustawowymi odsetkami za pięć lat (około 30% w skali roku), które stale rosną. Piętnem ubóstwa i ciężarem winy zostało naznaczonych na resztę życia czworo małych dzieci Danuty i Jana, ponieważ to one przejmą dług swoich rodziców, o ile nie zrzekną się spadku po nich.

O tym, co przeżyli przez ostatnie pięć lat Danuta i Jan Straussowie można by napisać pokaźnych rozmiarów trylogię - dramat i nakręcić wstrząsający film, a są to tylko dwie z kilkuset ofiar księdza prałata Halberdy, biskupa Śliwińskiego oraz innych hierarchów Kościoła, którzy dali swoje milczące przyzwolenie na tak jawną niesprawiedliwość, wołającą o pomstę do nieba!!!

Historię Straussów i im podobnych można śmiało potraktować jako swoisty test dla biskupów i innych dostojników kościelnych. W końcu pani Danuta trafiła niemal do każdego!

Gdyby choć jeden z nich podjął tę tak bolesną i ewidentną sprawę, chociażby na forum Episkopatu; wstawił się za pokrzywdzonymi do biskupa ciemżyciela w Elblągu; czy też w końcu z pozycji zwierzchnika (papież, prymas, sekretarz Episkopatu) nakazał niezwłocznie oddać zrabowane pieniądze - po trzykroć - NIE! NIE! NIE!

Wszyscy skwapliwie przyjęli - zawsze najwygodniejszą - postawę strusia. Zawarli zмовę milczenia i umyli ręce z ludzkiej krzywdy dokładnie tak, jak przed dwoma tysiącami lat uczynił Piłat.

Czyżby czcigodni, wyświęceni dygnitarze Kościoła zapomnieli, że istnieje coś takiego, jak - „grzech zaniedbania w czynieniu dobra”.

Podczas tegorocznej pielgrzymki do Ojczyzny, Elbląg i biskupa Śliwińskiego odwiedzi sam Jan Paweł II. Mówi się, że miasta, które odwiedzi papież, zostały przez niego w ten sposób wyróżnione. Rzeczywiście - sporo się ostatnio w Elblągu „na chwałę Bożą” pobudowało... Jestem przekonany, iż papież nie ma najmniejszego pojęcia, co się wyrabia w Elblągu. Świadczą o tym chociażby ostatnie usilne zabiegi Śliwińskiego, który - perswazją, zastraszaniem i pustymi obietnicami - wymusza na wierzycielach milczenie podczas papieskiej wizyty.

Kiedy po raz pierwszy spotkałem panią Danutę i wysłuchałem jej niewiarygodnie brzmiącej opowieści, pomyślałem sobie - biedna kobieta, pomieszał jej się chyba rozum.

Teraz myślę w ten sposób o wszystkich, którzy ślepo ufają duchownym Kościoła rzymskokatolickiego; obdarzają ich szacunkiem i zaufaniem - wyłącznie z racji pełnionej przez nich szaczonej profesji.

Uważam, iż sprawa nadużyć związanych z powstaniem i rozbudową diecezji elbląskiej, a w szczególności ograbieniem setek ludzi - nie może zakończyć się w taki sposób, tzn. tryumfem złodziejów z czarnej mafii. Stowarzyszenie, które założyłem, już zajęło się pomocą finansową i prawną dla państwa Straussów. Wkrótce adwokat z ramienia Stowarzyszenia wystąpi do sądu przeciwko biskupowi ordynariuszowi Śliwińskiemu, domagając się spłaty całego zadłużenia. Ci ludzie muszą odzyskać i oddać pieniądze, które Jan Strauss pożyczył w dobrej wierze „dla dobra Kościoła”. Kto jednak wynagrodzi im straty moralne, zrujnowane zdrowie i stracone lata!?

Oczekuję na sygnały od innych pokrzywdzonych osób.

Wszystkie fakty, osoby i wydarzenia zawarte w tym rozdziale są prawdziwe. Opisałem je ściśle według relacji pani Danuty Hubert - - Strauss, po rozmowie z księdzem prałatem Janem Halberdą, jak również na podstawie odpowiednich dokumentów cywilnych i sądowych.

ROZDZIAŁ III

Byłem zakonnikiem

„Czym byłby świat bez zakonników!?”

Jan Paweł II

„Zakonnicy są żywym przybytkiem Ducha Świętego”

o. Jerzy Tomziński - rzecznik prasowy Jasnej Góry

Był wczesny sierpniowy poranek 1998 roku, gdy pakowałem do swojego wypchanego plecaka ostatnie osobiste drobiazgi. Jeszcze przez chwilę spoglądałem na pokój, w którym spędziłem ostatnie miesiące swojego życia. Jakże wiele myśli przewalało się wówczas przez moją głowę. Zamykając drzwi mieszkania, zamykałem pewien etap w swoim życiu, który tak wiele dla mnie znaczył.

Schodząc po schodach w kierunku drzwi wyjściowych spotkałem siostry zakonne, które pracowały w kuchni. Pożegnanie wycisnęło na ich oczach kobiece łzy. Nie mogły zrozumieć dlaczego porzucam kapłaństwo. Podejmując swoją decyzję o odejściu, nie miałem zamiaru nikogo zranić, lecz nie mogłem postąpić inaczej.

Wychodząc z domu poczułem powiew letniego wiatru, pełen delikatnego ciepła. Idąc przez stary park, skierowałem się w kierunku dworca PKP. W czasie tej krótkiej drogi wiele myśli kłębiło się w mojej głowie na temat tego, co minęło i co czeka mnie w przyszłości. Otwierając zaś drzwi pociągu przypomniał mi się moment sprzed dwudziestu lat, gdy na dworcu samotnie czekałem w deszczową noc na inny pociąg, który zawiózł mnie do Krakowa. Tam wstąpiłem do seminarium...

Ktoś może zapytać w tym momencie, dlaczego postanowiłem się Podzielić swoimi przeżyciami skoro już odszedłem? Dlaczego próbuję mówić o czymś, co i tak wielu ludzi już zna z własnych źródeł? Otóż przyszła chwila, aby o takich sprawach pisać. Podejmuje się dzisiaj w Polsce różne reformy, które mają na celu zmiany w różnych sferach życia gospodarczego i społecznego. Próbuje się

lustrować byłych agentów SB. Mówi się o patologiach i aktach przemocy w codziennym życiu Polaków. Nie mówi się jednak w tej perspektywie o ludziach Kościoła i o jego strukturach, które przecież w wielu wypadkach są chore i winny być poddane wnikliwej krytyce. To wszystko ma na celu zmianę na lepsze, a przede wszystkim chodzi o to, aby ci, którzy decydują się na drogę powołania znaleźli na niej możliwości rozwoju, a nie drogę zatracenia i destrukcji. Te mocne słowa znajdują potwierdzenie w połamanych życiorysach wielu księży, którym nie udało się wytrwać do grobowej deski w powołaniu. I trudno tutaj winić tylko człowieka, który odchodzi, gdyż prawda leży zawsze pośrodku. Mówi się najczęściej jednak o winie jednej strony, natomiast niewiele o drugiej. Zresztą, w polskim społeczeństwie - przynajmniej w jego katolickiej części - panuje pogląd, że kapłan jest wręcz nietykalny, gdyż jest sługą Chrystusa i nie należy tej sprawy ruszać. Nawet jeżeli dochodzi do ewidentnych przypadków naruszeń zasad ewangelicznych i praw społecznych, ludzie wolą o nich milczeć lub mówić o nich w tajemnicy. Jest to smutna prawda dowodząca faktu potęgi władz Kościoła nad przeciętnym człowiekiem żyjącym w Polsce.

Natomiast ten, kto zdobywa się na krytyczny osąd, jest traktowany jako człowiek niewierzący i sprzeciwiający się woli Kościoła. Ja sam muszę się liczyć z faktem, że jeżeli zostanę rozpoznany, będę traktowany jako ten, który jest nie tylko renegatem i zdrajcą, lecz przede wszystkim wrogiem Kościoła. Brzmi to dla mnie samego jak okrutny żart, lecz zaręczam, że tak jest naprawdę.

I tutaj mała dygresja związana z moją osobą. Na razie muszę pozostać osobą anonimową, a to z wielu powodów. Nie chodzi mi tutaj o mnie, lecz o bliskich mi ludzi.

Przede wszystkim pragnę uchronić moich rodziców i rodzeństwo przed złośliwymi językami i presją ludzi Kościoła. Jest też grupa bliskich mi osób, którzy pomogli mi w tym niełatwym czasie, gdy odchodziłem. Wiele im zawdzięczam, stąd niezasłużona krzywda mogąca ich spotkać ze strony różnych „nawiedzonych” wyznawców katolicyzmu, byłaby moją osobistą porażką. Wierzę jednak, że przyjdzie taki czas, gdy nie będę musiał ukrywać mojej tożsamości.

Fakty przeze mnie opisane są jedynie niewielkim wycinkiem spraw i problemów, z którymi spotkałem się w ciągu kilkunastu lat pracy na różnych parafiach. Są one obrazem być może zbyt brutalnym dla przeciętnego czytelnika, lecz na pewno nie zmyślonymi. Byłem naocznym świadkiem wielu spraw, które budzić mogą sprzeciw szerokiego grona odbiorców tej książki. Nie chciałbym jednak, aby były one traktowane jako kolejne źródło smaczków na temat życia księży. Osobiście przeżyłem wiele tragedii osób poświęconych Bogu, nie bardzo wiedząc, jak im pomóc. Niektórzy z nich już nie żyją. Być może wielu z nich można było uratować od takiego losu, gdyby ktoś z tzw. góry zwrócił na nich uwagę, bo ksiądz jest tylko człowiekiem! Nie żadnym półbogiem czy herosem. Tak samo potrzebuje troski i opieki, by mógł siebie dawać innym. Kiedy zaczyna tego brakować, szuka gdzie indziej, gdyż taka jest natura człowieka. Natomiast udawanie, że jest inaczej - to zwykła głupota lub wręcz złośliwość. Można mieć bardzo dobre wykształcenie filozoficzne i teologiczne, jakie serwują w seminariach duchownych, a tak naprawdę kierować się w ocenach ludzi wyłącznie własnym punktem widzenia, opartym o pewność, że - po mojej stronie jest racja, bo jestem

„sługą Chrystusa”. To powoduje, że wielu kapłanów w imię tej świętej racji wręcz niszczy ludzi po to, aby ich było na wierzchu. Nie ma tutaj dialogu, jest natomiast miejsce na presję moralną, pod którą wielu się łamie i przyjmuje prawdę dla siebie niezrozumiałą czy wręcz nieludzką. Aby nie być gołosłownym wspomnę wypowiedź pewnego księdza na temat mojego odejścia. W jego mniemaniu

odszedłem, bo po prostu się zakochałem i chciałem dać upust swojej żądzy. Nie widział on człowieka i jego moralnej sytuacji, wiedział natomiast, jaka winna być poprawna interpretacja (w jego mniemaniu) tej sytuacji. Dlatego pragnę, aby to, co napisałem, rozproszyło choć trochę mrok, który skrzywia właściwe spojrzenie na Kościół i jego kapłanów, a jednocześnie było pretekstem do tego, by ludzie byli bardziej odważni w dochodzeniu swoich praw wobec instytucji Kościoła, gdyż im się to po prostu należy z faktu, że są dziećmi jednego Boga.

Cała historia mojej drogi do kapłaństwa zaczęła się pod koniec lat siedemdziesiątych.

Kończyłem liceum ogólnokształcące w jednym z północnych miast Polski. Zastanawiałem się nad wyborem drogi życiowej. Sytuację w domu rodzinnym miałem nieciekawą. Od pewnego czasu ojciec zaglądał do kieliszka. W domu często panowała atmosfera trudna do wytrzymania. W tym wszystkim próbowałem znaleźć jakiś sens. Większość czasu spędzałem na czytaniu książek. One były dla mnie autentycznym wytchnieniem od problemów dnia codziennego. Interesowałem się też bujnie rozwijającym się rockiem. Nosiłem długie włosy.

Czasami z kolegami słuchaliśmy z trudem zdobytych płyt zespołów Black Sabbath, Pink Floyd, Genesis i innych. Całą paczką często chodziliśmy do kina. Pamiętam, z jakim zapamiętaniem komentowaliśmy w szkole nowe filmowe hity. Mimo że miałem koleżankę, którą dzisiaj młodzi ludzie nazywają „dziewczyną” i trochę z nią „chodziłem”, to we wnętrzu czułem potrzebę czegoś głębszego. Zaglądałem też do kościoła, gdyż droga do szkoły biegła obok świątyni. Zbyt aktywnie w życiu parafii nie uczestniczyłem, ot, niedzielna msza św., jakieś nabożeństwo, katechizacja i to wszystko.

Pod koniec szkoły podstawowej często - podczas niedzielnej mszy św. - chodziłem do miejskiego parku. Nudziły mnie przydługawe ceremonie. Niezrozumiałe też były dla mnie kazania księży. Zdarzało się mi, że w czasie nabożeństwa zasypiałem. Lubiłem natomiast rozmawiać z Bogiem po swojemu. Nie cierpiałem recytowania z pamięci gotowych formułek.

Z tego powodu spotkała mnie kiedyś kara, gdy przygotowywałem się do I Komunii św.

Egzaminujący z katechizmu na lekcji religii ksiądz katecheta, zamknął mnie z kolegą w kancelarii do czasu, gdy wyuczymy się na pamięć zadanego wcześniej materiału. Pamiętam dobrze niepokój mojej matki, gdy na czas nie wróciłem do domu. Z Pierwszą Komunią związane jest inne przykre przeżycie. Dostałem wtedy solidne lanie za to, że nie chciałem przeprosić moich bliskich, gdy szedłem do spowiedzi. Miałem o to żal do ojca. Zresztą nigdy się z nim dobrze nie rozumiałem. Budowany w ten sposób autorytet i sposób przekazu posłuszeństwa rodzicom - zgodny z IV Przykazaniem - nie bardzo docierał do mojej dziecięcej duszy. Z tego powodu nie chciałem zostać potem ministrantem, choć wszyscy moi kuzyni przeszli staż ministrancki.

Pod koniec szkoły średniej, gdy gorączkowo szukałem celu życia, jedna z koleżanek baczenie mnie obserwując powiedziała mi kiedyś: - Ty chyba zostaniesz księdzem.

Wtedy uważałem, że są to słowa wyssane z palca. A jednak myśl ta zaczęła mnie nurtować, tym bardziej że mieliśmy w tym czasie fantastycznego katechetę i bardzo dobrego proboszcza. Ci ludzie imponowali mi swoją kulturą i taktem wobec ludzi. W trzeciej klasie liceum dałem się namówić na

wyjazd do Diecezjalnego Seminarium w Gorzowie. Nie zrobiło ono na mnie najmniejszego wrażenia. Jednak gdzieś w połowie czwartej klasy liceum znalazłem w gablotce przy kościele adres pewnego zgromadzenia zakonnego w Krakowie, stanowiłem napisać. Otrzymałem grzeczną odpowiedź i zaproszenie, abym przyjechał. Po wstępnym rekonesansie zrodziła się decyzja, aby tutaj rozpocząć studia. Rodzice przyjęli moją decyzję z mieszanymi uczuciami. Najmniej chyba przejął się tym faktem mój ojciec, który wolał więcej czasu spędzać ze swoimi kolegami niż z rodziną. Gdy przyszedł moment wyjazdu, nikt mnie na dworcu PKP nie żegnał. Tak się złożyło. Staję na pustym, zalanym deszczem peronie oczekując na przyjazd pociągu. Gdy później zamykałem drzwi wagonu, uświadomiłem sobie, że zaczyna się w moim życiu coś nowego, nieznanego i tajemniczego.

Nie mogłem przez całą drogę usnąć. Czekałem z niecierpliwością na moment, gdy postawię nogę na peronie dworca w mieście, które dzisiaj kocham jak własne.

Kraków przywitał mnie słoneczną pogodą. Jadąc do seminarium, byłem pełen obaw i niepokoju. Nie wiedziałem, co mnie naprawdę tam czeka. Po przekroczeniu murów seminarium wszedłem w świat dla mnie obcy, lecz na razie o tym nie myślałem zbyt poważnie. Na początek spotkał mnie pierwszy zawód. Zostałem w przykry dla mnie sposób pouczony, że nie należy się spóźniać do tak szacownej instytucji. Dziwnym bowiem zbiegiem okoliczności przyjechałem... z parodniowym opóźnieniem. I choć później atmosfera w seminarium stała się znośna, to jednak ten pierwszy zgrzyt głęboko zarył się w mojej pamięci.

Już następnego dnia musiałem poddać się rygorowi panującemu w seminarium.

Codziennie modlitwy, udział we mszy św., różne obowiązki, zapoznawanie się z regulaminem panującym wśród wspólnoty seminarialnej. Nowicjuszami opiekował się mistrz nowicjatu.

Był to starszy człowiek, tolerancyjny i wyrozumiały, choć jego poglądy na życie dowodziły wyraźnie, że tak praktycznie tego życia poza murami klasztornymi zupełnie nie zna. Często w okresie nowicjatu dawał wyrazy zdziwienia na temat tego, co dla mnie i moich kolegów było ważne i interesujące. Czasami wydaje mi się, że taka formacja polega na tym, aby ogołocić młodego człowieka ze wszystkiego, co - w mniemaniu wychowawców seminarium - jest zbyt świeckie. W ten sposób przygotowuje się przyszłych księży do tego, by nie widzieli nic innego poza swoimi przyszłymi obowiązkami i misją, którą mają wypełniać. Jedyнным oficjalnym wyjątkiem od tej reguły był sport, który reglamentowano w małych dawkach.

Często więc było widać, jak klerycy grali w nieśmiertelną piłkę nożną na wewnętrznym dziedzińcu seminarium. W tym czasie składowano tam często węgiel i koks, służące za opał

w kotłowni. Można więc sobie wyobrazić, jak wyglądali gracze po skończonym meczu.

Niedaleko tego placu mieszkały młode dziewczyny pracujące w kuchni w roli pomocy. Dla bezpieczeństwa były dość regularnie zmieniane, aby ich kontakty z klerykami nie były zbyt poufale. Na tym tle wybuchł kiedyś w seminarium skandal. Wywołał go jeden z

księży który zbyt gorliwie podpatrywał kleryków. Próbował udowodnić wszem i wobec, że niektórzy z alumnów chodzą do dziewcząt z niewiadomych powodów. Jednemu z diakonów chciano nawet

wstrzymać świecenia. Okazało się w końcu, że to za zgodą prefekta grupa kleryków poszła złożyć życzenia dziewczynom z okazji Dnia Kobiet Nie wyciągnięto żadnych konsekwencji wobec człowieka, który będąc księdzem dopuścił się czynu tak niezgodnego z tym, co głosił w swoich kazaniach.

Problem kontaktów kleryków i młodych księży z płcią przeciwną zawsze budził

zastrzeżenia wśród starszych księży. Sam zresztą doświadczyłem podobnej sytuacji, gdy na swojej pierwszej placówce duszpasterskiej, w pewnym dużym mieście na południu Polski - w przededniu uroczystości Bożego Ciała - dekorowałem plebanię z grupą młodych ludzi W

dowód wdzięczności chciałem poczęstować ich w moim pokoju herbatą i ciastkami Spotkała mnie za ten pomysł ze strony proboszcza ostra reprymenda. Musiałem więc przyjąć na poczęstunek moich młodych przyjaciół w brudnej salce katechetycznej. Potem mówiono na mój temat, że zadaję się z dziewczynami i jest to podejrzany znak. Z tego powodu miałem potem wiele razy sporo nieprzyjemności, co doprowadzało mnie często do rozpacz i głębokiej potrzeby wyrwania się z tej niehumanitarnej sytuacji.

Powracając do czasu mego pobytu w seminarium, muszę powiedzieć, że jedynie pierwszy rok był spokojny. Następne lata były naznaczone ciężką ręką księdza Eugeniusza, który został rektorem uczelni Starł się za wszelką cenę podporządkować wszystkich swoim planom i poglądom. Dlatego postanowił wyeliminować z życia seminaryjnego tych spośród księży, którzy nie pasowali do jego linii politycznej. Pamiętam dokładnie dzień, gdy zebraliśmy się w kaplicy na południowych modlitwach przed obiadem. Pozornie spokojnym głosem ksiądz Edward zakomunikował, że z seminarium odchodzą bezpośredni przełożeni kleryków. Muszę tutaj wyjaśnić, iż rola takiego przełożonego seminarzystów w moim zakonie była bardzo duża. Podlegał on bowiem bezpośrednio prowincjałowi, stąd taki człowiek był

nie do ugryzienia dla rektora. Jak widać, potrafił on znaleźć właściwe sposoby przekonania ówczesnego prowincjała, aby niewygodnych dla siebie ludzi usunąć. Odchodzący zaś księża byli ludźmi powszechnie lubianymi, mimo drobnych wad, jakie posiadali To za ich kadencji klerycy uzyskali pewne przywileje, które zwykłemu człowiekowi - studiującemu na świeckiej uczelni - wydają się czymś oczywistym. Dzięki ich usilnym prośbom pozwolono po raz pierwszy pod koniec lat siedemdziesiątych wyjechać klerykom na święta Bożego Narodzenia do domu. Oni również przyczynili się do uzyskania przez studentów drugiego wychodnego do miasta w ciągu tygodnia. Postarali się o kupno kolorowego telewizora do salki kleryckiej, gdzie alumni mogli obejrzeć program telewizyjny lub przeczytać gazetę. Organizowali też wspólne wyjazdy na tzw. majówki. Jak na ówczesne czasy, taka postawa była godna pochwały. Rodziło to w konsekwencji klimat zaufania i zrozumienia tak istotnego i ważnego w późniejszych relacjach między księżmi pracującymi w różnych parafiach.

Wszyscy po usłyszeniu wiadomości o zmianie przełożonych dobrze już wiedzieli, że nadchodzi trudne i niełatwe czasy. To przekonanie zostało wzmocnione, gdy dowiedzieliśmy się kim będą nasi nowi opiekunowie. Intuicja nas nie zawiodła. Bardzo szybko się okazało, że nie mają oni wiele do powiedzenia. Stali się po prostu biernymi wykonawcami woli rektora.

Nasz nowy pan i władca, często grymasem swojej twarzy i panicznym lękiem w oczach, zdradzał przed nami swoje wewnętrzne odczucia.

Jednym z nielicznych ludzi, który krytycznym wzrokiem na to wszystko spoglądał, był mój spowiednik, a wcześniej ojciec duchowy. Był to człowiek o szerokich horyzontach myślowych. Kleryk mógł znaleźć u niego nie tylko pociechę duchową, lecz także poradę na temat tego jak wbić gwóźdź w ścianę. Miał pod ręką nie tylko dobrą literaturę ascetyczną, ale także zestaw różnych narzędzi, którymi chętnie się dzielił, gdy zaszła taka potrzeba. Po latach dowiedziałem się, że był kapłanem w Powstaniu Warszawskim. Był dla mnie zawsze wzorem prawdziwego księdza, który nie poddaje się losowi. Raz jedynie widziałem go pogrążonego w smutku, gdy pojechałem do niego w odwiedziny na Wybrzeże. Idąc brzegiem morza, pokazał mi swój dom, gdzie sam mieszkał i powiedział dziwne dla mnie wówczas słowa:

- Patrz, jak wygląda zesłanie księdza za nieprawomyślność.

Dopiero po jakimś czasie ktoś mi powiedział, iż został tam przeniesiony za swoje poglądy. Cenię tego człowieka również za to, że problemy kleryka traktował bardzo poważnie. Kiedy zaszła potrzeba, potrafił załatwić mi świetnego psychologa, gdy poważnie zapadłem na zdrowiu z powodu nadmiaru nauki, jaki miałem na trzecim roku studiów. Miał

wtedy do Krakowa przyjechać papież. Skrócono maksymalnie sesję. W ciągu paru tygodni musiałem zaliczyć i zdać kilkanaście przedmiotów. Oczywiście przypłaciłem to rozstrojem nerwowym, lecz kogo to wówczas obchodziło z tzw. góry. Kleryk się nie liczył, było ważne natomiast, aby na wizytę papieża sesja była zakończona. Po tym absurdalnym zrywie intelektualnym miałem wszystkiego dość. Być może wówczas machnąłbym ręką na to niedorzeczne środowisko, jakim jest bez wątpienia seminarium, lecz trudno już było się z tego wycofać. Po za tym, po stanie wojennym komunizm pienił się w całej pełni. W domu na pomoc specjalnie nie miałem co liczyć i dlatego zostałem, choć wówczas chciałem odejść czując podświadomie, co mnie może spotkać w przyszłości.

Lata po tym wydarzeniu wypełnione były nauką, pracą i modlitwą. W tym czasie powstawał na terenie seminarium duży obiekt - biblioteka. Sporo czasu spędziłem ze swoimi kolegami przy jej budowie. Tak naprawdę nie było możliwości wykręcenia się od pracy. Było to traktowane jako przejaw niesubordynacji. Tak stało się z pewnym kolegą z mojego rocznika, gdy próbował komentować sposób, w jaki przełożeni traktowali kleryków, pracujących przy budowie biblioteki. Był to mądry człowiek po wyższych studiach. Widział

ewidentne wykorzystywanie kleryków do ciężkiej pracy. Za swoje poglądy musiał opuścić seminarium, mimo świetnych wyników w nauce. Przy pracy na budowie nabawiłem się dyskopatią. Szczególnie teraz jest to dla mnie bardzo dokuczliwe, gdyż bóle kręgosłupa są czasami dotkliwe.

Przy okazji tej historii chciałbym wspomnieć o pewnym humorystycznym zdarzeniu.

Otóż, gdy kończono w stanie surowym budowę wielkiej auli, wielu seminarzystów wykorzystywało ją w czasie pracy do gry w piłkę. Jeden ze studentów stał na czatach, reszta zaś szalała w auli kopiąc zawzięcie piłkę. Gdy na horyzoncie pojawiał się któryś z przełożonych, natychmiast wszyscy wracali do pracy.

Opisana historia może wskazywać na całkowite poddaństwo młodych ludzi woli przełożonych. Jednak do końca to nie jest prawdą. Potrafiliśmy bronić swoich racji w różny sposób, choć w ostatecznej rozgrywce mogliśmy ponieść absolutną klęskę, zakończoną wydaleniem z seminarium. Słynny swego czasu był milczący protest kleryków przeciw bezprawnej decyzji rektora, który anulował ustalenia poprzednich przełożonych. Chodziło o niedzielne wyjście do miasta...

Protest przybrał bardzo radykalną formę. Klerycy w czasie każdego posiłku milczeli.

Przełożeni byli tym faktem bardzo zaniepokojeni. W niedługim czasie zostaliśmy wezwani na tzw. dywanik. Każdy szedł na indywidualną rozmowę do rektora, który zadając podchwytliwe pytania, próbował się dowiedzieć - kto jest prowodyrem tego protestu. Jego wysiłki spełzły na niczym. Nasz protest przyniósł konkretne korzyści, gdyż niedzielna przechadzka pozostała.

Czasami zastanawiałem się, dlaczego tak bardzo starano się ograniczać naszą wolność.

Dopiero po latach z ust jednego z księży dowiedziałem się, że było to podyktowane „troską” o nasze powołanie. Teraz widzę owoce tej niemądrej polityki. Chciano nas wychowywać pod ścisłą kontrolą. Taki system jednak na dłuższą metę okazuje się bardzo szkodliwy, gdyż młody człowiek i tak będzie szukał możliwości obejścia niezrozumiałych dla niego nakazów (co staje się źródłem demoralizacji) i przyjęcia podwójnego sposobu życia. Odpowiedzialność za siebie i innych musi być związana z zaufaniem, a tego w seminarium było brak. Trochę to przypominało poprzednią epokę polityczną w Polsce, gdy komuniści byli u władzy.

Taka postawa przełożonych wobec kleryków spowodowała w konsekwencji powstanie

„społecznego podziemia braci kleryckiej”. Polegało to na tym, że często po ogłoszeniu obowiązkowej ciszy organizowano życie towarzyskie, zakrapiane niejednokrotnie alkoholem.

W seminarium aktywnie działały „meliny”. Tam można było się zaopatrzyć w alkohol, nie wychodząc do miasta. Te informacje były jednak dostępne tylko dla zaufanych, gdyż wśród kleryków było trochę kapusiów. Niektórych zaś próbowano wręcz kaptować do współpracy, oferując różne przywileje oraz ogromne - jak na owe czasy - sumy pieniędzy. Znam przypadek, gdy młodemu człowiekowi jeden z profesorów oferował kilkaset dolarów w zamian za współpracę przy donoszeniu na kolegów. O tych wszystkich faktach dowiedziałem się stosunkowo niedawno. Mogą one budzić zdziwienie i zażenowanie u przeciętnego człowieka.

Innym bulwersującym zdarzeniem była próba uwiedzenia kilku kleryków przez jednego z księży profesorów. Stało się to w czasie, gdy ksiądz był złożony chorobą i chciał, aby ktoś z kleryków stale przy nim czuwał. By ułatwić sobie całą sprawę, częstował młodych ludzi alkoholem. Afera zakończyła się w przykry sposób dla alumnów chodzących do tego kapłana. Kiedy jeden z nich zwrócił się do rektora ze skargą, że - był napastowany seksualnie, został nazwany „niemoralnym człowiekiem” za... oskarżenia wysuwane pod adresem tego księdza. Z tego powodu - w okresie późniejszym - miał spore kłopoty z otrzymaniem święceń. Wszyscy, łącznie z wychowawcami wiedzieli, iż ksiądz profesor miał skłonności homoseksualne, lecz przez długi okres nikt z przełożonych nie podejmował żadnej konkretnej decyzji w tej sprawie. Ja sam w seminarium raz byłem napastowany przez człowieka, który miał podejrzaną inklinację. Przytulał się do mnie, łapał

mnie w swoje ohydne łapska. Nie potrafiłem się wyrwać z jego uścisków, gdyż był bardzo silny. Mogło to uchodzić za żart, lecz po latach wiem, że była to z jego strony wyuzdana propozycja podjęcia współżycia.

Uratowałam siebie głośnym okrzykiem, który przestraszył amatora homoseksualnych przygód. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy ze skali tego zjawiska wśród księży.

Natomiast mój znajomy przeżył parę lat później równie drastyczną przygodę. W

czasach, gdy był jeszcze klerykiem, zaprosił na wakacyjny wypoczynek do swego rodzinnego domu księdza jednej z zakonnych parafii z grupą ministrantów. Jakże musiał być przerażony, gdy jego ojciec z rozpaczą opowiedział mu, że nakrył duchownego gościa z ministrantem w łóżku. Ksiądz musiał natychmiast opuścić przyjazny dom. Z tej sprawy również nie wyciągnięto żadnych konsekwencji. Kiedyś ze słyszenia dowiedziałem się o historii, która może uchodzić wręcz za horror.

Miało to miejsce wiele lat temu, dlatego zbyt nie pamiętam szczegółów i okoliczności sprawy. Chodziło o morderstwo dokonane na księdzu homoseksualiście, pracującym w diecezji łódzkiej lub poznańskiej. Po zgwałceniu paroletniego chłopca, jego najbliżsi zaprzysięgli pederastie krwawą zemstę. Najpierw zabili kapłana, a później rozebrali go do naga. Przyrodzenie owinęli różańcem. Sprawę zręcznie zatuszowano.

Niedawno lodowatym echem odbiła się w kręgach pewnego zgromadzenia zakonnego sprawa jednego z proboszczów zakonnych, pracującego w Bydgoszczy, w diecezji chełmińskiej. Według relacji naocznych świadków, zapraszał on do siebie młodych chłopców w wiadomych celach. Sami księża pracujący na parafii odkryli przez przypadek, że proboszcz ogląda kasety porno o homoseksualnej treści. Sprawa nabrała na tyle rozgłosu, że ksiądz ten musiał odejść z zakonu. Został jednak diecezjalnym kapłanem i osiadł w diecezji gnieźnieńskiej, bez - wymaganego Prawem Kanonicznym - czasu próby. Podobno całą sprawę załatwił w tempie ekspresowym sam abp Muszyński. Cóż - im więcej księży, tym bogatszy biskup.

Aby zakończyć ten smutny wykaz spraw związanych z homoseksualizmem wśród kleryków i księży, chciałbym podać jeszcze jedną historię. Pewnego razu na biurko rektora jednego z seminariów duchownych w Polsce trafiła gazeta o treści pornograficznej. Jakie było zdziwienie prefekta studiów, gdy na jednym ze zdjęć rozpoznał swojego wychowanka, studenta czwartego roku. Przesłanie pisma było aż nadto wyraźne. Była to gazeta adresowana do homoseksualistów. Gdy profesor udał się z tą sprawą do biskupa, ten cały skandal szybko wyciszył. Z niewiadomego źródła nastąpił jednak przeciek do braci seminaryjnej.

Ewidentnym tego znakiem były słowa wypisane na jednej ze ścian uczelni:

„Nie chcemy uczyć się z pedałami!” Całą sprawę również zatuszowano.

Dzisiaj, po latach czas zaciera szczegóły i fakty. Nie miałem zwyczaju robić z tych wszystkich opisów notatek, które lepiej by uwiarygodniły opisane historie. Zaręczam jednak, iż tak było naprawdę, choć wydawać by się mogło to czymś nieprawdopodobnym.

Mimo negatywnych przeżyć dotrwałem do końca seminarium. Na równi z innymi starałem się czymś zająć. Dużo mi dał w tym względzie Kraków. Nie chodzi wyłącznie o sprawy duchowe. Miasto to ma swój szczególny urok. Ma wiele zabytków, liczne galerie sztuki, wspaniałe miejsca rekreacyjne, dużo sklepów, dobrze wyposażone biblioteki.

Odwiedzałem te miejsca z wypiekami na twarzy, chłonąc to wszystko z największym przejęciem i zaangażowaniem. Były to dla mnie chwile wolności, które starałem się maksymalnie wykorzystać. Powrót do seminarium traktowałem jako zło konieczne i znowu czekałem kiedy pójdę ulicami Krakowa na spotkanie kolejnej przygody intelektualnej i duchowej. Szczególnie w mojej pamięci wyrył się mały kościółek Sióstr Felicjanek przy ulicy Smoleńsk. Jest tam stale wystawiony Najświętszy Sakrament. W kościółku czułem się odprężony i wolny. Natomiast nabożeństwa w seminarium były nacechowane ciągłą nerwowością. Wiedzieliśmy o czujnych spojrzeniach przełożonych, spoglądających na nas z balkonu seminaryjnej kaplicy. Podobnie było z mszą św. Lubilem więc wyjścia na nabożeństwa organizowane przy różnych okazjach w kościołach Krakowa. Niezapomnianym zaś przeżyciem na rozpoczęcie roku akademickiego było nabożeństwo Drogi Krzyżowej w Kalwarii Zebrzydowskiej na początku października. Zjeżdżali się do tej miejscowości w tym dniu klerycy ze wszystkich krakowskich seminariów. Widząc tak wielu współbraci studentów, nabierałem zapału, by trwać do końca w powołaniu. Były to jednak porywy młodzieńczego serca, zbyt słabe, aby poradzić sobie w przyszłości w kapłańskim życiu.

Seminarium nie jest więc instytucją - na obecnym etapie rozwoju - zdolną ukształtować dojrzałego kapłana szczególnie w sytuacji, gdy ktoś jest wrażliwym człowiekiem. Jedyne ci, którzy nie poddają się losowi, mogą wyjść z niego obronną ręką bez uszczerbku na swoim człowieczeństwie. Usłyszałem kiedyś okrutne zdanie z ust pewnego kapłana, powalające wręcz z nóg:

- Ci, którzy nie przetrwają próby czasu, muszą wypaść z obiegu, po prostu muszą zginąć. Przetrwają jedynie najsilniejsi.

Zastanowiło mnie to zdanie. Nie wiem, co o nim myśleć w kontekście nauki Chrystusa. Graniczy ono bowiem z deklaracją niewiary a Boga ustawia w roli dziwnego obserwatora, pozwalającego na niszczenie życia bezbronnych, w imię niewiadomych dogmatów. I choć koncentruję się w obecnej chwili na życiu ludzi poświęconych Bogu, mogę ten wniosek rozciągnąć na wszystkich wierzących i niewierzących. Miotając się w tej paradoksalnej sytuacji łatwo jest stracić wiarę. Małą pociechą jest stwierdzenie, że Bóg „za dobre wynagradza, a za złe karze”. Czy życie człowieka na ziemi jest tylko wielkim eksperymentem Boga? Na czym polega w końcu zbawienie człowieka, jeżeli świat i ludzi tak trudno jest „naprawić”? Na czym końcu ma polegać głoszenie Ewangelii, gdy brakuje sił do przetrwania kryzysów, zwątpień i załamań?

Sześcioletni okres seminarium dobiegł końca. Wydawało mi się wówczas, że moje problemy się skończyły i zaczyna się dla mnie czas spokojnej działalności duszpasterskiej.

Same święcenia to wielki religijny festyn. Uroczysta oprawa, podniosłe przemowy, dymy kadzideł i łyzy najbliższych. To naprawdę działa na młodego człowieka. Wydaje się mu, że oto przed nim leży nieurodzajna rola serc ludzkich, którą on będzie uprawiał z woli Chrystusa. Nie zdaje sobie jednak sprawy, iż rzeczywistość jest zupełnie inna.

Po okresie wyjazdów na tzw. prymicje do rodzinnej zaprzyjaźnionej parafii, otrzymuje się dekret od przełożonego. Mnie skierowano do jednego z dużych miast na południu Polski, do Tarnowa. Dotarłem tam z pewnym opóźnieniem, z powodu choroby, której się nabawiłem po święceniach. Byłem naiwny sądząc, że dostałem się ekskluzywnego ośrodka duszpasterskiego. Pierwsze wątpliwości zasiał mi w sercu odchodzący z parafii ks.

Roman. Powiedział ze smutkiem w głosie, abym nie cieszył się na zapas - gdy wypowiadałem pełne nadziei i entuzjazmu słowa na temat mojej przyszłej pracy w parafii. Przestrzegł mnie przed proboszczem Edmundem Karukiem mówiąc, że jest taranem. Jak się okazało, miał

rację. Nie przejąłem się specjalnie tą wypowiedzią. Na parafii było paru moich kolegów z seminarium. Sądziłem, że jakoś uda mi się urządzić w tym miejscu.

Zaledwie parę dni później zostałem zrugany przez proboszcza za to, że kontaktuję się z młodymi dziewczynami, które pomagały mi przy dekorowaniu domu parafialnego przed uroczystością Bożego Ciała. Choć nie miałem złych intencji w stosunku do tych młodych osób, zostało to odebrane jako chęć nawiązania z nimi zbyt zażyłych stosunków personalnych, najpewniej o podłożu seksualnym. Koledzy pocieszali mnie jak mogli, lecz nie mogło to stłumić żalu z powodu tak bezpodstawnego posądzenia. Poza tym przekonałem się, że tak naprawdę mogę liczyć wyłącznie na własne siły. Znajomi księży mieli swoje życie i mimo iż w nim uczestniczyłem - gdy razem z nimi odwiedzałem ich przyjaciół - tak naprawdę czułem się piątym kołem u wozu. Starsi księży pracujący w parafii - jako przyjaciele i powiernicy nie wchodzili w rachubę, gdyż w imię wyższej racji byli związani z proboszczem.

Trzeba było uważać na to, co się przy nich mówiło, bowiem szybko donosili o tym szefowi.

W parafii mieszkał też pewien brat zakonny Jozafat. Pracował w zakrystii kościoła.

Ogólnie był człowiekiem dobrym, choć swoje obowiązki wypełniał z właściwą sobie flegmą, co irytowało często proboszcza. Lubiałem jednak z nim rozmawiać na różne tematy. W moim odczuciu posiadał sporą wiedzę życiową. Nie było też dla mnie przeszkodą, aby traktować go na równej stopie, choć był jedynie bratem zakonnym, a ja księdzem. Nie wiedziałem, że rok później nasze drogi się rozejdą.

Żadne znaki na niebie i ziemi nie wskazywały na gromadzące się chmury nad głową biednego brata Jozafata. Przyszedł jednak taki dzień, który trwale wpisał się w moją pamięć.

Gdy staję czasami przy jego grobie uświadamiam sobie, jak często okrutne jest życie w stosunku do tych najbiedniejszych i najsłabszych. Ten cichy, wrażliwy człowiek został

potraktowany jak najgorszy zbrodniarz i bandyta. Z błahej przyczyny proboszcz pobił go dotkliwie w zakrystii, w obecności znajdujących się tam ministrantów. Następnie włókł go do pokoju za poły sutanny, na oczach przerażonych młodych ludzi. Jednak przełożeni w ostateczności uznali argumentację szefa. Nikt nie chciał nawet wysłuchać tego, co miał do powiedzenia brat Jozafat. Musiał się więc szybko spakować i wyjechać do Krakowa. Jednak nastął smutny dzień pożegnań, razem z kolegami poszliśmy do niego w odwiedzinę. Serce się krajało, gdy patrzyliśmy na tę

splakana twarz starszego człowieka. Grozy dopełniał fakt, że brat leczył się od dłuższego czasu na serce. I dlatego można domniemywać, że jego przedwczesna śmierć na stole operacyjnym dwa lata później była związana z opisaną powyżej historią. Miałem sposobność spotkać go przed samą śmiercią. Był zupełnie niepodobny do siebie - kompletnie siwy, starszy o co najmniej 20 lat.

Opisana powyżej historia nie jest jedynym mocnym akcentem w życiu proboszcza -

tyrana. Momentów o podobnym wydźwięku było dużo więcej. Jeden z jego księży został

usunięty z parafii za odmowę udostępnienia swojego telewizora do oglądania filmów wideo.

W tym okresie był to jedyny telewizor na plebanii, który posiadał wbudowany system PAL, pozwalający na odtwarzanie z magnetowidu filmów w kolorze. Co wieczór, po wszystkich obowiązkach duszpasterskich oglądaliśmy różne pirackie kopie filmów udostępnianych przez życzliwych parafian. Prawdziwy szal zaczął się, gdy na jednej z kaset w tzw. dogrywce, znalazł się film pornograficzny. Od tego czasu proboszcz z lubością polował na takie smakowite „kaski”. Jednak pewnego dnia ksiądz Marek - właściciel odbiornika - dał odczuć proboszczowi, że ma dość wieczornych posiedzeń i chciałby mieć chwilę dla siebie, we własnym mieszkaniu. Było to zrozumiałe, lecz proboszcz potraktował jego zachowanie jak afront. Od tego czasu stosunki między wikariuszem a proboszczem uległy wyraźnemu ochłodzeniu. Ksiądz Marek był człowiekiem odważnym i wiele razy dawał wyraz swym krytycznym poglądom wobec postawy proboszcza. Tyczyło się to również innego księdza, który mówił otwarcie w sposób niedwuznaczny o postępowaniu szefa. W odwecie musieli następnego roku spakować manatki i przenieść się na nowe miejsce pracy duszpasterskiej.

Dzień ich wyjazdu był nacechowany napiętą atmosferą panującą na plebanii. Przez cały dzień proboszcz nie wychodził ze swego pokoju. Za drzwiami było słychać głośną muzykę, świadczącą o obecności lokatora. Księża, pragnąc zachować dobre maniery, chcieli się pożegnać ze swoim przełożonym. Spotkał ich jednak srogi zawód. Drzwi nikt im nie otworzył.

W krótkim czasie potem proboszcz wyasygnował z parafialnej kasy pieniądze na zakup odpowiedniego sprzętu. W domu zakonnym pojawił się nowoczesny telewizor marki Sony i polski kolorowy Neptun. Ten pierwszy miał być przeznaczony do księżowskiej salki, lecz dziwną koleją losu trafił on do pokoju jednego z księży zaprzyjaźnionego z szefem.

Również tam został przeniesiony magnetowid kupiony rok wcześniej. Pokój tego księdza nieformalnie stał się salką dla księży pragnących obejrzeć jakiś film wideo lub pooglądać telewizor. Ten o gorszych parametrach trafił do ogólnodostępnej salki dla księży. Neptun był

wykorzystywany nie tylko przez nas. Czasami braliśmy go do sali parafialnej, aby spragnionym ludziom puszczać zdobyte z wielkim trudem kopie religijnych filmów. Pomysł

noszenia telewizora i magnetowidu do salki, z różnych względów, był bardzo niewygodny.

Postanowiliśmy więc z kolegą całą sprawę zrationalizować. Kupiliśmy kilkadziesiąt metrów kabla koncentrycznego i - odpowiednio montując go na zewnątrz budynku - połączyliśmy w ten sposób

magnetowid w pokoju wspomnianego księdza z telewizorem w sali parafialnej.

Oszczędzało to czas na przeniesienie i montaż sprzętu.

Mój kolega, z którym zajmowaliśmy się parafialnym kinem, szybko zorientował się, że sprzęt wideo służy pewnej grupie nie tylko do zbożnych celów. Często bowiem w nocy słyszał dochodzące zza ściany postękiwania i sapania zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

Postanowił to sprawdzić. Zmyślnym sposobem podłączył dodatkowym kablem magnetowid, będący pod „osobistą” opieką przyjaciela proboszcza, z telewizorem w swoim pokoju. I od razu stało się jasne, co kryje się za nocnymi odgłosami płynącymi zza ściany. Proboszcz i jego koledzy oglądali po prostu zwyczajną pornografię. Kolega, upewniwszy się co się święci, wpadł do mego pokoju mówiąc półgłosem:

- Przyjdź do mnie, a zobaczysz coś ciekawego.

Było to dla mnie szokujące odkrycie. Obraz na ekranie telewizora nie pozostawiał

złudzeń, jakie filmy oglądają siedzący za ścianą ludzie. Widziałem na własne oczy, jak człowiek za ścianą manipulował pilotem magnetowidu - zwalniając, przyspieszając lub cofając płynące przez telewizyjny ekran obrazy.

Rok później problem oglądania pornografii zszedł na plan dalszy. Proboszcz kupił

sobie za nie znane nam fundusze sprzęt marki Panasonic. Od tej pory mógł swobodnie oglądać dowolne filmy w swoim apartamencie, bez ingerencji osób postronnych. Raz zdarzyło mi się interweniować w kłopotliwej dla niego sytuacji, gdy zakleszczyła mu się kasetka w magnetowidzie. Zgadnijcie, co to było? Oczywiście pornografia! Takie doświadczenia pozostawiają głęboki uraz psychiczny i podważają sens tak przyjętego stylu życia w kapłaństwie, tym bardziej że człowiek ten w środowisku parafii i całego miasta uchodził za gorącego patriotę i orędownika uwolnienia Polski spod jarzma komunizmu. Na jego kazania przychodziły rzesze ludzi. Nikt nie przypuszczał nawet, kim w rzeczywistości był ten człowiek. Organizowane przez niego festyny religijne na masową skalę, jak: pielgrzymki, nabożeństwa różańcowe i msze św. za Ojczyznę, mogły budzić podziw, lecz przecież w tym wszystkim nie chodziło tylko o zewnętrzny blichtr. Ludzie świeccy wyrażali tak swoją wiarę w Boga.

Dodatkowo gorzki zdawał się być fakt, iż proboszcz był zupełnie kimś innym na zewnątrz dla ludzi, a kimś innym dla swoich współpracowników kapłanów. Zdarzały się oczywiście chwile, gdy wydawało się, że można z nim żyć. Jednak gdy wpadał w szal -

można było stracić resztki złudzeń co do jego osoby. Bo jak nazwać zmuszanie księży do bardzo wczesnego wstawania na modlitwy, gdy następnie w godzinach popołudniowych on to wszystko odsypiał, a inni pracowali. Jak nazwać jego wręcz chorobliwą chęć kontrolowania księży we wszystkim? Zdobył się nawet na to, że zamykał o 22.00 drzwi na klucz, dając w ten sposób do zrozumienia wszystkim niesubordynowanym wracającym później, że on jest tutaj panem i rządcą. Czy w tym wszystkim była obecna troska o człowieka? Chyba taki wniosek graniczyłby z gorzką ironią.

Były momenty, gdy zastając drzwi zamknięte, musiałem wspinać się jak kot po piorunochronie, aby z poziomu pierwszego piętra dostać się na plebanię. Innym razem przekradaliśmy się na czworakach pod oszklonymi drzwiami przy kancelarii parafialnej, by przypadkiem nie zauważył nas szef, przechodzący w tej właśnie chwili.

Pikanterii temu wszystkiemu dodaje fakt, iż chodziło przecież o ludzi mających po dwadzieścia kilka lat i więcej. W końcu zmęczyło nas to bawienie się w kotka i myszkę z księżowskim despotą; postanowiliśmy dorobić klucz do drzwi wejściowych. Z tym kluczem to była cała historia. Kolega przygotował specjalną ślusarską plastelinę. Ja miałem kontakt ze świetnym fachowcem. Wkrótce wszystkie zainteresowane osoby miały w swoim posiadaniu ten cenny, mały przedmiot, będący drogą do wolności... W jakiś czas potem proboszcz doszedł widocznie do wniosku, że całą kampanię przegrał i - aby zachować fason - każdemu z nas ofiarował klucz, choć i tak był on nam już niepotrzebny.

Podczas pracy w parafii osobnym tematem były pieniądze. Wszyscy wiedzą o finansowej roli różnorodnych składek, „dobrowolnych” ofiar przeznaczanych przez wiernych na utrzymanie kościoła. Pieniądze pochodziły z różnych źródeł. Przede wszystkim była to niedzielna taca; ofiary za pogrzeby, chrzty, śluby itp. Liczeniem tych sum zajmowali się zaufani ludzie. To oni dokładnie wiedzieli, jaki jest aktualny stan kasy domu. Większość wiernych nie wie zbyt dobrze na co idą ich pieniądze dawane na Kościół. W przypadku zgromadzeń zakonnych, pokrótce można to podzielić tak:

- podatek na kurię diecezjalną,
- podatek na rzecz zakonu,
- remonty, inwestycje,
- wydatki okolicznościowe, np. na misje itp.,
- wydatki na utrzymanie domu, personelu i księży,
- inne.

Parafia była odwiedzana przez wielu ludzi, więc pieniędzy było sporo. Mógł więc proboszcz pozwolić sobie na różne ekstrawagancje, z których nikt go nie rozliczał. Słynne w pewnym momencie stały się jego wyjazdy do różnych odległych miejscowości. Korzystał

wówczas z usług zaprzyjaźnionego taksówkarza. Tych wyjazdów było tak wiele, iż po niedługim czasie „taryfiarz” mógł sobie pozwolić na zamianę starego poloneza na lepsze, zachodnie auto. Będąc już przy sprawach finansowych, które z pewnością wszystkich zaciekawia, muszę zdecydowanie stwierdzić, że korzyści z tych pieniędzy miała zaledwie nieliczna grupa księży. Przeciętny ksiądz dostawał stosunkowo skromną pensję, podzieloną na przedziwne raty. Wszyscy zakonnicy mieli oprócz tego zapewnione pełne utrzymanie.

Nikomu nie brakowało środków do życia, ale np. w porównaniu z klerem diecezjalnym - nie była to wielka kariera. Na porządku dziennym było więc dorabianie. Tutaj już obowiązywała pewna

ostrożność - można było stracić zarobione „na lewo” pieniądze, gdy zbyt pochopnie się o tym powiedziało przełożonym. Trochę to przypomina państwowego fiskusa, który czyha jak żarłoczny wilk, aby wydrzeć człowiekowi jego dodatkowy dochód w postaci wygórowanych podatków. W jednej i drugiej sytuacji nazywa się to racją stanu. Podobno dla wyższego celu. Nigdy więc nie mogłem zrozumieć, na jakiej zasadzie można zdobyć pieniądze na ekskluzywne życie niektórych księży z mojego zakonu, mimo ślubowanego ubóstwa.

Przed kilkoma laty tajemnicą poliszynela była afera finansowa paru księży i kleryków, grających w jednym z kasyn hazardowych w Polsce. Obracane wówczas przez nich sumy pieniędzy mogły zawrócić w głowie. Chodziło o dziesiątki tysięcy dolarów. Słyszałem też z dobrze poinformowanych źródeł o księdzu miliarderze - prowadzącym hurtownię alkoholu w miejscowości odległej kilkanaście kilometrów od parafii, w której był proboszczem. Ludzie tam mieszkający rozpoznali go. On jednak tym faktem wcale się nie przejął. Kiedy indziej wykryto obrotnego księdza - biznesmena, mającego własną drukarnię w jednym z miast w południowej Polsce. Inny duchowny miał podobno udziały w agencji towarzyskiej prowadzonej przez własnego brata. Najbardziej jednak wstrząsającym dla mnie od - kryciem była zasłyszana przypadkiem wypowiedź pewnego księdza, który spokojnym tonem stwierdził, że - dla niego pieniądze zaczynają się od stu tysięcy dolarów w górę. Styl życia, jaki prowadzi ten „ubogi” zakonnik, mógł w zupełności potwierdzać takie stwierdzenie.

Zaznaczam, iż opisuję tu kapłanów należących do mojego Zgromadzenia zakonnego, którego pierwszorzędnym celem jest - niesienie pomocy potrzebującym, a jednym z trzech ślubów -

ubóstwo...

Czytelnik może się oburzać na takie przykłady łamania ślubów zakonnych, lecz powiedzmy sobie szczerze, że dopóki nie nastaną w Polsce instytucje podobne do tych, jakie działają na zachodzie Europy, nic w tej sprawie się nie zmieni. Z pewnością skończą się wówczas te skandaliczne akty gromadzenia środków materialnych w rękach niewielu ludzi Kościół deklaruje swój pozytywny stosunek do oficjalnego ubóstwa kapłanów, lecz w praktyce toleruje nadużycia w kwestii finansowej. Właściwie nie ma cennika na usługi kościelne. Każdy proboszcz ustala sobie stawki jak chce. Szczególnie gdy mieszka sam na niedużej parafii, może sobie pozwolić na oskubywanie swoich owiec pod łada pretekstem.

Zazwyczaj proboszczowie wprost żądają określonych kwot za chrzty, śluby i pogrzeby.

I tak na przykład w jednej z krakowskich parafii stawka za ślub wynosi od 300 zł w górę. Tę kwotę pobiera się w kancelarii parafialnej; dodatkowo organista bierze 200 zł.

Zresztą jest to jedna z niższych stawek za tę kościelną uroczystość. W większości wypadków bierze się dużo większe pieniądze. Podobnie jest z pogrzebem. Za godzinne nabożeństwo połączone z odprowadzeniem zmarłego na cmentarz pobiera się kwoty od 500 zł w górę. Tak samo jest z chrztami Pierwszymi Komuniami św. etc. etc. Tylko nieliczni księża mówią „co łaska”, ale i ci dopowiadają zwykle... „najczęściej dają.....” - tu pada z reguły jakaś wygórowana stawka. Podobno nawet lepiej się to opłaci.

Właściwie każda działalność Kościoła wiąże się z jakimiś datkami i ofiarami. Nic nie ma za darmo. Księżcy pracujących społecznie już się nie spotyka. Większość przerzuciła się na profesjonalny biznes w świadczeniu usług kościelnych. Może w tym względzie Kościół

porównać się z obecną ekipą rządową, która deklarując swój prawicowy i chrześcijański charakter, łupi ludzi na różne sposoby - przez system jawnych i ukrytych podatków.

Podejrzewam więc, że wobec szumnych deklaracji ze strony kleru o konieczności uregulowania powyższych spraw, długo będą one poza wszelką kontrolą. Sprawy zaś wstydlive będzie się dalej sprytnie ukrywać lub tuszować.

Parę lat temu głośną była sprawa morderstwa księdza zajmującego się Caritasem krakowskim. Został on nie tylko brutalnie zamordowany, ale i okradziony. Sprawę zręcznie zatuszowano. Historia miała przy całej swej tragedii wstydlivy posmak. Wysłano hipotezę co do postępowania tego księdza w stosunku do swojego kierowcy. Miał ich łączyć romans o podłożu seksualnym, skarżonemu kierowcy wytoczono proces i skazano na więzienie.

Zwykłym ludziom to nie wystarczyło i w przypadkowy sposób odkryto istnienie powiązań finansowych tego księdza ze swoją rodziną. W ubogiej wiosce Zator pod Wadowicami rodzina duchownego wybudowała luksusowy dom. Jest to najdroższy dom w okolicy. Ludzie ci - według relacji postronnych obserwatorów - nigdy nie uchodzili za zbyt bogatych. Stąd wniosek nasuwający się w oczywisty sposób o pochodzeniu środków na budowę tego domu.

Innym razem proboszcz jednej z olkuskich parafii wybudował dom dla swego syna.

Słyszałem też o wielu podobnych przypadkach.

Na rzecz pewnej fundacji kościelnej, zajmującej się działalnością charytatywną i opiekuńczą na terenie Krakowa, wpływają ogromne sumy pieniędzy z wynajmu budynków i nieruchomości, przeważnie na cele związane z działalnością gospodarczą. Nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby nie fakt, że do dnia dzisiejszego nie wszystkie sprawy związane z finansami fundacji są jasne i klarowne. Ksiądz pracujący tam na kierowniczym stanowisku jest prawdziwym rekinem finansjery. Co jakiś czas zmienia swój samochód na nowy, przebierając w najlepszych markach.

Przedstawione w sposób ogólny fakty wcale jednak nie dowodzą, że wszystkim księżom powodzi się bardzo dobrze w sferze finansowej. Spotkałem kiedyś diecezjalnego księdza pracującego na terenach zalanych dwa lata temu ogromną powodzią, o której było głośno w całej Polsce. Jego parafia została szczególnie dotknięta falami żywiołu. Wodzie nie oparły się również mury świątyni. Po ustąpieniu wody można było zobaczyć ogromnisze zniszczeń.

Brakowało wszystkiego, aby naprawić uszkodzone kościoły. Zwracając się o pomoc do kurii wrocławskiej został odprawiony z kwitkiem. Musiał sam organizować środki finansowe przez szukanie sponsorów, gdyż zubożali parafianie nie byli w stanie własnymi siłami przywrócić świątyni do normalnego użytku. Przez długi czas żył naprawdę skromnie.

Sam kiedyś prosiłem jednego z moich proboszczów o pomoc finansową na kolonie dla dzieci,

których rodzice nie byli w stanie zapłacić za wczasy swoich pociech. Szkoła, gdzie uczyłem przygotowała odpowiednią dokumentację, lecz obiecaną wcześniej pomocy nie otrzymałem. Nie podejrzewam, aby takiej parafii nie było stać na stosunkowo niewielką kwotę rzędu 2000 zł potrzebną do tego, aby dzieci mogły wyjechać. Z samej kolędy zbierano w tej parani kwotę zbliżoną do 100.000 zł (miliard st. zł - 1996 r.), nie mówiąc o innych dochodach parafialnych.

Informacje na temat finansów Kościoła są okryte głęboką tajemnicą. I choć niektórzy podejmują próby ujawnienia ogólnej sytuacji finansowej instytucji kościelnych (wypowiedzi niektórych postępowych biskupów polskich), spotyka się to z ostrym sprzeciwem samych księży. Poddanie się rygorom finansowym, obowiązujących wszystkich Polaków, z pewnością spowoduje znaczny spadek dochodów księży. Sumy obracane przez nich są w ogromnej większości nie opodatkowane i choć szumnie mówi się w mediach, że księża płacą podatki, to w rzeczywistości są to symboliczne sumy w stosunku do tego czym duchowni faktycznie obracają. Niejednokrotnie wystarczy przeprowadzić zwykłą ekonomiczną symulację kosztów utrzymania miesięcznej przeciętnej rodziny. Otrzymamy wówczas obraz materialnego posiadania Kościoła. Dotyczy to sporej grupy kapłanów. Za ilustrację tej refleksji niech posłuży wypowiedź pewnego człowieka na temat parafii na Salwatorze w Krakowie:

„Kiedy kończy się zwyczajowa kolęda w tej części Krakowa, wówczas księża zmieniają samochody”. Niby nic, a jednak daje do myślenia.

Gdy jesteśmy już w regionie krakowskim, to warto wspomnieć o pewnej „genialnej” inicjatywie pewnego duszpasterza, którego parafia znajduje się przy drodze z Krakowa do Olkusza. Zapragnął z okazji zbliżającej się wizyty papieża wybić okolicznościowy medal Postanowił więc opodatkować parafian akonto swojego pomysłu. Każdy parafianin - zarówno dziecko, jak i dorosły - miał złożyć dobrowolnie określoną ofiarę na ten „zbożny” cel. Łatwo wyliczyć, że kryje się za tym osobisty interes proboszcza. Po pierwsze, taki podarunek dla papieża może go trochę posunąć w hierarchii kościelnej, zyska uznanie w pewnych kręgach społecznych i sam na tym zarobi Takich inicjatyw jest ostatnio więcej, lecz i ludzie są coraz mniej w ciemną bici.

W Nowej Hucie, przemysłowej dzielnicy Krakowa, budowany jest nowy kościół. Z

okazji przyjazdu papieża proboszcz, pragnąc przyspieszyć budowę świątyni, postanowił

zebrać dodatkowe środki od parafian. Jakie było jego zdziwienie, gdy parafianie wręcz gremialnie złożyli w tej sprawie swój protest mówiąc, że obecny mały kościół im zupełnie wystarczy. Jest to prawda, która z trudem dociera do budowniczych w sutannach. Kiedyś, gdy był inny stosunek dolara do złotówki, dużo łatwiej było inwestować pieniądze w nowo budowane kościoły. Czasy się jednak zmieniły. I choć ofiarność ludzi na południu Polski jest jeszcze spora, to i tak budowa dużego obiektu sakralnego jest ogromnym wysiłkiem finansowym dla parafian. Myślę, że czas zmienić sposób podchodzenia do tego rodzaju ekstrawagancji budowlanych księży. Dzisiaj nie potrzeba tylu ogromnych sakralnych gmachów z betonu i stali Bardziej potrzebne jest budowanie żywego Kościoła opartego o żywych ludzi.

Megalomania niektórych księży i kościelnych architektów zostaje czasami srodze ukarana. Pod jednym z budowanych ogromnych kościołów na Podhalu zaczęła osuwać się ziemia. A to wszystko

przez proboszcza i usłużnego architekta, którzy projektując i budując kościół - kierowali się przede wszystkim własnymi ambicjami. Ta świątynia miała świadczyć o ich chwale i geniuszu konstrukcyjno - budowlanym. Może sami do końca nie zdawali sobie z tego faktu sprawy, lecz życie okazało się przykrym nauczycielem. Ratując świątynię przed zawaleniem, zastosowano nowoczesne technologie betonowania... góry od środka. Wedle nieoficjalnych doniesień cała operacja była niezwykle kosztowna. Pochłonęła około 1/3

kosztów budowy samego kościoła. Gdyby więc zdecydowano się na projekt bardziej lżejszy, oparty na tradycyjnych materiałach budowlanych stosowanych na Podhalu, do tragedii by nie doszło.

Przykładem przeinwestowania sakralnego w tym rejonie Polski jest samo Zakopane, które posiada wiele nowych, wybudowanych z wielkim rozmachem kościołów. Trudno tu uznać racje księży budujących te świątynie - niby dla ludzi. Nawet jeżeli przyjąć, że mają dobre intencje, to nie można zaakceptować z przymrużeniem oka ogromnych sum pieniędzy, wydawanych lekką ręką na te cele. Kiedy indziej, jeden z proboszczów w diecezji zielonogórskiej, aby podliznąć się ordynariuszowi diecezji i zyskać w jego oczach uznanie -

rozpoczął budowę domu parafialnego z przeznaczeniem na organizowanie konferencji i rekolekcji dla ludzi z terenu diecezji. Zdobył w tajemniczy sposób plany i na ich bazie rozpoczął budowę obiektu. Zrobiony niechlujnie fundament spowodował niszczenie i osiadanie budynku zanim jeszcze został wykończony. Tak naprawdę, do dnia dzisiejszego -

poza niewielkim fragmentem - nie nadaje się on faktycznie do użytku. Utopiono więc kolejne miliardy z powodu ludzkiej megalomanii. Z tą budową związana jest pewna humorystyczna historia, Otóż robotnicy budujący ten obiekt, zorientowali się, że coś jest nie tak z planami, gdy wylano beton w pomieszczeniu, które miało być przeznaczone na salę konferencyjną. Z

poziomu galerii wystawała w kierunku przyszłej auli duża płyta betonu. Budując wedle planów nikt na to wcześniej nie zwrócił uwagi. W konsekwencji to cudo okazało się elementem trampoliny, które montuje się zazwyczaj nad basenem. I sprawa wyszła na jaw.

Otóż plany zdobyte przez proboszcza pochodziły z budowy pewnej... willi w stylu szwedzkim z krytym basenem.

Takich przykładów można mnożyć bardzo wiele. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że ludzi marnotrawiących tak wielkie sumy pieniędzy nikt nie rozlicza. A przecież jest to po części grosz społeczny, często wyjmowany z kieszeni przez przeciętnego człowieka z ciężkim sercem.

Na koniec wspomnę o historii, którą zasłyszałem od pewnego zakonnika z Bydgoszczy. Pracuje on obecnie w największym kościele tego miasta, zwanym bazyliką.

Podobno jest to ogromna świątynia. Zaczęto ją budować przed wojną, na którąś z kolejnych rocznic powstania wspólnoty zakonnej. Budowa ciągnie się do dnia dzisiejszego. Jest to chyba najdłużej budowana świątynia w Polsce. Ile przy tym wydano pieniędzy, nikt nie wie.

Nie chodzi tutaj o krytykę księży tam pracujących, lecz o pomysłodawcę tego projektu, mającego tak

fantastyczny pomysł uświetnienia rocznicy powstania swojego zakonu.

Kończąc „budowlany” temat, ze smutkiem można stwierdzić, iż przy inwestycjach sakralnych nikt nie pyta ludzi o zgodę, czy im się coś podoba czy nie. Nowoczesność wprowadzana do architektury sakralnej nie wszystkim odpowiada. Zauważyłem, że ludzie pragnący w ciszy pomodlić się do Boga - wybierają często stare kościoły. Czul tutaj wielowiekową atmosferę modlitwy, pozwalającą na skupienie.

Wracając do mojej pracy na parafii, powrócę jeszcze do tematu stosunków panujących między przełożonymi i podwładnymi w zakonach. Do niedawna był to stosunek wręcz niewolniczy. Posłuszeństwo odgrywa w Kościele bardzo ważną rolę. Zwykły ksiądz, jeżeli pragnie się utrzymać się na swoim stanowisku, musi wykazać się co najmniej dobrą wolą w stosunku do przełożonych. Jeżeli staje się bardziej samodzielny, myśli perspektywicznie -

spotyka go za to upomnienie lub kara. Na swojej pierwszej parani spotkałem starszego ode mnie księdza, będącego przykładem autentycznego zaangażowania w sprawy parafialne.

Lubili go wszyscy, szczególnie młodzież. Z jego inicjatywy rozwinęła się przy kościele cała gama najróżnorodniejszych wspólnot duszpasterskich. Jest ewenementem, że sam jeden potrafił zorganizować w grupy formacyjne rzesze młodych ludzi. Mimo nawału obowiązków starał się przynajmniej raz w roku z każdym z osobna porozmawiać. Spotkało się to jednak ze sprzeciwem starszych księży i samego proboszcza. W moim odczuciu była to zwykła zazdrość, rodem z najniższych pobudek. Podłamany tym faktem ks. Jacek zapadł poważnie na zdrowiu. Widziałem, że dzieje się z nim coś niedobrego. Pewnego razu, gdy nie przyszedł na składkę niedzielą, zostałem wysłany przez proboszcza, abym sprawdził co się z nim dzieje.

Gdy wszedłem do pokoju, zobaczyłem go leżącego w łazience. Dowlokłem bezwładną postać do łóżka i przykryłem kocem. Długo nie mogłem go dobudzić. Był bardzo wyczerpany.

Spoglądał na mnie półprzytomnymi oczami. Ogarnęła mnie złość na proboszcza, za jego brutalny stosunek do tego księdza w ostatnim czasie. Pobiegnę do zakrystii. Proboszcz był

już w pogotowiu, aby wyładować swoją choleryczną złość na ks. Jacku. Zwróciłem mu uwagę w ostrych słowach (po raz pierwszy), że nie czas i miejsce na głupie przycinki, gdyż ks. Jacek jest poważnie chory. Jakoś dziwnie zamilkł, można rzec - przestraszył się. Na jakiś czas mieliśmy spokój, lecz okazało się, że nie na długo.

Te wszystkie sytuacje powodowały, że wpadałem w głębokie psychiczne dołki Centrala tymi wszystkimi sprawami specjalnie się nie interesowała. Co więcej, bardzo często stawiała po stronie krzywdzicieli Związane to było z przedziwnym układem władzy, jaki panował w moim zakonie między przełożonymi danych parafii i domów a prowincjałem.

Tutaj mała dygresja pozwalająca zrozumieć choć trochę hierarchię władzy w Kościele i zakonach. Prowincjałem nazywano człowieka, który był obierany na trzyletnią kadencję.

Podlegał on bezpośrednio generalnemu przełożonemu w Rzymie. Zakres władzy prowincjała

obejmował wszystkie osoby należące do tzw. prowincji narodowej czy regionalnej. Zdarza się bowiem, że na terenie danego kraju znajduje się więcej prowincji danego zakonu. Jego kompetencji podlegają też wszystkie dobra materialne zakonu w postaci budynków, kościołów itp. Musiał się on jednak liczyć ze zdaniem swoich popleczników, jeżeli chciał być wybrany na następną kadencję. Zgadzał się więc na różne mniejsze i większe nadużycia ze strony proboszczów i innych przełożonych, aby zachować swój elektorat Zwyczajny ksiądz mógł

zgłaszać swoje wnioski i postulaty, lecz jeżeli nie należał do tzw. układu władzy, z jego głosem specjalnie się nie liczone. Chyba najbardziej haniebnym procederem w tym wszystkim był tzw. targ o neoprezbiterów. Za dekret kierujący danego kapłana na tę lub inną parafię zainteresowany przełożony wpłacał określoną pulę pieniędzy. Czasami odbywały się wręcz licytacje. Wygrywał ten, kto dał więcej. Ja sam przez długie lata nie zdawałem sobie sprawy, że taki proceder był uprawiany. Powiedział mi o tym podczas koleżeńkiego spotkania kolega kursowy.

Ogólnie atmosfera na parafii była trudna do wytrzymania. Powoli dostawałem coraz więcej obowiązków, okresami bardzo wyczerpujących organizm, zwłaszcza system nerwowy.

Tymczasem proboszcz nie robił prawie nic. Nabawiłem się w końcu nerwicy lękowej.

Ubocznym efektem tej sytuacji były moje zepsute zęby. Nie wiedziałem bowiem, czy mam prawo żądać pieniędzy na lekarza. Jedynie przez krótki czas mogłem czuć się bezpieczny, gdy na parafii przebywał ks. Anzelm, człowiek starszy i poważany. Znał on życie od podszewki i spieszył mi z pomocą w trudnej dla mnie sytuacji. Proboszcz liczył się z jego zdaniem.

Zaowocowało to tym, że proboszcz przestał się mnie czepiać. Jednak i tak, gdy na początku lat dziewięćdziesiątych odchodziłem z parafii, byłem bardzo zmęczony i wyczerpany. Miałem nadzieję, że wszystko się zmieni na lepsze. I w tym wypadku się myliłem.

Dekret przełożonego kierował mnie do Krakowa. Z tego powodu ucieszyłem się bardzo. Kraków był dla mnie miastem szczególnym spośród wszystkich miast Polski Kochałem Wzgórze Wawelskie, Lasek Wolski z ukrytym w głębi Zoo. Trudno tu wymienić wszystkie miejsca tego miasta, będące dla mnie źródłem pozytywnych przeżyć i odpoczynku.

Ponadto to tętniące gwarem miasto było szansą zdobycia dodatkowej wiedzy. Nie przypuszczałem, że będzie mi ona przydatna z chwilą mego odejścia.

Gdy wyjeżdżałem z parafii deszcz lał niemiłosiernie. Mój dobytek wiozłem w wynajętej taksówce. Część rzeczy wcześniej wysłałem furgonem. Po przyjeździe na nową placówkę zostałem ulokowany w gościnnym pokoju. Miejsce mojego zamieszkania było w trakcie malowania. Przeprowadziłem się do niego parę dni później. Od razu wszedłem w wir nowych obowiązków. Zorientowałem się szybko w sytuacji panującej w parafii. Zapowiadało się nieźle. Miałem nadzieję, że moja dotychczasowe kłopoty się skończą. Czas pokazał jak bardzo się myliłem. Wakacje szybko przeleciały i rozpoczął się rok szkolny. Obowiązków miałem sporo, lecz miałem już pewne doświadczenie w pracy parafialnej. Proboszcz i moi koledzy wydawali się być przyjaźnie do mnie nastawieni Oprócz obowiązków duszpasterskich miałem trochę wolnego czasu dla siebie. Wykorzystywałem go na odnowienie swojej przyjaźni z murami starego grodu Kraka oraz odwiedzanie giełdy elektronicznej.

Pasjonowało mnie składanie różnych dziwnych urzędzeń, opartych na układach elektronicznych. Głębiej zainteresowałem się możliwościami wykorzystania informatyki w pracy parafialnej. Uskładałem więc trochę pieniędzy i - za poradą znajomych -

kupiłem pierwszy profesjonalny komputer. Moi koledzy, z proboszczem na czele, traktowali trochę moje zainteresowania jak dziecinadę, lecz tym w ogóle się nie przejmowałem. Pochłonał mnie świat informatycznej iluzji. Poznałem w tym czasie sporo osób zajmujących się tymi zagadnieniami. Z wieloma spośród nich nawiązałem więzy autentycznej przyjaźni. Szczególnie owocny był kontakt z panem Markiem. W tym czasie był on redaktorem jednego z czasopism informatycznych. Zorientowawszy się co do moich umiejętności, zaproponował

mi współpracę. To dzięki niemu nauczyłem się pisać artykuły popularnonaukowe do wydawanej przez niego gazety. Bawiło mnie to, dawało poczucie spokoju wewnętrznego i satysfakcji. W tym samym okresie poznałem młodego człowieka z giełdy elektronicznej.

Przyjaźń z nim i jego żoną przetrwała do dnia dzisiejszego. Pomagał mi w tym czasie w kompletowaniu dodatkowego sprzętu do bardziej efektywnej pracy. Zaczęłem pracować nad poznaniem arkanów grafiki poligraficznej i telewizyjnej. Inną osobą nie mniej dla mnie ważną był Piotr, pracujący na stanowisku dyrektora technicznego w jednej ze stacji naziemnych Polonia 1.

Dzięki tym i innym ludziom, jakby trochę zapomniałem o codziennych kłopotach życia w roli księdza na podmiejskiej parafii. Jednak chmury gromadziły się na horyzoncie mego życia w niezauważalny sposób. Po zmianie przełożonego domu, nowym proboszczem został ks. Jan. Był to człowiek mający duże doświadczenie życiowe i kapłańskie. Jednak miał

jedną wadę. Wiązał się tylko z nieliczną grupą osób hermetycznie odseparowanej od pozostałej reszty. W tym czasie przyszedł na parafię ks. Franciszek. Człowiek o dużej kulturze osobistej, wiedzy i pobożności. Nie wiedziałem, że miał jakieś dawne sprawy do załatwienia z obecnym proboszczem. Na tym tle doszło do poważnego konfliktu. Znowu byłem świadkiem dramatu człowieka. Ten doświadczony kapłan został potraktowany przez przełożonego jak zło konieczne. Ks. Franciszek czuł się coraz gorzej. Mówił często o swojej śmierci. Nie mieściło mi się w głowie, że znowu dochodzi do takich absurdalnych sytuacji.

Zaczęłem powątpiewać w zbożne deklaracje różnych ludzi, mówiących o wielkości i wzniosłości kapłańskiego powołania.

Będąc na poprzedniej parafii, podczas pobytu na rekolekcjach dla księży mogłem naocznie podziwiać kapłański „etos”. Kapłani w nich uczestniczący, specjalnie się nimi nie przejmowali. Po zakończonym dniu rekolekcyjnym wychodzili do miasta na piwo lub wódkę.

Jeżeli wspominałam sprawę alkoholu, to muszę przyznać, iż nie spodziewałem się znaleźć w szeregach kapłańskich tylu pijących księży. Alkohol pito wspólnie przy różnych okazjach.

Najczęściej były to imieniny, różne uroczystości zakonne itp. Poznałem tutaj smak bardzo dobrych gatunkowo alkoholi. A tak naprawdę nauczyłem się pić dopiero w zakonie. Ani sytuacja w domu, ani seminarium nie zmusiły mnie do wzięcia do ręki kieliszka alkoholu.

Dopiero znajdując się na parafiach zacząłem w umiarkowanych ilościach spożywać wino, wódkę, piwo czy też drogie koniaki i whisky. Niektórzy księża próbowali robić sobie zabawę ze słabszych księży. Mieszali różne trunki, aby u delikwenta wywołać w szybki sposób zamroczenie alkoholowe. Później mieli świetny ubaw, gdy rozmawiali z takim człowiekiem.

Niektóre z biesiad zmieniały się w regularne pijatyki. Wówczas wrzaski pijanych zakonników, smród alkoholu i papierosów niósł się po całym domu. Były też praktyki picia w ustronnych miejscach, np. w pokojach gościnnych. Kiedyś w jednym z nich znalazłem niezliczoną ilość pustych butelek po wódce i pełen kosz puszek po piwie. Czasami niektórzy księża byli tak pijani, że lejąc wódkę do kieliszków nie potrafili tam trafić. Biesiady te były zgorszeniem dla ludzi. Sam byłem świadkiem, gdy do stojących przed kościołem ludzi, w czasie niedzielnego nabożeństwa, docierały wrzaski pijanych księży z tzw. porannej zmiany.

Jeden Pan Bóg wie - ile wypijali księża i bracia zakonnicy w pojedynkę, po kryjomu, w zaciszach swoich pokojów. Można się było tego tylko domyślać po ich porannych kacach i zachowaniu. W trakcie mego pobytu na tej podkrakowskiej parafii spotkałem dwóch księży alkoholików. Trudno ich było upilnować. Gdy przychodził ich czas, znikali na całą noc lub parę dni. Wracali bez grosza przy duszy, brudni i śmierdzący alkoholem. Jeden z nich podobno był aktywnym homoseksualistą. Tak przynajmniej twierdził jego poprzedni proboszcz. Ten - niejako podwójnie uzależniony ksiądz - głęboko zapadł mi w serce.

Opiekowałem się nim w czasie pobytu w szpitalu. Znalazł się tam z powodu przedawkowania alkoholu. Pełen wstydu odbierałem ze szpitalnego depozytu jego dokumenty i nie dopiłą

butelkę wódki. Przełożeni interesowali się tym człowiekiem bardzo oględnie. Właściwie nikt się nim naprawdę nie interesował. Można przypuszczać, że w oczach „góry” stracił wartość użytkową, gdyż nigdzie nie zagrzał miejsca. Skandale wywoływane przez niego na różnych parafiach dopełniały reszty. Nie oznacza to jednak, że wolno zostawić człowieka bez pomocy.

Wszakże mówi o tym Ewangelia. Ten ksiądz dzisiaj już nie żyje. Z mojego punktu widzenia przewodzący temu zakonowi są w dużej mierze odpowiedzialni za los tego człowieka. Gdy go chowano do grobu, nie byłem tam obecny. Nie chciałem patrzeć na ludzi przychodzących na takie smutne uroczystości ze zwykłego chyba obowiązku. Najłatwiej odprowadzić zmarłego na cmentarz, trudniej zająć się żywym, potrzebującym opieki.

Aby nie być wybiórczym w swoich przykładach, powiem o czymś, co potwierdza powyższą tezę. Wydarzenie to miało miejsce parę lat temu. W szpitalu dogorywał na białaczkę młody kapłan. Nikt, kto go dobrze znał i miał możliwość odwiedzenia w szpitalu, nie znalazł ani odrobiny wolnego czasu, aby wesprzeć duchowo umierającego księdza. Poza jednym wypadkiem. Był to kapłan mający wiele pracy, ale jednak poczuwał się do obowiązku wizyty u chorego kolegi. Cierpiący ksiądz żalił się niejednokrotnie, że wszyscy jego dawni koledzy o nim zapomnieli. Będąc jeszcze w pełni sił, był odwiedzany przez wielu kolegów.

Gdy umierał, nie było nikogo. Poza tym jednym, wiernym przyjacielem. Paradoksalnym zrzędzeniem losu - na pogrzeb przyszli wszyscy jego dawni koledzy. Rodzi się pytanie: dlaczego nie pamiętali o nim wcześniej?

Są też w zakonie, który opuściłem, nie wyjaśnione do końca przypadki śmierci kilku młodych księży. Przełożeni byli jednak zawsze na posterunku. Umiejętnie załatwiali takie sprawy z prokuraturą. Śledztwa umarzano, a oficjalnie podawanymi powodami zgonów były zawały lub zaskąbnienia. W rozmowach z księżmi na ten temat dowiedziałem się, że chodziło prawdopodobnie o narkotyki.

Szczególnie tajemnicza była śmierć ks. Mateusza Kotlińskiego (zbieżność nazwiska z autorem książki jest przypadkowa). Do końca nie zostały wyjaśnione jej okoliczności. Miał

podobno wypaść z okna domu, jednak dało nie było potłuczone. W innym przypadku przedstawiono w karcie zgonu datę śmierci, gdyż ciało zmarłego kapłana leżało w pokoju przez dwa dni.

W takiej atmosferze nietrudno sobie zadać pytanie: co ja tu jeszcze robię?! Trzymali mnie jednak przy mojej posłudze kapłańskiej zwykli ludzie, lecz sił do znoszenia podobnych sytuacji miałem coraz mniej. Powoli zaczęło do mnie docierać przekonanie o konieczności zmiany zaistniałej sytuacji. Podejmowałem z różnymi moimi kolegami wysiłki, aby zaradzić złu. Jednak okazały się one bezowocne. Nawet okresowe wizyty wysłanników generała, związane z zakonnymi aferami, niewiele mogły zdziałać.

Wkrótce potem nastąpiła zmiana na urzędzie proboszcza i prowincjała. Wiele sobie po tych faktach obiecywałem. Jednak entuzjazmu sprzed kilku lat już nie miałem. Zgodnie z ciągiem dotychczasowych wydarzeń, sprawy biegły swoim utartym torem. Na krótki moment zajaśniało światło nadziei w momencie uchwalania nowych przepisów, dotyczących życia mojej prowincji zakonnej. Prowincjał okazał się w konsekwencji słabym człowiekiem i jego kadencja obfitowała w sytuacje, które coraz bardziej przekonywały mnie do zmiany stylu życia.

Próbowałem znaleźć pomoc w konfesjonale, lecz usłyszałem tam - zamiast słów pociechy - krytykę mojego stylu życia. Powoli oddalałem się od tej świetlanej, wręcz naiwnej wizji życia, głoszonej na użytek wiernych. Zaczynałem zamykać się w sobie. Na zewnątrz wyglądałem na człowieka radosnego i szczęśliwego, lecz w rzeczywistości coraz więcej było we mnie pesymizmu. Były okresy, gdy całymi nocami nie mogłem spać. Nie wiedziałem do kogo się udać po pomoc, poradę; nikt nie wykazywał dobrej woli. Sam natomiast musiałem ratować innych księży przed duchową zagładą, spowiadając ich z grzechów słabości. Miałem już świadomość, że nie nawrócę świata, a tym bardziej duchownych. Wiele spraw i rzeczy przestało mnie cieszyć. Był mój ukochany Kraków, byli ludzie, z którymi mogłem sensownie porozmawiać. Spotkałem nawet jednego kapłana, który stał się dla mnie oparciem i przyjacielem, lecz to było za mało, aby żyć i działać w bezmiarze zła. Ten ksiądz był również jedynym człowiekiem, z którym mogłem podyskutować na temat teologii i filozofii.

Skorzystałem z tych rozmów bardzo wiele. Zachowam jego obraz na zawsze w pamięci, gdyż niewielu jest dzisiaj kapłanów takich jak on. Wiedziałem, że przełożeni - kierując się wyłącznie sprawami administracyjnymi i materialnymi mojego zakonu - nie bardzo chcą rozmawiać z księżmi na temat ich powołania. Ja odczuwałem taką potrzebę. Do tego potrzebne było zaufanie, które można zbudować wyłącznie na partnerskiej relacji.

Jedna z ostatnich historii, którą pragnę przytoczyć, dotyczy księdza pozostawionego praktycznie własnemu losowi, gdy zagrażało mu poważne niebezpieczeństwo ze strony SB i prokuratury. Cała historia wydarzyła się w okresie rządów komunistycznych pod koniec lat osiemdziesiątych.

Wspomniany wcześniej kapłan zajmował się zaopatrzeniem materialnym parafii. Wszyscy pamiętają, jak trudno było kupić cokolwiek w sklepach w tym czasie.

Ksiądz ten nawiązał rozliczne kontakty, przez które udawało mu się załatwić różne potrzebne produkty spożywcze, chemiczne itp. Został pochwycony przez milicję w momencie, gdy wiózł tzw. lewy towar do domu. Przesłuchujący go funkcjonariusz zdradził mu, iż doniósł na niego jeden... z księży. Gdy został wypuszczony z aresztu, postanowił poprosić o pomoc przełożonych prowincji Ku jego przerażeniu usłyszał słowa, że - ma radzić sobie sam. Mój Boże! To przecież woła o pomstę do nieba. Pomogli mu jednak jego dawni profesorowie, choć byli już w wieku emerytalnym. Sprawę w końcu wygrano, lecz w duszy tego solidnego i pracowitego człowieka pozostał kac moralny. Musiał wyjechać za granicę. Będąc już na nowym miejscu pracy w Niemczech - odszedł z zakonu. Po tym wszystkim pozostał mu w sercu do dnia dzisiejszego smutek i żal.

Nikomu nie zazdroszczę władzy ni tytułów. Niech mają je ci, którzy tego pragną.

Mnie cieszy coś zupełnie innego to, co łączy ludzi w jedną rodzinę ludzką i Bożą. Tego nie znalazłem tam, gdzie wstąpiłem przed z górą dwudziestoma laty.

Przypominam sobie moment odejścia mojego kolegi z domu zakonnego w Warszawie.

Jego proboszcz był człowiekiem złaknionym tytułów i zaszczytów. W tym czasie w polityce nastąpił zwrot na prawo, a może na lewo - tylko z chrześcijańskim odcieniem. W szeregach wojska, policji, w urzędach administracji znowu pojawiły się święcenia wszystkiego i wszystkich; znowu zagościły symbole i znaki religijne - począwszy od marynarek prezydenta, a skończywszy na sali sejmowej. Do tryumfu „chrześcijańskich wartości” byli potrzebni

„odpowiedni ludzie” czyli księża. Powstawały więc te przedziwne twory w postaci głównych kapelanów i asystentów, przy, wojsku, policji, straży pożarnej, administracji państwowej etc.

etc. Nasz wspomniany proboszcz tej chwały bardzo pragnął i w końcu dostał, co chciał, lecz zapomniał, że obok niego żyją prawdziwi ludzie - jego koledzy i bracia w kapłaństwie. Ody patrzyłem na zmęczoną twarz młodego człowieka, mojego kolegi, który parę tygodni później odszedł, nie uświadamiałem sobie, że mnie samego spotka to same. Nie wiedziałem, że Kościół surowo karze odstępców, nie dając im możliwości uregulowania swojego życia, jak chociażby zawarcia sakramentu małżeństwa.

Niektórzy ludzie błędnie sądzą, że kapłan nie może zawrzeć kościelnego związku małżeńskiego. Są jednak w błędzie. Kapłaństwo nie stoi w żadnej sprzeczności z sakramentem małżeństwa. Prawo Kanoniczne mówi jednak o ślubie celibatu, jako przeszkodzie uniemożliwiającej zawarcie związku małżeńskiego. Celibat zaś jest z ustanowienia człowieka i nie ma mocy wiążącej na wieczność. Jednak hierarchowie Kościoła bardzo się obawiają sytuacji, gdy celibat przestanie funkcjonować. Z tym faktem wiąże się niewątpliwe osłabienie władzy kościelnych przełożonych oraz zmniejszenie dochodów pieniężnych.

Mało kto wie, że każdy ksiądz diecezjalny jest zobowiązany do płacenia kościelnego podatku na rzecz papieża, biskupa i Kościoła w ogóle. Pomiędzy biskupami toczą się ciągle rozgrywki o

większą diecezję z większą liczbą kapłanów, podobnie jak pomiędzy proboszczami co do parafii. Dlatego występują tak duże dysproporcje w rozmieszczeniu duchownych na terenie Polski. W jednej diecezji jest kilkuset księży, w innej zaś przeszło tysiąc. I nie chodzi tutaj wyłącznie o tzw. dobro wiernych, lecz przede wszystkim o władzę i pieniądze. Dowodów na potwierdzenie tej tezy jest wiele i wystarczy się rozejrzeć wokoło, aby stało się to oczywiste.

Mam swoje marzenia, jakie posiada wielu ludzi. Pragnę zrozumienia, miłości i pokoju.

Religia z którą związałem się przez moich rodziców - teoretycznie to gwarantuje. Ciągle jeszcze wierzę, iż jej fundamentem jest Jezus. Jednak ci, którzy go zawłaszczyli dla siebie, nie mają na ogół z nim wiele wspólnego.

Przede mną nieznaną drogą, choć promyczkiem nadziei jest osoba, którą poznałem parę lat temu. Ta młoda kobieta okazała mi w trudnych chwilach wiele zrozumienia.

Chciałbym z nią dzielić swoje życie, choć na starcie w to nowe, wspólne życie - jedni będą szukać taniej sensacji, inni zaś wydadzą wyrok potępiający. Gdzie można jednak w tym wszystkim spotkać Chrystusa? Czas pokaże...

Przeznaczenie

To było w pewien lutowy poranek,

Sala była pełna ludzi,

Raptem przez drzwi wpadł szybki promień światła

w koronie jasnych włosów, i zgasł.

Ziarno miłości zostało rzucone,

Padło na podatną glebę,

Nikt o tym nie wiedział,

Nikt tego nie rozumiał.

Potem była rozmowa, pozornie bez znaczenia,

Skromny list, jeden i drugi,

Odpowiedź, jakby z przymusu,

Wówczas wolność królowała w naszych sercach.

Lato nas przywitało łękiem natury,

*Złamanego serca, niepewnością egzaminu,
Były łzy, próby pocieszenia
I nic nie wskazywało, że ona drży nasze serca,
Zbliżając coraz bardziej do siebie.
Wakacje były czasem modlitwy, spotkań i radości,
leczenia ran zadanych tak niedawno,
kartki wysyłane z konwencjonalnej potrzeby,
I pamięć bez świadomości istnienia,
która miała uderzyć jak grom z jasnego nieba.
A przeznaczenie zbliżało się wielkimi krokami.
Pierwsze spotkania, to lęk przed życiem,
Chęć niesienia pomocy, wspomżenia w potrzebie
I pierwsze refleksy zbliżającej się miłości.
Bo jak nazwać radość z faktu spotkania osoby,
Której głos był słodyczą serca,
Oczy błękitem nieba,
Pachnące włosy, znakiem falującej łąki,
Smaganej wiatrem pachnącego ciała.
A potem był pierwszy spacer, taki niepozorny,
Pierwsze spotkanie rąk, jakby nieśmiałe,
Pierwszy pocałunek, pośpiesznie dawany,
Pierwsza świadomość, za obłąd uznana.
A jednak miłość dotknęła serca,
Mimo sprzeciwu i obrony,*

Weszła głęboko, sięgając swym korzeniem duszy,

Która obudzona z letargu,

wybuchła ogniem namiętności.

Czy przetrwa próbę czasu i doświadczenia?

Nie wiem,

zbyt trudne pytanie,

gdyż to co trwa obecnie,

zbyt piękne jest,

aby mogło umrzeć bezpowrotnie.

Ona

Spotkałem ją o poranku,

Weszła w tycie jak promyk słońca,

Rozświetlając mroki mej duszy.

Otwierając oczy dostrzegłem jej piękno,

Jej dusza jawiła się niczym obłok świetlany,

Jej ciało drgało jak ogród wytchnienia i rozkoszy.

Pragnąłem zabrać ją dla siebie,

Jak złodziej kradnący owoc ciemną nocą,

lecz nie tędy droga.

Miłość pragnie swobody,

Aby dar z siebie

był lubym kwiatem w jej ogrodzie

Innego wówczas koloru nabiera namiętność

Wzbierająca w sercu.

I oto otwiera się niebo,

które raptem smakujesz przez owal wolności

Raptem rosną skrzydła, jak ptakowi,

Które niosą cię w przestworza,

do zaczarowanego królestwa

marzeń i spełnienia.

Przede mną droga, która prowadzi w nieznane,

Czy da pokój i kochanie...

Wiem jedno, że miłuję szalenie,

do zraty w ekstazie i upojeniu,

sycąc się słodyczą jej miłości.

Kraków, luty - marzec 1999 (ks.) Robak

ROZDZIAŁ IV

Proboszcz dobrodziej

„Lepiej zabić niewinnego niż winnego pozostawić przy życiu”

Papież Pius V

Zajmując się osobami poszkodowanymi przez duchownych, a tym samym ofiarami całego katolickiego systemu, nadepnałem Kościołowi na odcisk. Najgorsze dla propagandy kościelnej jest ujawnianie zjawisk i spraw, które do tej pory praktycznie nie istniały, a raczej stanowiły jedno wielkie TABU. Opowieści o księżach kobieciarzach, pijakach, karciarzach, zbrodniach i złodziejach, a nawet mordercach funkcjonowały jedynie w drugim obiegu, przekazywane z ust do ust przez samych parafian. Tymczasem zwykłych śmiertelników za podobne wykroczenia ścigano, karano w sądach i kolegiach, odbierano dobre imię, pozbawiano praw publicznych. Za komuny Kościół tuszował nagminnie nadużycia we własnym łonie przy pomocy samej Służby Bezpieczeństwa, idąc z nią na różne układy. Są dowody na to, iż pewni najwyżsi dostojnicy kościelni, w tym co najmniej kilku obecnych biskupów ordynariuszów diecezji, współpracowali z władzami w zamian za przymknięte oko na własnym podwórku. Mam zdeponowane (nie w domu!) dwie wypchane teczki z mikrofilmami na ten i inne, podobne tematy. Sprzedał mi je za przystępną cenę były kapitan SB. Trzymam to wszystko na czarną godzinę i traktuję jako swoistą polisę ubezpieczeniową na życie.

Kościół dla podtrzymania swego dobrego wizerunku jest gotów prawie na wszystko.

Ileż to spraw poszło do lamusa, ilu ludzi nie doczekało się sprawiedliwości, ile ust zamknięto... także na wieki. Katolicka pajęczyna, rozciągnięta od parafii do parafii - przez cały kraj - zawsze zbierała swoje żniwo w postaci krzywdy prostych, szarych ludzi. Zawsze ci, którzy mieli władzę, pieniądze - dogadywali się między sobą kosztem frajerów, szaraków. W

czasach wolności niewiele się w tych sprawach zmieniło. Na szczęście nie ma już oficjalnej cenzury i dlatego mogła powstać książka, którą czytacie. Kościół niezmiennie zaciemnia, a raczej wybiela swój obraz, idzie na układy z policją i władzami, ale dzisiaj - kto się nie boi -

może go otwarcie skrytykować.

Odwieczne „milczenie owiec” zostało przerwane! Setki, tysiące zatartych śladów i spraw może teraz ujrzeć światło dzienne. Niektóre wydarzenia, rozgrywające się za parkanami świątyń i murami plebanii, są zupełnie niesamowite i dla wielu wciąż niewiarygodne. Środowisko odbiegające w znacznym stopniu od normalnego, a także losy ludzi, uwikłanych w tym dziwnym środowisku - to wszystko tworzy scenariusze, o których nie śniło się większości z Was. Historie te wywołują szok, zwłaszcza u tych, którzy czują się integralną częścią tego Kościoła, utożsamiają się z nim i czują się za niego odpowiedzialni.

Oto jedna z takich historii.

Pewnego wieczora zadzwonił do mnie Marek, 19 - letni chłopak z Kielc. Powiedział, iż - jak mało kto - czuje się pokrzywdzony przez duchownych, a zwłaszcza przez jednego -

swojego ojca Nie chciałem, żeby telekomunikacja zarabiała na młodym człowieku, kazałem mu opisać wszystko w liście. Minęło parę tygodni, dokładnie zapomniałem o wieczornym telefonie. Któregoś dnia otrzymałem gruby list od Marka, odwołujący się do nawiązanego telefonicznie kontaktu. Głęboko poruszony treścią listu, postanowiłem się z nim spotkać.

Rozmawiałem też z jego babcią i całą najbliższą rodziną oraz osobami postronnymi, w charakterze świadków. Chłopiec nie kłamał - był pokrzywdzony on, a przede wszystkim jego matka, która... nie żyła. Wiele wskazuje na to, że zabił ją ksiądz, ojciec Marka.

Cała historia zaczęła się ponad 20 lat temu, na jednej z ubogich wsi na Kielecczyźnie.

Rozległą, aczkolwiek biedną parafią przewodził proboszcz Zygmunt Owczarek - kapłan 45 -

letni, słusznej postury, o wydatnym „powołaniu” (czytaj: brzuszku), łysiejący czołowo na wielkiej, okrągłej jak piłka głowie. Oprócz typowych dla wiejskiego proboszcza namiętności: dobregojadła i jeszcze lepszych trunków, ksiądz proboszcz miał jedną pasję życiową - z przyczyn formalnych - uciążliwą. Pasją tą były jego własne owieczki, płci żeńskiej, ma się rozumieć. Z parafii, gdzie urzędował wcześniej, przysłała w ślad za nim przynajmniej taka fama. Podobno z uwagi na te „dziwne” upodobania, był już na trzeciej z kolei placówce, mimo młodego - jak na proboszcza - wieku. Ale to pewno plotki Zobaczmy dalej. W

każdym razie na początku nic tego nie zapowiadało.

Co do oczekiwań proboszcza względem parafian - odnośnie do ofiarności - ksiądz Zygmunt nie pozostawił nikomu żadnych złudzeń. Dość powiedzieć, iż oczekiwania te były dokładnie odwrotnie proporcjonalne do zamożności podkieleckiej wsi, a zapobiegliwy duszpasterz bardzo szybko otrzymał wśród miejscowych ksywę „zdzirus”. Nikogo to jednak zbytnio nie dziwiło - „ksiądz, jak ksiądz, na piniundze łasy” - powiadali. Zapewne po to, by uzasadnić swoje duże wymagania i potrzeby - dobrodziej przedstawiał się miejscowemu

„chamstwu” jako „ksiądz doktor”. „Doktor” żadną miarą nie pasowało do „zdzirus”. Jak wiadomo, księża są z reguły dobrymi psychologami; uczą ich tego nawet w seminariach.

Ludzie ze średnim wykształceniem pięciu klas szkoły podstawowej byli nawet dumni, iż mają proboszcza „naukowca”, a i czuli wobec niego większy respekt Wszystko było więc w najlepszym porządku, każdy znał swoje miejsce; tylko że... z Owczarka był po prawdzie taki doktor, jak - nie przymierzając - z koziej dupy trąba. Uświęconym zwyczajem duszpasterz wiódł wygodne życie w małym dworku o nazwie - plebania - ludzie zaś zapieprzali na roli, z trudem wiążąc koniec z końcem.

Najgorzej ze wszystkich powodziło się rodzinie Kowalów, którzy mieszkali na samym skraju wsi pod lasem - w małej, krytej strzechą chałupce z kamienia i gliny. Na 6 hektarach jałowej ziemi, z siódemką małych dzieci - „koniec” był nie do „zawiązania”. Tym bardziej że Jan Kowal - zwalisty kawał chłopca z dziada pradziada - nie wylewał za kołnierz, a los gospodarki oraz wielodzietnej rodziny nie należał do jego największych zmartwień. Ktoś by powiedział optymistycznie, że pan Jan zainwestował w dzieci; jednak bardziej pewnym uzasadnieniem byłaby raczej daleko posunięta ignorancja Kowalów w dziedzinie środków antykoncepcyjnych, a może po prostu przemysł gumowy

nie docierał na kielecką wieś. Pani Bronisławie, choć miała dopiero 36 lat i była o całą dekadę młodsza od męża, nikt również nie mógł zarzucić zbytnej świadomości, nie tylko zresztą w tej dziedzinie. Była to kobieta niska, grubawa, ale dość urodziwa; z usposobienia cicha i pokorna; raczej ociężała umysłowo, ale na swój sposób bystra; przywykła do uległości i argumentów siłowych. Dzieci widziały ją nader często, jak siedziała w kącie kuchni, pochlipując na swój los. A miała powody do płaczu. Mążnek, zwłaszcza po kielichu, nie szczędził razów jej i dzieciom. Dziewięć osób mieszkało w dwóch małych izbach i dużej kuchni. Drobne, wychudzone dzieci - cztery dziewczynki i dwóch chłopców - spały po troje na starych materacach jak sardynki w puszkach. Najstarsza, 17 - letnia Zosia miała swój kąt na ławie w kuchni. Małżonkowie zajmowali jeden pokój - sypialnię. Nad ich głowami wisiał w ukosie ogromny, długi obraz Chrystusa w wieczerniku. Dzieci ciągle bały się, że ten obraz spadnie i przygniecie mamę; o tacie jakoś nigdy nie pomyślały...

Kowalom żyło się smutno, głównie z powodu biedy. Właściwie zawsze chodzili niedożywieni. Tylko Bronka dość dobrze wyglądała gdyż - jak sama mówiła - miała brzuch rozepchany od kartofli. Jan z kolei niedobór kalorii nadrabiał gorzałą. Siedmiorgu rodzeństwa całe dzieciństwo kojarzy się dziś z wiecznie nie zaspokojonym głodem. Na co dzień - także do szkoły - chodzili w obszarpanych, niedopasowanych łachmanach. Dzieci były głęboko przybite swoją nędzą, choć nie wszystkie jeszcze zdawały sobie sprawę, dlaczego tak jest i że można żyć inaczej.

Zosia, jak wspomniałem, była najstarszą z rodzeństwa. Dość ładna, smukła blondynka o szaroniebieskich oczach. Z usposobienia była wiejskim wypłochem - skryta, strachliwa, zakompleksiona na punkcie swojej rodziny i jej ciągłego niedostatku. Takie dzieci nie mają zwykle wielu przyjaciół i kolegów, gdyż są smutne i zamknięte w sobie; nie chodzą na zabawy, a w kościele okupują wszystkie ciemne kąty. Same uważają się za gorsze od innych, a wszelkie dodatkowe przytyki i komentarze na swój temat przyjmują bardzo boleśnie. Nie inaczej było również z Zosią. Poza tym dziewczyna była wiecznie zajęta młodszym rodzeństwem. Właściwie, od kiedy matka przestała karmić najmniejszego chłopca - cała szóstka była na jej głowie. Sterana pracą i zaniedbana - Zosia nie miała nawet czasu rozpamiętywać swojego losu. Marzyła tylko czasami o wygodnym, dostatnim życiu; o pięknych, nowych ubraniach. Coraz częściej myślała też, że kiedyś może sama mieć rodzinę -

miłego, kochającego męża, własne dzieci, a może nawet własne mieszkanie z telewizorem, takim jak ten, który widziała kiedyś w remizie strażackiej. Bez wątpienia właśnie Zosi najbardziej doskwierała bieda w domu Kowalów i to właśnie ona najbardziej pragnęła odmiany albo wprost - wyrwania się z tej beznadziejności.

Była późna jesień. Bronka najmowała się chętnie do prac polowych u bogatszych sąsiadów, w jakim celu - nie trzeba dodawać - każdy grosz był na wagę złota. Jednak po wykopkach kartofli, na żadną płatną pracę nie można było liczyć. Kobieta nie mogła dojeżdżać miasta z uwagi na dzieci, choć od kiedy Zosia skończyła podstawówkę, można było powierzyć jej cały dom łącznie z chlewem. Jan dorabiał niezmiernie rzadko, nie pozwalała mu na to gospodarska duma, a i praca dla pijaka nie zawsze była. Tymczasem -

zupełnie niespodziewanie - szczęście uśmiechnęło się do jego młodej żony. Nowy proboszcz Owczarek upatrzył ją sobie na gospodynię. Przyjechał do Kowalów swoim nowiutkim

„dużym” fiatem. Akurat wszyscy byli w domu. Popatrzył, porozmawiał, dzieciom dał po cukierku i... dobił targu. Obiecał płacie małą pensyjke ze śniadaniem i obiadem. Bronka miała codziennie meldować się na plebanii o 7 rano przed wyjściem dobrodzieja na mszę o 7.30.

Dokładnie o 8.30 na stole w jadalni miało czekać śniadanie. Później sprzątanie domu, obejścia, ogrodu i obiad na 13.30. O 3 po południu Bronka powinna być wolna. Do tego dochodziły nadzwyczajne okazje połączone z premiami za odpusty, zjazdy księży na spowiedzi itp. Za osiem godzin dość ciężkiej pracy, proboszcz oferował wynagrodzenie w wysokości 1/4 średniej krajowej, ale to oznaczało mniej głodu dla całej rodziny. Kobieta zgodziła się z wdzięcznością. Nowy proboszcz, którego widziała do tej pory tylko za ołtarzem, wydawał jej się co prawda trochę podejrzany. Na przemian - to uśmiechał się jakoś sztucznie, to znowu przenikał ją wzrokiem, w którym dostrzegała męską pożądlivość.

Grzechem byłoby nie przyjąć takiej propozycji.

Zaczęła w najbliższą sobotę. Krzątała się po plebanii jak wytrawna gospocho, ani się obejrzała jak przekroczyła o dwie godziny limit czasu. Przez większość dnia gospodarz wodził za nią oczami, przenosząc w ślad za Bronką swój tyłek na stylowym krześle. Patrzył

na nią wzrokiem handlarza rogacizną, szczególnie wnikliwie oceniając dwie tylne szynki. W

miarę jak kobieta przybierała różne pozy przy różnych czynnościach, on zdawał się być coraz bardziej zadowolony. W końcu wstał z krzesła klepnąwszy dłońmi o kolana, podszedł do Bronki) jak ją zaczął nazywać) i chwycił za rękę.

- Powinnaś już iść do domu, moja gosposiu - powiedział miękko i zalotnie. - Czekam na ciebie jutro, ale powiedz swoim, że wrócisz później, bo będę miał gości na kolacji.

Następnego dnia po obiedzie, ksiądz Zygmunt sprostował wprawdzie, iż wspomniany gość nie przyjedzie, ale skoro Bronka już wspomniała o późniejszym powrocie, to zaprasza ją na wspólny wieczór przy telewizorze. Zaczęła się wymawiać, że powinna w nie - dzielę być z rodziną, ale on nie chciał o niczym słyszeć. Jak można nowego pracodawcę i dobroczyńcę całej rodziny zrażać czymkolwiek już na samym początku pracy? Jakże było odmówić!

Pokusą nic do odparcia był telewizor, który Bronka widziała może trzeci raz w życiu, zawsze u bogatych gospodarzy.

Po sutej i zakropionej kolacji usiedli z księdzem Zygmuntem na miękkiej wersalce.

Niemal natychmiast duszpasterz przygarnął do siebie pulchną owieczkę. Poprzedniego dnia kazał jej się umyć i ogarnąć na przyjazd gościa, więc teraz śmiało zaczął ją lizać po szyi i karku. Lewą ręką chwycił za dużą pierś, prawą z całych sił obłapił za plecy. Mruczał przy tym i sapał jak niedźwiedź przy słoju z miodem. Bronka była jak sparaliżowana. Nawet nie drgnęła pod naporem mężczyzny, który zresztą przewyższał ją o prawie pół metra i sporo przeważał. Była poza tym kompletnie zaskoczona. Nie wiedziała, jak ma zareagować. W

głowie miała mętlik myśli. W podobnych sytuacjach ze swoim mężem przywykła do postawy biernej „kłody”, która z obawy przed brutalnością, godzi się na współżycie. Zwykle zaciskała wtedy usta i czekała na finał. Ale jej ślubny miał do niej jakieś takie prawo, a ksiądz..? Kobiety na polu opowiadały o plebanach niestworzone rzeczy, że „niewyżyte, bo swoich kobit nie mają”, albo że „chłopów upijają i się za nich biorą”. Nigdy nie przypuszczała jednak, że ją spotka taka przygoda. Kiedy proboszcz zaczął ściągać jej majtki, naturalnym odruchem obrony i wstydu chwyciła go za rękę i krzyknęła - „Nie! Nie!” Ale on szarpnął wówczas bardziej gwałtownie i z nowych slipów zostały strzępy. Wepchnął jej kolano między nogi, napał na nią całym ciałem tak, iż nie mogła zaczerpnąć tchu. Szczegółów nie znamy, w każdym razie nowa gospodyni księdza Zygmunta przeszła swój „chrzest bojowy”.

Zadowolony samiec dał jej nawet na odchodne ekstrapremię, ze słowami:

- No, ty wiesz za co. Będzie nam razem dobrze. Tylko nikomu ani słowa!

Wzięła nieśmiało pieniądze i odezwała się po raz pierwszy od dłuższego czasu:

- Tylko żeby dzieciaka z tego nie było.

- Nie będzie, nie bój się, a jak się co przydarzy, to zaradzimy i temu - uspokajał ją proboszcz. Jadąc rowerem do chałupy myślała o tym, co się stało i sama już nie wiedziała czy się cieszyć, czy płakać. Z jednej strony czuła się wykorzystana, ale dzięki temu będzie miała pracę i może... dostawała dodatkowe pieniądze. Co prawda po raz pierwszy zdradziła męża, ale tak naprawdę nigdy go nie kochała i wcale nie czuje się wobec niego winna. Odczuwała nawet pewnego rodzaju satysfakcję - w jakiś sposób zemściła się na nim za to, jak traktował

ją i dzieci. Najbardziej cieszyły jednak „dorobione” pieniądze:

- Jutro kupię najmłodszym cukierków, a Zosi jakąś bluzkę - zdecydowała.

Następnego dnia ksiądz Zygmunt zaraz po śniadaniu wstał od stołu, poklepał się po brzuchu i podszedł z tajemniczą miną do Bronki.

- Teraz nauczę cię paru sztuczek - oznajmił widocznie zadowolony ze swojego pomysłu. Rozpiął guziki od sutanny na wysokości rozporka i po paru manewrach wyjął na wierzch członka.

- Weź go do buzi - rozkazał - i obiema rękoma nacisnął z góry na kobiece ramiona.

Przytrzymał jej na koniec głowę, wpychając penisa głęboko do gardła. Po wszystkim aż przebierał z radości nogami.

- Tylko mi sutanny nie zaplam! - krzyknął, kiedy Bronia - jeszcze klęcząc przed nim -

zaczęła się krztusić z nadmiaru spermy. Dobrodziej, cały w skowronkach, ubrał się i pojechał

swoim fiacorem do miasta. Wrócił na obiad i pokazał jej fiolkę z maleńkimi tabletkami.

- Jak to sobie będziesz łykała, na pewno nie zajdziesz.

Bronka była bezwolna, prawie się nie odzywała; czuła się i zachowywała dokładnie tak, jak była traktowana - niczym niewolnica Stosunki z proboszczem były jej obojętne, jeśli chodzi o sferę uczuć. Seks praktycznie od zawsze kojarzył jej się z wymuszeniem, alkoholem i nieświeżym oddechem męża. Pod tym względem ksiądz Zygmunt był jak dzień do nocy albo jak James Bond do „chama” ze wsi, którym bez wątplenia był Jan Kowal. Bronka w kontaktach z proboszczem czuła też dużą motywację finansową, co w jej przypadku było bardzo ważne. Zdawała sobie sprawę, że się sprzedaje, ale robiła to świadomie. Nie czuła się zbyt wykorzystywana, a przynajmniej nie tak, jak w kontaktach z obleśnym, pijanym ślubnym. Jej zniewolenie miało podłoże bardziej psychologiczne niż fizyczne czy nawet materialne. Ona po prostu nie śmiała i nie mogła odmówić.

Po obiedzie należało wypróbować działanie tabletek, w końcu dobrodziej fatygował

się po nie aż do miasta. Seks na stole w kuchni zakończył trzecią dniówkę u proboszcza. Taki scenariusz powtarzał się mniej więcej każdego dnia. Ksiądz Zygmunt - w miarę upływu czasu

- coraz częściej urozmaicał wzajemne pożycie: kazał Broni chodzić nago po całej plebanii; zmieniał pozycje; lubił brać ją z nienacka, np. gdy zmywała naczynia nad zlewem itp. Robił z nią co tylko chciał Zawładnął kobietą bez reszty. Tylko raz dał jej więcej pieniędzy! Czasem ofiarował tabliczkę czekolady dla dzieci albo coś do ubrania z paczek, które zaczęły przychodzić z Zachodu.

Tych paczek było coraz więcej. Dzięki nim rodzina Kowalów praktycznie zapomniała co to głód. Bronka zносиła do domu mąkę, ryż, a nawet puszki mięsne. Tak oto proboszcz Zygmunt stał się dla wielodzietnej rodziny człowiekiem opatrnościowym, prawdziwym dobroczyńcą! Nic dziwnego, że był uwielbiany, zwłaszcza przez dzieci Nawet Jan z wdzięczności kilka razy zreperował mu parę rzeczy na plebanii. Dobre serce księdza odbiło się szerokim echem w całej wsi Kapłan zyskał sobie uznanie nawet tych, których przy każdej okazji skutecznie odchudzał z gotówki. Oto znalazło się alibi dla jego chciwości. „Bierze od jednych, ale innym daje” - mówiono we wsi Faktem jest, że Kowalowie odżyli Co prawda złe języki bruździły, że „Bronka jeszcze młoda, a proboszcz po kobietach oczami strzela”. Ktoś podobno widział, jak na podwórku włożył jej rękę pod spódnicę, ale... czego to ludzie nie wymyślą...

Ksiądz Zygmunt, jakby przestraszył się swojej sławy dobroczyńcy parafii i patrona ubogich, gdyż po roku od rozpoczęcia służby przez Bronkę oznajmił jej, iż - „...ma kłopoty finansowe i od tej pory aż do odwołania - może jej wypłacać pensję tylko w naturze”. Kobieta na chwilę zgłupiała. Myślała do tej pory, że to ona, jako kobieta, może ewentualnie płacić w taki sposób.

- Mam pracować „za frajer” i jeszcze dawać mu tyłka - przestraszyła się nie na żarty.

Tymczasem proboszcz miał na myśli zapłatę w darach, których zwoził już w tym czasie całe sterty z Caritasu i seminarium. Cóż miała robić, zgodziła się. Od tej pory dobrodziej co miesiąc wyliczał skrupulatnie, ile jakich artykułów wchodzi na jej skromne pobory. Cała korzyść z tej zamiany gotówki na jedzenie była taka, że kogut w sutannie od tej pory już tak często na nią nie nastawał. Może trochę się krępował, ale ona wyczuła, iż coraz mniej nęciły go jej wdzięki. Broń Boże - nie rozpaczała z tego powodu, ale wiedziała też, że kariera na plebanii się kończy.

Bronkę serce bolało, kiedy patrzyła na stopy ciuchów, kartony czekolad i setki innych dóbr, które leżały nie wiadomo dla kogo. Kiedy nie było plebana, a drzwi do składziku zostawił otwarte, szła sobie czasami chociaż popatrzeć; no może parę razy coś po kryjomu wyniosła. Strach był jednak, bo mógł ją na odchodnym wymacać. Od jakiegoś czasu zauważyła, że skarbów w proboszczowskim składziku zaczyna ubywać i to nie tylko (jak zwykle) po wizytach księżowskiej rodziny. Szybko prawda wyszła na jaw - ksiądz Zygmunt wywoził gdzieś całe bagażniki towarów. Wracał po tym zwykle następnego dnia był

dziwnie... osłabiony. Kobieta szybko poznała, iż było to osłabienie z wyłajdaczania.

Najwyraźniej kogoś miał i - podobnie jak jej - płacił w naturze. Któregoś dnia, kiedy przyszła rano do pracy, już od proga poczuła jakiś mdły zapach; to mogły być tylko damskie perfumy.

Pleban przyszedł wesóły ze mszy, klepnął ją w pośladek i oznajmił:

- Przyjechała do mnie siostra cioteczna, zrób śniadanie i obiad na dwie osoby.

Młoda i atrakcyjna kobieta - jak przystało na kochającą „siostrę” - do braciszka zwracała się „Zygmus”, strzelając przy tym tajemniczo oczami. Kiedy Bronka poszła pościelić po nocy, zastała oczywiście tylko jedno rozłożone łóżko, w dodatku bardzo intensywnie używane. Po śniadaniu „rodzeństwo” poszło na nowo baraszkować w pościeli i to tak hałaśliwie, że gosposia słyszała dokładnie wszystkie okrzyki westchnienia. Tego dnia -

wychodząc z plebanii - otrzymała, niby żartem rzucone ostrzeżenie:

- Znasz Bronia takie przysłowie: nie mów wole, co się dzieje w szkole? No! To uważaj.

Nie zamierzała nikomu niczego rozpowiadać. W porównaniu z innymi kobietami ze wsi była milczkiem, a w powszechnej opinii wręcz mrukiem. Zresztą, o czym było gadać, czym się chwalić - że proboszcz miał ją za dziwkę, a teraz jeszcze ona sprząta po innej? O

dziwo - wbrew samej sobie - było jej nieprzyjemnie z powodu jego zdrady.

- Niby jest mi obojętny, ale człowiek jak pies, przyzwyczajają się - pomyślała w zadumie.

Ksiądz Owczarek zaczął systematycznie zwozić na plebanię swoje „siostry” i

„kuzynki”, a czasem sam przepadał na dzień lub dwa. Od czasu do czasu, zwłaszcza jak sobie popił, dobierał się do gosposi, ale już coraz rzadziej. Pani Bronisława w taki oto sposób opisuje dziś, po 20 latach osobowość swojego pracodawcy i duszpasterza:

„Nie wiedziałam wcześniej, że człowiek może żyć, myśląc tylko o jednym - no, o seksie. Pracy miał tak z godzinę na dzień: pół godziny msza i drugie tyle kancelaria. Jak była kolęda, wypadł pogrzeb czy ślub - to wiadomo, trochę więcej. Ale co to była za praca! Nawet w szkole miał katechetkę, to nie uczył. On żył jak król, pieniędzy miał całe garście, a na chłopów mówił chamy i miał za nic. Taki to był pan - ksiądz. Myślał tylko, jak sobie życie uprzyjemnić - co zjeść, co wypić, jak i z kim się przespać. Taki to był ksiądz dobrodziej...” Ano, takich to mamy dobrodziejów. Ktoś musi się starać i

pracować, żeby ktoś inny mógł się opieprzać i doić kasę z naiwniaków. Tak wygląda praktyka duszpasterska w terenie, ale Bronka - jak większość z Was - mogła myśleć, że jej proboszcz jest wyjątkiem. Nie ma się co dalej rozwodzić nad oklepanym tematem. Przejdźmy do sedna sprawy i meritum całej opowieści.

Człowieka gubi zazwyczaj pycha i bezkarność. Traci wówczas swój zwierzęcy instynkt samozachowawczy, łatwo wmawia sobie nadzwyczajną inteligencję, nie doceniając przy tym innych ludzi. Tak też mniej więcej stało się z proboszczem Owczarkiem. Ludzie ze wsi, nie obyci z gwarem i hałasem wielkiego miasta, mają nadzwyczaj dobrze wykształcone zmysły: słuchu, wzroku i powonienia. Po prostu mniej się u nich dzieje i są w związku z tym bardziej na wszystko wyczuleni. Zresztą ksiądz na wsi zawsze był tematem numer jeden.

Sprawdziło się to również w przypadku naszego bohatera. Orgie z coraz to nowymi kobietami w poświęconym budynku plebanii, stały się we wsi tajemnicą publiczną. Mówili o tym wszyscy, począwszy od dzieci w szkole, a skończywszy na babciach różańcowych. Doszło do tego, iż małe grupki ciekawskich kobiet zastawiały przed plebanią czujki - i to o różnych porach dnia i nocy... Każdy podejrzany odgłos był skrzętnie wyłapywany, nie mówiąc już o widoku obcej kobiety, wsiadającej do proboszczowskiego fiata. Ksiądz Zygmunt - jak to zwykle bywa - dowiedział się o famie jako ostatni. Najpierw wy wahał sam, że coś nie jest tak. Korzystając ze spowiedzi, wypytał jedną ze swoich zaufanych kobiet, co się święci w jego parafii. Ta mu wszystko wyklarowała. Aby się upewnić - wziął na spytki Bronkę, która była już wcześniej nagabywana przez kobiety - czy czego nie wie. Co słyszała, to i powiedziała. Ksiądz Zygmunt, nie wiadomo do kogo, krzyknął:

- A to chamy jedne, oszczercy, nieroby pierdolone. Nie mają co robić, tylko plotkują!

Wstał, trzasnął drzwiami, zamknął się w swoim pokoju i otworzył pół litra. Nie w smak mu była zmiana kolejnej parafii. Postanowił więc spasować. Wrócił też na łono Broni.

Wyglądało na to, że będzie musiała mu na razie wystarczyć.

Minęły ponad dwa lata służby Bronki Kowalowej na plebanii. Nadeszła zima, a wraz z nią kolęda. Gosposie mają wtedy zwykle urlop, gdyż to parafianki prześcigają się w tym czasie w dogadzaniu podniebieniom swoich proboszczów. Nie inaczej było z Bronką. W

końcu, pod koniec zbiórki, dobrodziej zawitał też pod strzechę Kowalów, na skraju wsi.

Posiedział, pobawił dzieciaków - jak zwykle. Ale w trakcie rozmowy jakoś nagle dziwnie się ożywił, jakby nagła myśl zaświtała mu w głowie. Spoglądał przy tym co chwilę na Zosię, najstarszą Kowalównę. Nikt się niczego nie domyślił oprócz Bronki, która dobrze знаła te rozbiegane, pożądlive oczka. Proboszcz, stwierdzając jej najgorsze obawy, przy pożegnaniu z rodziną, przygarnął Zosię szczególnie mocno, zupełnie jakby chciał poznać jej kształty i jędrność ciała. Powiedział przy tym:

- Zosia się marnuje, kawalera jej trzeba. Toż to prawdziwa miss całej wsi.

Zarumieniona dziewczyna, która komplement słyszała średnio raz na rok, obdarzyła dobrodziejca

blógiem uśmiechem. Rzeczywiście była ładna, gdy się uśmiechała. Zaraz też pospieszyła zapewnić (ku przerażeniu matki), że nie ma żadnego chłopaka, bo - „...kto by ją tam chciał”. Lubiła tego człowieka jak mało kogo, wiedziała, ile mu zawdzięczają. Nie zdawała sobie sprawy, iż proboszcz dla pozoru wspomżenia najbiedniejszej rodziny we wsi, tak naprawdę ją wykorzystuje. Jej matka pracowała u niego za półdarmo, a w dodatku poniżała się, świadcząc usługi seksualne, z obawy utraty paru groszy na dzieci. Kiedy ksiądz Owczarek zniknął za węglem domu Kowalów, Bronka bez słowa uklękła przed obrazem i prosiła Boga o pomoc. Już ona czuła, co się święci..!

Tymczasem proboszcz obmyślał już swój szatański plan. Od jakiegoś czasu planował się ustatkować. Nie uśmiechały mu się częste zmiany parafii, a to była naturalna konsekwencja wywołania lokalnej afery obyczajowej, szczególnie na wsi. Jeśli nawet sprawa nie dochodzi do biskupa, z reguły sami proboszczowie decydują się na zmianę, gdyż całe duszpasterstwo dostaje wówczas w łeb; teren jest najzwyczajniej spalony. Dopóki ksiądz jest młody, przenoszenie się z parafii na parafię ma swoje dobre strony. Zawsze można zacząć wszystko od nowa, z czystym kontem. Poznaje się przy tym mnóstwo ciekawych ludzi, zdobywa doświadczenie itp. Jeśli jednak kapłan zbliża się do 50., ma jakieś większe ambicje zawodowe, typu: bogata parafia, tytuły kościelne; życzliwość władz, która zawsze popłaca; a nade wszystko pragnie spokojnie siedzieć w jednym miejscu i cieszyć się poważaniem ludzi -

musi zacząć dbać o swoją opinię.

Proboszcz Zygmunt zdawał się dojrzewać do takiej właśnie decyzji - musi się ustatkować! W jego mniemaniu oznaczało to związanie się z jedną kobietą, najlepiej młodą i ładną, którą nie trzeba będzie wymieniać na lepszą. Poza tym, taka dziewczyna musi być zupełnie od niego zależna, uległa jak niewolnica. Wśród duchownych krążą opowieści o

„wrednych dziwkach”, które odwracają się od swoich opiekunów, robiąc im nieźle koło dupy

- zazwyczaj wyciągają pieniądze za milczenie i na „bachory” albo... uciekają zniemacka z większą gotówką. Owczarek bał się tego jak ognia. On musi mieć bezwonną kurę plebanijną, czekającą na kiwnięcie swego pana. Do tej wizji przystawała Bronka, ale ona miała męża, swoje 38 lat i była już dokładnie „spenetrowana”. Co innego jej córka! Pasowała jak ulał do proboszczowskiego ideału gosposi - cicha, zahukana, wiejska dziewczucha, choć na swój sposób urodziwa. Proboszcz nie zamierzał jej zdobywać, niewolić czy zabiegać o jej względy.

Nie miał najmniejszej wątpliwości, że w jego sytuacji musi Zosię po prostu kupić, a w przypadku Kowalów suma nie powinna być wygórowana. Z natury był to człowiek praktyczny i wiedział czego chce od życia. Intuicja podpowiadała mu też często najlepsze rozwiązanie. Powziął zatem ostateczną decyzję i obmyślił plan działania.

Akurat skończyła się kolęda i Bronka wróciła do pracy. Po śniadaniu Owczarek zaprosił ją do salonu i wyciągnął prawdziwego „koniaka”. Wypili po jednym, a on zaczął

zagajać rozmowę. Pytał - jak się żyje rodzinie, czy Jan ciągle pije, co będzie z dziećmi jak dorosną - jaka czeka je przyszłość. Zatrószył się nawet o... marzenia Bronki. Był ciekawy, czego w życiu

żałuje, co by chciała zmienić; czego oszczędzić dzieciom, przez co sama przeszła. Robił wrażenie naprawdę zatroskanego. Obiecał opiekować się całą rodziną, jeszcze bardziej niż do tej pory. Uczynił z siebie jedyne go zbawiciela Kowalów:

- Dobrze wiesz, że beze mnie nie dacie sobie rady. Dzieci dorosną; kto je wykarmi, ubierze? Jan pije, ty nie dasz rady, bo i z czego - z tych marnych paru hektarów. Musicie się mnie trzymać, a jak nie - to wyzdychacie wszyscy jak psy.

Proboszcz w miarę jak mówił, coraz bardziej utwierdzał również sam siebie, że te szaraki bez niego wyzdychają z głodu. Trochę się jednak zagalopował i Bronka - która swoim zwyczajem wcale się nie odzywała - zaczęła szlochać nad swoim losem. Owczarek szybko ją udobruchał zapewniając, że póki żyje żadna krzywda nie spotka jej rodzinę. Bronka mogła mieć do tej chwili jakieś wątpliwości co do jego ukrytych zamiarów, ale on szybko je rozwiął:

- Słuchaj Bronuś, pozwól mi się zaopiekować twoją Zosią. Nie mogę patrzeć, jak ta dziewczyna się marnuje. Ty powinnaś być w domu przy dzieciach, zamiast niej. Ona haruje ponad siły. Co ona ma z życia? Ja bym ją wziął do siebie na stałe, jak córkę. Będzie trochę pracować na plebanii, ale tylko trochę. Nie skrzywdzę jej, Bronuś! A jak kiedyś umrę, to jej wszystko zapiszę; młoda jest, życie przed nią. Chyba nie chcesz, żeby tak jak ty - w biedzie i z pijanym chłopem się męczyła. Dam ci na miesiąc tyle, co do tej pory zarabiałaś, a Zosia będzie miała u mnie jak w niebie!

Bronka słuchała jak oniemiała. Na początku chciała wstać, walnąć plebana w łeb i iść do domu. Jednak w miarę jak otwierał jej oczy, porażała ją siła jego argumentów. Znowu zaczęła szlochać. Jej życie było beznadziejne i taki sam los gotowała swoim dzieciom. Nie zdawała sobie sprawy, że proboszcz zręcznie ją omamił i celowo zdołował, ale taka była przecież prawda! On miał rację! Czy może jednak swoje własne dziecko wydać na pastwę tego świntucha!? Po trzykroć NIE!!!

Wstała, otarła łzy i zbierając się do wyjścia, powiedziała tak głośno i zdecydowanie, że sama przestraszyła się swojego głosu:

- Moja córka nie będzie za dziwkę dla księdza. Może my i biedni, ale mamy swój honor!

Owczarek na chwilę oniemiał, jednak zaraz począł ją przeproszać i prostować wszystko, co do tej pory powiedział:

- Nie za dziwkę, Broniu! Ona będzie dla mnie jak żona! Wiesz przecież, że księża się nie żenią, bo im nie wolno. Zosia będzie wielką panią, tyle że bez ślubu. Ja ją będę kochał i szanował jak własną żonę; majątek jej zapiszę, rodzeństwu kiedyś pomoże. Wszystko zostanie między nami. A jak będzie dobrze, to zapomnicie już teraz co to bieda. Żony mi potrzeba, a nie dziwki, nawet ją nie zdradzę...! Chcę się ustatkować, już dość mam dziwek i ludzkiej obmowy.

Ostatnie słowa proboszcza zabrzmiały szczerze i Bronka znowu zwątpiła. Resztką dumy kazała jej wyjść i trzasnąć drzwiami, ale schowała tylko twarz w dłoniach i powiedziała cicho - pomyślę, pomyślę.

Nie spała całą noc. Jakże żałowała, że nie ma nikogo przed kim mogłaby się zwierzyć, wyzalić,

poradzić. Jej mąż włóczył się gdzieś, na pewno pijany, jak zwykle. Odkąd pracowała na plebanii, upijał się częściej niż zwykle. Parę groszy od proboszcza nie zawsze mogła przeznaczyć na dom. Okaż raz Jan pobił ją i wyciągnął ostatnie pożytek z mężczyzny, któremu ślubowała przed ołtarzem! Naprawdę, nie chciała, żeby jej dzieci przechodziły za życia takie piekło, jak ona przeszła. Ale co zrobić - uwierzyć proboszczowi? Czy on może uratować jej dzieci przed biedą!? Nie wiadomo, ale jeśli nie on - najważniejsza i bez wątpienia najbogatsza osoba w okolicy - to kto!? Znikąd nie było pomocy dla Kowalów. Od biednej rodziny nawet bliscy się odsunęli. Każdy współczuł niedostatku, męża pijaka, że tyle dzieci; czasem ktoś coś dał, opieka społeczna poratowała. Ale wszystko zniknęło zaraz w gardłach siódemki maluchów, które przecież rosły. Kto im zapewni jako taką przyszłość?

Bronka nie chciała nic dla siebie - no, może jakiś wygodny, ciepły kąt na starość u jakiegoś dziecka. Tymczasem wyglądało na to, że wszystkie zostaną przy matce. No bo to - ani pieniędzy nie ma, ani wykształcenia, żeby do ludzi posłać. Kogo wyżywi te 6 hektarów piachu i ojciec alkoholik? Może ten proboszcz w porządku się okaże? Przecież to kapłan -

uczona, duchowna osoba.!

Rano zasnęła i nie poszła na plebanię. Zrobiła dzieciom śniadanie, oprzątnęła drób i świnię. Zosia była zaskoczona, że matka wszystko robi za nią.

- Co mamuś, proboszcz cię wyrzucił? - zapytała.

- To nie dla ciebie robota córuś. Jak się zagrzebiesz w tym brudzie i świniach, to już nie dasz rady nic zmienić. Ty na lepsze życie zasłużyłaś! - prawiała Bronka.

- Co ci mama, co ty mówisz? Każde z nas zasłużyło i co z tego, co mamy zrobić?

Powiesić się? Co ci się tak zebrało na przemowy?

Matka - coraz bardziej wzruszona - wzięła córkę za rękę i bez słowa poprowadziła za dom, na pole. Po drodze opowiadała to, co usłyszała od proboszcza i co sama sobie umyśliła.

Zataiła tylko dwie, za to najważniejsze rzeczy. Nie wspomniała nic o swoich „przygodach” z księdzem i do czego jest mu tak naprawdę potrzebna Zosia. Dziewczynie od razu spodobał się pomysł pójścia pod opiekę proboszcza. Była jeszcze bardzo naiwna. Obawiała się tylko, jak sobie bez niej poradzą w domu, czy może odwiedzać bliskich i czy to się będzie opłacać.

Uspokojona, nie rozumiała nawet matczyne smutku. Od dawna marzyła o jakiejś odmianie losu, a zostanie przybraną córką samego proboszcza bardzo ją nobilitowało. Sama zmiana miejsca zamieszkania - z brudnej i ciasnej chaty, na proboszczowskie salony - mogła przyprawić o zawrót głowy. Poza tym lubiła tego wesołego księdza, który tyle dobrego zrobił

dla jej rodziny. Każde jego odwiedziny były jak promienie słońca na ciągle pochmurnym niebie Kowalowych dzieci. Zosia miała dziewiętnaście lat i pragnęła z całego serca wyrwać się z mrocznej chałupy na świat. Pragnęła żyć, a ten wspomniały, mądry człowiek - ksiądz! -

dawał jej być może jedyną szansę na prawdziwe, godne życie!

Wieczorem Bronka poszła na plebanię i ze spuszczoną głową, niepewnym głosem, oznajmiła dobrą nowinę dobrodziejowi:

- Zgodziłam się ja i córka, ale pod kilkoma warunkami. Przede wszystkim ksiądz proboszcz zrobi od razu zapis na Zosię, że wszystko po nim odziedziczy. Ona, jak by jej źle było, może zawsze do domu wrócić. Proboszcz nic na niej wymuszać nie będzie, jeno po dobroci musi się na wszystko godzić. Te pieniądze... co to ksiądz mówił, to nam da. ale jakby można... za trzy miesiące z góry.

Co do zapisu, nie było żadnego problemu. Ksiądz Zygmunt wiedział doskonale, że po jego śmierci kuria biskupia i tak skonfiskuje wszystko, czego nie uda się uratować najbliższej rodzinie. Tym sposobem mógł zapisać Zosi nawet wieżę Eiffla. Pozostałe warunki również nie stanowiły problemu; słowo się rzekło - dziewczyna u płota... Pleban postawił flaszkę na dobiecie targu, a Bronka nie broniła jak lał kolejki. Wódka złagodziła jej stres. Nie broniła mu także, gdy podochocony gorzałką rozpiął jej stanik i zatopił twarz w puszystych piersiach.

Reszta poszła gładko. Po wszystkim Bronka powiedziała rzeczowo, aż sama się złękła swojej szczerości:

- Jak Zosia będzie czasem oporna, to niech ksiądz da przez nią znać, żebym przyszła..., a niech ją nie przymusza.

Na drugi dzień wieczorem dwie kobiety szykowały pożegnalno - zapoznawczą kolację na plebani. Wcześniej Zosia zaniósła swój tobolek do małego pokoju, przylegającego do sypialni proboszcza. Bronka była tego wieczora bardzo spięta i nerwowa. Ręce jej się trzęsły, a do rozmowy prawie się nie włączała. Na odświeżenie spodnie Zygmunta wylała cały dzbanek herbaty. On natomiast, jak nietrudno zgadnąć, był w świetnym humorze. Wygolony i wypachniony - uwijał się niczym kogut w kurniku. Chciał nawet... zmywać po kolacji. W

niemal równie dobrym nastroju była Zosia, choć na jej młodej buzi było raczej widać wzruszenie niż radość. Wiedziała, że zaczyna nowe życie. Wiązała z nim dla siebie wiele nowych nadziei. Ten wspaniały człowiek, który bierze ją pod swoją opiekę obiecał, iż zapewni jej godne utrzymanie, start w dorosłe życie; mówił o zagranicznych podróżach, które razem odbędą. Choć nic nie wspomniał o dalszym kształceniu, Zosia miała cichą nadzieję, że uda jej się skończyć szkołę średnią, zdobędzie pracę, spotka fajnego chłopca, założy rodzinę...

Odprowadziła mamę prawie do samego domu. Po drodze obie prawie się nie odzywały. Były poważne i skupione, gdyż wiedziały, że ten wieczór rozpocznie następny etap w ich życiu i wzajemnych relacjach. Każda rozumiała to na swój sposób, ale tylko matka mogła przewidzieć, co może się naprawdę wydarzyć. Kiedy było już widać skromne zabudowania Kowalów, kobiety padły sobie w ramiona, a Bronka ze łzami w oczach powiedziała:

- Jak ci będzie córuś bardzo źle, jak nie będziesz mogła wytrzymać - wracaj do domu.

Jaki on jest, taki jest, ale miejsce tu dla ciebie będzie zawsze.

- Mamo, nie martw się, będzie mi dobrze. Proboszcz taki dobry człowiek, tyle dla nas zrobił! Może to dla mnie jedyna szansa, żeby być w życiu kimś. A my zobaczymy się może już jutro, przecież nigdzie nie wyjeżdżam.

Zosia mówiła z tak wielkim przekonaniem i wyczuwalnym w głosie entuzjazmem, że Bronka przygryzła tylko wargi i nic już więcej nie powiedziała. Na końcu języka miała ostatnie ostrzeżenie. Biła się z myślami - z jednej strony powinna przygotować córkę na to, co ją spotka, ale nie potrafiła. Zdała się na opatrzność. Idąc samotnie do domu powtarzała ze łzami w oczach - Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z tobą...

Dziewczyna tymczasem wróciła na plebanię. Ksiądz proboszcz czekał na nią... w szlafroku, siedząc przed telewizorem. Sączył koniak i bardzo nalegał, żeby i Zosia spróbowała. Miała uraz do alkoholu i wzbierała się dość długo, ale opiekun był dziwnie nieustępliwy. Przekonywał, że to wyjątkowa okazja i więcej się nie powtórzy, że trzeba wypić za pomyślność ich wspólnego życia we dwoje. W końcu napiła się raz i drugi... i trzeci. Nie smakowało jej, poczuła się jednak dziwnie błogo. Proboszczowi właśnie o to chodziło. Sam będąc po paru głębszych, zaczął puszczać wodze fantazji - jak to im będzie razem dobrze, jakie to sielankowe życie czeka teraz Zosię.

- Będiesz żyła jak królewna z bajki, niczego ci nie zabraknie! Wynagrodzę ci całą biedę i niedolę, kwiatuszku mój najśłodszy...

To mówiąc, coraz bardziej przystawiał się do dziewczyny, chcąc zapewne oswoić ją z bliskością mężczyzny. Przytulał ją „po ojcowsku”, gładził po jasnych jak młode sianko włosach i wychudzonej buzi.

- Kwiatuszku mój, córeczko moja - powtarzał.

Wychylił ostatni łyk napitku i niemal zmusił do tego samego | dziewczynę, która i tak miała już nieźle w czubie. Poszli na górę.

Ksiądz Zygmunt pod błahym pretekstem kazał jej wejść najpierw do swojej sypialni.

Kiedy już się tam znaleźli, usadził ją na łóżku i powiedział odkrywczco:

- Zosiu, ty jesteś już dorosłą kobietą. Wiesz, co robią kobiety z mężczyznami?

Widząc zdziwiony, mętny wzrok dziewczyny, nie czekał już nawet na odpowiedź, tylko napał na nią swoim cielskiem. Zosia była kompletnie zaskoczona i zszokowana.

Oczywiście wiedziała „...co kobiety robią z mężczyznami”, ale do głowy jej nie przyszło, że ona ma to teraz robić i to z człowiekiem, którego traktowała w zupełnie inny sposób, na zupełnie innej płaszczyźnie. To wszystko sprawiło, iż była jak sparaliżowana. Dodatkowo alkohol, którego nigdy wcześniej nie piła, omamił ją i spowolnił reakcje. Kiedy dotarło do niej - co tak naprawdę się dzieje - nie miała już żadnych szans obrony. Była rozebrana od pasa w dół, a proboszcz leżał między jej nogami. Nie wszedł w nią od razu. Sycił się młodym ciałem, sapiąc przy tym i mlaskając, jak przy długo oczekiwanej, wykwintnej uczcie.

Szerokimi dłońmi rozgniół jej drobne jak brzoskwinie piersi Zosia zaczęła w końcu nerwowo i chaotycznie się bronić. Na jego westchnienia odpowiadała urywanymi, tłumionymi strachem okrzykami:

- Nie! Nie chcę! Nie można! Nie wolno tego robić! Ksiądz proboszcz się upił! -

odpychała go z całych sił.

Robiła to jednak bez większego przekonania. Była zupełnie ogłupiona całą tą sytuacją.

Przez myśl przeszło jej nawet, że może to normalne, co ją spotyka, bo przecież słyszała o dziewczynach w jej wieku, które robiły to przed ślubem. Kiedyś ojciec wypłoszył taką parę golasów z żyta. Ale to zwykle działo się pomiędzy rówieśnikami, a tu ona z proboszczem..., w dodatku starszym od niej o prawie 30 lat! Poza tymi oczywistymi wątpliwościami i skrupułami, po prostu bała się gwałtownie zareagować. Swoją kobiecą intuicją czuła wyraźnie, że może zupełnie... zrazić do siebie człowieka, z którym ciągle wiązała tyle nadziei. On tymczasem zupełnie kontrolował sytuację. Słyszając ostatnie zdanie, ciągle ją głaszcząc, pozwolił sobie nawet na kilka rzeczowych pouczeń:

- Nie upiłem się, Zosiu, Chcę się z tobą kochać, jak mężczyzna z kobietą. Ta noc jest twoją... nocą poślubną. Będziemy od tej pory żyli jak mąż z żoną. Szkoda by cię było dla jakiegoś pijanego wieśniaka, a innego nie znajdziesz, bo jesteś biedna. Wolisz do końca życia

- jak twoja matka - rodzić dzieci jakiemuś śmierdzącemu gnojem pijanicy i oprzątać jego świnie, czy być u mnie panią, gospodynią, zupełnie jakby... moją żoną!?

Zosia słuchała oniemiała i już zgłupiała do reszty.

- Ale przecież księżom nie wolno... - wyjąkała tylko niepewnie.

- Mnie wszystko wolno! - powiedział z przekonaniem proboszcz i - jakby na potwierdzenie tych słów - naparł członkiem na krocze dziewczyny. Jej krzyk bólu zlał się z krzykiem tryumfu mężczyzny, który zdobył upragnioną twierdzą. Zosia zaczęła szlochać i pojękiwać, zagryzając przy tym wargi do krwi. Skończył po kilku minutach. Położył się na boku i ciągle jeszcze sapiąc powiedział:

- Pierwszy raz zawsze boli. Za dzień, dwa wszystko się wygoi i sama zaczniesz tego chcieć, zobaczysz. A wiesz, gdzie pojedziemy jutro? Pojedziemy samochodem do Kielc!

Musimy cię okupić. Wystroisz się jak królowa. Jak będziesz chciała, to pójdziemy do kina.

Zjemy obiad w restauracji Pewnie jeszcze nie byłaś w restauracji, co? - zapytał, przygarniając dziewczynę.

Zosia tylko przecząco pokręciła głową. Czuła zupełną pustkę. Chciała zasnąć, aby choć w taki sposób uciec z tego miejsca i od tego człowieka.

- Chce mi się spać - wyszeptała, wykręcając się na bok.

- Zaraz się wyśpisz, jeszcze tylko raz... - zdecydował ksiądz Zygmunt i zaczął ściągać z niej resztę ubrania.

- Nie chcę, boli mnie! Nie chcę! - Zosia tym razem zdecydowanie się postawiła.

- Nie broń się, koteczku. Nie broń się... i tak nie dasz rady - śmiał się Zygmunt, wykręcając jej rękę i zdzierając haleczkę.

- Nie wiesz, że ksiądz może po kilka razy, każdej nocy? A to dlatego, że się nie ruchał

w seminarium! - uświadomił ją, wyraźnie rozbawiony jej oporem. Pomagając sobie ręką, wszedł w nią i męczył tym razem dobry kwadrans. Zosia już tylko głośno łkała. Kiedy było wreszcie po wszystkim - ułożył nagą dziewczynę przed sobą na boku, obłapił ciężką ręką, po czym przylgnął do niej wielkim brzuchem i lędźwiami. Oboje szybko zasnęli. W taki oto sposób ksiądz proboszcz Zygmunt Owczarek zakończył pracowity dzień pański - niedzielę.

Pani Bronisława, która mi to wszystko opowiedziała twierdzi, że - tego dnia było chyba w Ewangelii... coś o pożądliwym patrzeniu na kobiety..."

Następnego dnia obudzili się niemal równocześnie, ale Zosia bojąc się „powtórki z rozrywki” udawała, że śpi. Zygmunt wstał i szybko się ubrał. Miał rano, jak zwykle, mszę i kwadrans w kancelarii. Kiedy wyszedł z plebanii, zamykając za sobą dokładnie drzwi, do Zosi po raz pierwszy dotarło, co tak naprawdę stało się minionego dnia i nocy. Przede wszystkim wydarzyło się bardzo wiele - opuściła dom rodzinny, straciła dziewictwo z własnym proboszczem, a przy okazji dowiedziała się, że księża też robią takie rzeczy. To wszystko było jak zły sen, ale... przebudzenie okazało się nawet przyjemne. Wokoło nie było szarych, zawilgoconych ścian. Z wygodnego łóżka patrzyła na przepych proboszczowskiej sypialni. Wszystko było tu solidne, eleganckie, drogie. Nikt nie krzyczał, że trzeba wstać -

nakarmić świnię, krowę i kury. Ubrać i nakarmić rodzeństwo; a później cały dzień wysłuchiwanie płaczu, krzyków; zmagania się z niedostatkiem, brudem i brakiem nadziei na jakąkolwiek zmianę. Wieczorem, kiedy jej rówieśniczki siadywały z rodziną przed telewizorami albo wychodziły ładnie ubrane na spacer z chłopakami, ona w śmierzących gnojem szmatach siedziała w obrzydłej, starej chacie i biła się z myślami - czy też ojciec przyjdzie dzisiaj trzeźwy, czy pijany?

Usiadła na łóżku; gołe stopy dotknęły miękkiego i ciepłego dywanu. Nogi powyżej kolan miała pozlepiane krwią, ale bólu już prawie nie czuła. Spojrzała na zegarek.

- Zaraz przyjdzie proboszcz, muszę się szybko umyć i przyszykować śniadanie, dzisiaj jedziemy na zakupy - pomyślała Zosia i zaczęła się krzątać po swoim nowym domu.

Postawa dziewczyny może kogoś zgorszyć albo napawać niesmakiem, ale jeśli ktoś nie zaznał w życiu prawdziwej biedy - tak jak ona - nigdy nie zrozumie, że godność można dość łatwo wymienić na godne życie. Zresztą, Zosia w głębi duszy nie zrezygnowała ze swoich marzeń i ambicji. Po pierwszej nocy pomyślała, iż - co się stało, to się nie odstanie i -

przynajmniej przez jakiś czas - tak musi pozostać. Tymczasem zaczęła sobie wyobrażać, że naprawdę... wzięła ślub z proboszczem. Postanowiła wobec tego być dobrą „żoną” i gospodynią, troszczyć się o „męża”, aby móc też zasłużyć na jego względy. Wkrótce miała się przekonać, że życie księżowskiej konkubiny nie należy do łatwych. Z pewnością głębokie uczucie dużo by tu pomogło, ale ona odczuwała w stosunku do księdza Zygmunta zaledwie cień dawnej wdzięczności. Za to ciągle darzyła go sympatią i szacunkiem, przede wszystkim z uwagi na jego wysoką pozycję społeczną, wiek oraz pieniądze, których - co trzeba przyznać

- nie żałował na młodą małżonkę. Tak jak obiecał, okupił ją od stóp do głów. Nie pozwolił

nawet jej się przepracowywać, gdy zaczęła robić na plebanii generalne porządki. Sądzić należy, iż ten normalny przecież mężczyzna, rzeczywiście potrzebował prawdziwej żony i prawdziwego domu. Co do kontaktów intymnych - również było coraz lepiej. On, po kilku dniach fascynacji młodym ciałem nowej partnerki, pozwalał jej na dłuższe chwile wytchnienia. Ona zaś powoli przyzwyczajała się i do tej sfery życia we dwoje. Zaczęła nawet czerpać z niej coraz większą przyjemność dla siebie. Miesiąc miodowy stawał się więc coraz bardziej słodki.

Zosia nie widziała matki już prawie tydzień. Ta zaś celowo nie zachodziła na plebanie, aby „młodzi” się wypróbowali. Tak naprawdę jednak dni i noce drżała cała na samą myśl - co też tam może się dziać. Córkę nurtowała zgoła inna wątpliwość - czy kontrakt mamy z proboszczem dotyczący jej osoby, przewidywał pracę w dzień... i w nocy? W miarę jak o tym myślała, coraz bardziej była przekonana, że jednak tak było. Musiała się jednak upewnić.

Poprosiła Zygmunta (tak pozwolił się nazywać, gdy byli sam na sam), aby w sobotę po południu pojechali razem do domu Kowalów. Zosia niewątpliwie chciała również zrobić wrażenie na rodzinie, jak to jej się teraz powodzi. Zajechali „fiacorem” na błotniste podwórko, a najstarsza Kowalówna, która jeszcze tydzień temu ganiała tu w gumowcach za kurami, wyszła w najmodniejszej, miastowej kreacji. Kowale całą rodziną wylegli przed chałupę i tak jak stali - wszyscy ze zdziwienia pootwierali usta. Był wśród nich, o dziwo, sam patriarcha rodu - Jan. Bronce najniżej opadła szczeka, ale też ona najszybciej się pozbierała i zaprosiła państwa do środka. Rozmowa się za bardzo nie kleiła, bo Kowalowa nijak nie mogła się do końca ochłonać. Proboszcz rozładował atmosferę wyjmując przywiezioną na tę okoliczność połówkę, szybko więc znalazł wspólny język ze starym. Zosia kiwnęła na mamę i obie wyszły pogadać za stodołę. Córka nie kryła przed matką niczego. Opowiedziała jej wszystko z najmniejszymi szczegółami, a na koniec spojrzała głęboko w matczyne oczy i oznajmiła:

- Ja sobie nie krzywduję, jestem zadowolona, mówię tak jak jest, ale i ty powiedz mi szczerze, czy wiedziałas, że on będzie mnie ciągnął do łóżka? Ustaliliście to między sobą?

Tak miało być?

Bronka się nie wypierała, tłumaczyła tylko, że nie chciała jej zawczasu płoszyć, bo uznała, iż tak będzie lepiej i... jak się okazało - miała rację. Rozmawiały jeszcze trochę o tym i owym, już w lepszych nastrojach, po czym wróciły do domu. Pani Bronka pamięta jeszcze tylko tyle, iż miała wówczas uczucie pewnego żalu do córki, iż tak łatwo dała się oswoić proboszczowi; nigdy jednak jej tego nie wypominała.

Kiedy minął „miesiąc miodowy”, wraz z nim stopniowo mijała Zosi fascynacja nowym stylem życia. Co prawda na co dzień jadła teraz, jak dawniej od wielkiego święta, ubierała się niczym królowa, obracała w przepychu, jakiego wcześniej nawet nie widziała.

Cóż i tego” skoro - poza wizytą u rodziny - prawie nikt jej nie widział w nowych ubraniach, nie prawil komplementów, nie... zazdrościł Nawet jej Zygmunt już tak nie szalał za nią jak na samym początku; częściej skarcił za to czy owo, czasem krzyknął, ale w sumie nie mogła na niego narzekać. W kolejnych rozmowach z matką wyrażała się o nim w samych superlatywach. Pewnego dnia powiedziała nawet, że chyba mogłaby go pokochać jak prawdziwego męża. Jednocześnie zaczęła coraz częściej uzalać się na sposób życia, jaki przyszło jej prowadzić. Właściwie żyła tylko dla proboszcza, który zastępował jej rodziców, męża, rówieśników, wszystkich. To akurat jeszcze tak bardzo jej nie doskwierało. Jednak im bardziej się do niego przywiązywała i zarazem uzależniała, tym bardziej chciała wyjść z ram gosposi i służącej. Ksiądz Zygmunt przyjmował dość często różnych gości - księży oraz świeckich znajomych i przyjaciół. Nie pozwalał jej wówczas przebywać w towarzystwie, bo -

jak tłumaczył - nie wypadało, żeby gosposia siedziała u jego boku. Wtedy robiła tylko za kucharkę i kelnerkę. Odniosła nawet wrażenie, że proboszcz wstydził się tak młodej „laski” na plebanii.

Wieś naturalnie wiedziała o nowym nabytku proboszcza, ale tu zdania były podzielone. Jedni odbierali to jednoznacznie - „pleban ma młodą dupę”; inni, fakt zatrudnienia Zosi przypisywali dobremu sercu dobrodzieja. Jako się rzekło - nikt przecież nie był materacem. Dziewczyna mogła więc pójść do sklepu czy kościoła, ale rejestrowała przy tych okazjach wiele dwuznacznych uśmiezków pod swoim adresem. Wolne chwile spędzała zatem najczęściej przed telewizorem; przecież jednak i ten nowy dla niej wynalazek nie mógł

zastąpić normalnego życia. Na takim to połowicznym szczęściu minęły Zosi dwa lata pobytu na plebanii.

Ksiądz Zygmunt skończył już 50. i ustatkował się jak obiecał, a przynajmniej ona nie zauważyła żadnych przejawów zdrady z jego strony. Przepadał co prawda nieraz na parę dni, nie śmiała się jednak pytać, gdzie i z kim, jeśli sam jej nie powiedział. Pożycie łóżkowe układało się harmonijnie. Zosia stosowała regularnie tabletki antykoncepcyjne, które wcześniej przetestowała jej mama. I tutaj dochodzimy do punktu zwrotnego w całej historii.

Otóż wszystko, co jest materią i wymysłem ludzkim jest ze swej natury zawodne.

Pewnego dnia Zosia, która w ciągu ostatnich dwóch lat przybrała bardzo widocznie na wadze stwierdziła, że sam brzuch rośnie jej trochę za szybko. Od pewnego czasu zaczęła odczuwać bóle podbrzusza, które jednak przypisywała swojemu obżarstwu. Nietrudno się domyślić, iż była w ciąży. Kiedy zwróciła się z taką sugestią do proboszcza, ten wykpił ją i kazał przejść na dietę, gdyż w przeciwnym razie szybko upodobni się do swojej matki. To ją trochę uspokoiło. Nie miała również - normalnych w przypadku ciąży - nudności i wymiotów.

Jednak bolesne klucia w podbrzuszu nie ustępowały. Po którejś z kolei nie przespanej nocy, troskliwy „mąż” zawiózł ją do miasta na badanie. Diagnoza była jednoznaczna - mniej więcej środek

czwartego miesiąca ciąży! Ksiądz Zygmunt zrobił się czerwony; jak burak. Chyba pierwszy raz w życiu zaczął się jąkać, a oczy rozbiegły mu się po czterech kątach gabinetu.

Podziękował... znajomemu lekarzowi i wychodząc - tak, by tamten słyszał - ofuknął

dziewczynę w stylu - z kim się puściłaś, ty dziwko!

Przez całą drogę powrotną nie odezwał się ani słowem. Po wejściu na plebanie wparował w brudnych butach do salonu, otworzył barek i zrobił sobie drinka w szklanie od piwa. Wypalił bez słowa papierosa, podpalił drugiego i powiedział:

- Musimy tę ciążę usunąć! Nie ma rady. Załatwię ci zabieg w najlepszym szpitalu.

Chwila strachu i po bólu; zapomnimy o wszystkim. Bóg mi świadkiem, że tego nie chciałem, ale cóż - przytrafiło się i n i e m a r a d y !

Zosia, przywykła do przytakiwania swemu panu i władcy, tym razem jednak spuściła tylko wzrok i nic nie odpowiedziała. Po dłuższej chwili bąknęła niepewnie:

- A nie możemy mieć tego dziecka?

- Zosiu, ja jestem księdzem! Nie mogę trzymać na plebanii żadnych dzieci! Nie rozumiesz tego!? T o n i e m o ż l i w e !

- Ale to również moje dziecko! Pozwól, że przynajmniej to przemyślę!

Ksiądz Zygmunt popatrzył zdumiony na Zosię, która podniesionym głosem, po raz pierwszy zaznaczyła swoją obecność w jego życiu.

- Dobrze, maleńka. Wiem, że to dla ciebie trudna decyzja. Chodźmy teraz spać, a jutro porozmawiamy - zakończył i wychylił drinka.

Zosia nie zmrużyła oka tej nocy. Zawsze chciała mieć dzieci. Wychowując się w gromadce berbeciów, mimo wielu niedogodności takiego życia, nie wyobrażała sobie małżeństwa bez dzieci. Po dwóch latach z Zygmuntem dotarło do niej, iż jest od niego w pełni zależna i skazana wyłącznie na niego. Nie może liczyć na żadne inne, normalni małżeństwo, bo niby z kim - skoro nawet nie miała okazji nikogo odpowiedniego spotykać?

Pogodziła się z tym. Oddała się cała temu człowiekowi! Ale do tego wieczora nie zdawała sobie sprawy, że nie może mieć dzieci! Coraz bardziej utwierdzała się w mocnym postanowieniu:

- Mogę żyć bez luksusów, mogę być służącą, pomiotłem - ale żeby nigdy w życiu nie mieć dziecka!?! Co to, to NIE!!!

- I co? Zapytał proboszcz, po zjedzonym w milczeniu śniadaniu.

- Nic. Idę porozmawiać z mamą.

- Nie waż się mówić o tym nikomu! To sprawa pomiędzy tobą i mną!

Zagrzmiał ksiądz Zygmunt. Wstał gwałtownie od stołu i stanął przed nią, jakby chciał zagrozić jej drogę.

- Zostaw mnie! Nie zabiję swojego dziecka!

Zosia wyrwała pochwyconą w uścisku rękę i wybiegła z płaczem na podwórko plebanii. Wsiadła na rower i po kilkunastu minutach zapukała do rodzinnego domu. Bronka słuchała córkę jak porażona prądem. Była zdruzgotana.

- Co ty teraz zrobisz, córuś? Co my teraz zrobimy?! - zaczęła zawodzić.

- Jak to co!? Urodzę to dziecko, a on będzie się musiał z tym pogodzić! Co ja jestem - jaka kurwa!? Rzecz do rozporządzania!?

Jeszcze tego samego dnia, wieczorem ksiądz Zygmunt zajechał do Kowalów. Tym razem jednak miał przeciwko sobie już dwie zdeterminowane kobiety.

- Nie może ksiądz proboszcz tego Zosi nakazać! Nie może! Ona tego i tak nie zrobi, jużem z nią gadała. Takie jej prawo - dziecko mieć!

Bronka stała twardo za pierworodną. Proboszcz próbował jeszcze paktować:

- Niech jedzie ze mną, to z nią spokojnie porozmawiam.

- Nie pojedzie, bo się proboszcza boi. Niech się zgodzi na dziecko, to z nim pojedzie.

- Jak ja mam się kobieto zgodzić!? Co, mam razem z nią i z tym dzieckiem pod most iść!?

- Jak nie chce dziecka, to niech płaci na dziecko! Zosia se w życiu poradzi, a zabijać nie będzie!

Dobrodziej zaniemówił. Upewnił się jeszcze, czy to ich ostatnie słowo, po czym wsiadł z hukiem do fiata i pojechał. Czekał przez kilka dni - zapewne z nadzieją, że baby pójda po rozum do głowy i same przyznają mu rację. One tymczasem postanowiły postawić na swoim za wszelką cenę.

- Nie po to cię oddawałam temu padalcowi w sutannie, żeby ci kazał teraz własne dziecko zabijać! - Bronka podbudowywała córkę.

Dzisiaj już nie jest tego taka pewna:

„Gdybym wiedziała, że tak się to skończy! Gdybym wiedziała! Czułam winę na sobie, że ją tam posłałam - na rozpustę, na zatracenie, to i nie chciałam się jej przeciwiać. Bo to nie mogli my żyć jak przystało na porządnym ludzi. Zbytków się zachciało! Proboszczowego majątku! Trza było wtenczas się z nim zgodzić, a dziewczyna niech by od niego odeszła i życia nie marnowała!”

Jednak dwadzieścia lat temu sama czuła się wykorzystana przez proboszcza, a kiedy w dodatku chciał skrzywdzić jej córkę - nie popuściła! Mało tego - utwierdzała Zosię w raz podjętej decyzji.

Spróbujmy na chwilę wejść w skórę księdza Zygmunta. Rzeczywiście, dziecko w jego przypadku nie wchodziło w grę. Miał za sobą opinię wiejskiego podrywacza i kilka parafii

„spalonych”, jeśli chodzi o te sprawy. Jeśli nawet przeszedłby na kolejną placówkę - byłby to zapewne wygwizdów jakich mało. Trudno by mu było co miesiąc wyskrobać na alimenty dla Zosinego dziecka. Nie dopuszczał do siebie myśli, że to jego potomek. Nie mógł sobie na to pozwolić! To oznaczało jego koniec! Postanowił dać na przeczekanie. Mijały jednak kolejne dni, a Zosi i Bronki ani widu. W końcu stracił wszelką nadzieję na polubowne załatwienie sprawy. Wzburzony zajechał do Kowalów, rozgonił dzieciaków i wparował do chałupy.

- Bronka, Zośka, chodźcie do samochodu, musimy pogadać!

- My ta ni mamy o czym gadać, jestyma u siebie, niech proboszcz mówi - odparowała Bronka.

- Co wy ode mnie chcecie, pieniędzy chcecie? Niech tylko Zosia się zgodzi na ten zabieg, a dam wam ile trzeba. Ozłocę was, ludzie! Zlitujcie się nade mną! - rozłożył ręce w teatralnym geście. - Jak wy to sobie wyobrażacie, to dziecko?! Gdzie ma się chować?! U

mnie, na plebanii?!

- Może się i tutaj chować, a ksiądz będzie płacił jak przystało, za swoje - twardo oznajmiła Zosia.

- Co wy, kurwa mać, myślicie, że ludzie się nie dowiedzą, że nie zmiarkują czyje to dziecko. Zaraz do biskupa napiszą, a ja pójdę stąd na wygnanie!?

- To i tak musi płacić, tu czy na innej parafii. My dziecka nie damy na zmarnowanie - skwitowała Bronka.

- Ja na skrobankę nie pójdę, choćby nie wiem co! - zawtórowała jej Zosia.

- A ja płacił nie będę! Ja was, kurwa, zniszczę, tylko komu co powiecie. Czekaście no, całą waszą rodzinę zniszczę! Łby wam każę poukręcać, jak mnie wydacie! - odgrażał się proboszcz.

Miał być może cichą nadzieję, że skutecznie wystraszył kobiety, ale srodze się zawiódł. Zosia z matką wcale się go nie bały. Na wszelki wypadek jednak - gdyby proboszcz dotrzymał słowa - postanowiły, iż zawczasu opowiedzą wszystko jednej z zaufanych sąsiadek Z pewnością kobieta starała się jak mogła, ale taka rewelacja musiała ją palić w dzień i w nocy. Skutkiem tego, po kilku dniach cała wieś trzymała w zaufaniu tajemnicę Kowalów.

Bronka stwierdziła, że to i może nawet dobrze:

- Bo jak go cała wieś przyciśnie, to prędzej zmięknie. Dzisiaj nie potrafi powiedzieć, o co jej tak dokładnie chodziło... Podobno Zosia także wtedy nie wiedziała, czego właściwie oczekuje od

proboszcza. Obie były na niego z całą pewnością bardzo wkurzone, za sposób, w jaki je potraktował już wcześniej. Teraz nadeszła pora na odreagowanie. Po niewczasie odezwała się w nich obu urażona duma za seksualne wykorzystanie i wszelkie poniżenia. Tak, jakby same się na wszystko nie godziły. Cóż, uparły się „baby”, że nie odpuszczą proboszczowi i koniec. Z pewnością chodziło również o pieniądze. Skoro nie chciał płacić po dobroci, zapłaci pod presją ludzi czy sądu. Niestety, rozgłaszając wszystko po wsi, odcięły tym samym możliwość polubownego załatwienia sprawy z księdzem Zygmuntem. Nie dbały jednak o to. Były tak głupio zacietrzewione, że gdyby wtedy przyszedł do nich, do chałupy, padł przed Zosią na kolana i prosił o rękę - to kto wie, czy by go nie wyrzuciły za drzwi. Po prostu same nie wiedziały już czego chcą.

Gdyby na spokojnie podejść do problemu, z pewnością znalazłoby się jakieś sensowne rozwiązanie. Proboszcz - przyciśnięty do muru - może by się zgodził wynająć Zosi pokój w mieście, gdzie doczekałaby w spokoju rozwiązania. Przecież on bał się przede wszystkim skandalu. Dziecko można było później przypisać i podrzucić Bronce, a ojciec byłożył na jego utrzymanie. Tak się załatwia podobne sprawy w sposób cywilizowany. Głupi przymus celibatu zmusza poważnych ludzi do zabawy w partyzantkę, ale też i do mądrych rozwiązań.

Ksiądz Zygmunt nie mógł dłużej znieść ludzkiej obmowy i zawiści. Doszło do tego, że ludzie nie chcieli od niego przyjmować Komunii. Nie wiadomo, czy sam poprosił o przeniesienie na inną placówkę, czy też pomogła mu w tym petycja do biskupa podpisana przez parafian. Z pewnością jego ordynariusz wiedział jednak o wszystkim, gdyż nasz bohater wylądował na kompletnym zadupiu. Biskup prawdopodobnie zobowiązał go też do płacenia na dziecko, bo wkrótce po narodzinach Marka przyszedł do Kowalów przekaz na niewielką kwotę. Dziecko urodziło się zdrowe i zdecydowanie podobne do ojca (szkoda, że Kowale nie robili zdjęć). Ochrzczył je nowy proboszcz, podobno... pederasta.

Przekazy od księdza Zygmunta przychodziły nieregularnie i na coraz mniejsze kwoty.

W końcu w ogóle przestały przychodzić. Nie wiadomo dlaczego Zosia - zamiast założyć sprawę o przyznanie alimentów - odszukała Zygmunta i zaczęła sama jeździć do jego nowej parafii. Pani Bronisława nic na ten temat nie chce powiedzieć. Prawda mogła być taka, że dziewczyna „ułożyła” się z byłym „mężem” i opłacało jej się jeździć samej... Któregoś wieczora przyjechała jednak bardzo zła i od progu oznajmiła matce:

- Zygmunt nie będzie więcej płacił, choćby miał iść do więzienia! Tak mi powiedział!

Rozpił się zupełnie. Mówi, że nie ma już żadnych pieniędzy, że to wszystko przez nas - całe jego życie stracone, kariera, tyle lat kapłaństwa!

Bronka załamała ręce. Bez pieniędzy małe dziecko jeszcze bardziej powiększy ich straszną biedę.

- Trza nam jechać do biskupa - zdecydowała.

W zastępstwie biskupa przyjął ich kanclerz kurii. Wysłuchał, zapytał, czy ojcostwo ustalone, a kiedy dowiedział się, że nie mają nic, odesłał je do sądu.

- My nie damy wam żadnych pieniędzy. Skąd mam wiedzieć, że to dziecko tego księdza? Jak jego, to niech on płaci. Jak nie chce, to nikt go nie zmusi, nawet biskup!

Pani Bronisława mówi, iż obie z Zosią poczuły się za głupie i nieobyte, żeby w sądzie dochodzić sprawiedliwości. Pozostawało więc biedować albo jeszcze raz spróbować u Zygmunta. Wybrały to drugie. Pojechała Zosia i po raz pierwszy zabrała ze sobą dziecko, choć jej tego kategorycznie zabronił. Wróciła zadowolona jak nigdy. Mówiła, że wziął

dziecko na ręce i zaczął... płakać. Zapytał - czy... zechciałaby zostać jego żoną. Kiedy odpowiedziała, że się zastanowi - podszedł do biurka, wyjął gruby zwitek banknotów, złoty łańcuszek i włożył w jej ręce. „To dla naszego syna” - powiedział. Potem odwiózł ją samochodem na przystanek PKS.

- Ale wiesz, mamuś, on się zrobił jakiś dziwny. Chwilami wygląda jakby mu się w głowie pomieszało, aż się z nim bałam jechać samochodem - stwierdziła po namyśle dziewczyna.

- Dużo ostatnio przeszedł. Ale „cierp ciało, co ci się chciało”! Albo to ty będziesz miała lekkie życie? Kto cię tera weźmie, biedną i z księżowskim bękartem. Jego to sprawka cała, nie twoja! - Bronka była nieugięta.

Zosia dała księdzu Zygmuntowi prawie trzy miesiące spokoju, po czym znowu wybrała się do niego, lecz tym razem już bez dziecka. Zwykle wracała do domu wieczorem następnego dnia lub trzeciego dnia rano. Tym razem nie było jej całe cztery doby. Bronka, która nagle dostała bardzo złe przecucie, zawiadomiła milicję. Nazajutrz radiowóz podjechał

na podwórko Kowalów. Jeden z milicjantów pokazał jej fotografię dziewczyny, którą znaleziono dwa dni wcześniej, przy trasie - nie opodal Kielc. To była jej Zosia!

Ksiądz proboszcz Owczarek zeznał, że Zosia Kowalówna przebywała u niego dwie doby - przyjechała w czwartek przed południem, a w sobotę po obiedzie odwiózł ją na przystanek PKS do pobliskiego miasteczka. Podobno na jego oczach wsiadła do autobusu i pojechała do Kielc. Od tego czasu nikt jej nie widział. Leżącą około 10 metrów od asfaltu Zosię - zobaczył przygodny kierowca, załatwiający swoją potrzebę na poboczu drogi.

Dziewczyna miała głowę roztrzaskaną jakimś „ciężkim narzędziem o tępych krawędziach”, np. młotkiem. Nie została zgwałcona przed ani po śmierci.

Przeszukanie plebanii księdza Zygmunta nic nie dało - żadnych śladów krwi czy walki. Śledztwo umorzono z braku dowodów; chociaż Bronka klęła się na Boga, że jej córkę zabił

Owczarek. Być może nie dopełniono wszystkich czynności śledczych; możliwe również, iż to ówczesna sytuacja polityczna uniemożliwiła rozwikłanie tej zagadki? Panował stan wojenny.

Wszelkie przesłuchiwanie, oskarżanie czy jakiegokolwiek niepokojenie księży ze strony władz -

było jednoznacznie odbierane przez ludzi jako przejaw walki politycznej i groziło niepokojami społecznymi, a tego bano się jak ognia. Fakt pozostaje faktem zginęła młoda, 23

- letnia dziewczyna i nikt już nie wróci jej życia.

W opisaney przeze mnie historii nie ma zwycięzców i pokonanych, choć zmagania ludzkie były długie i bolesne. Wszyscy są ofiarami. Zosia nie żyje. Jej matce do biedy doszła rozpacz i wyrzuty sumienia. A ksiądz Owczarek? Popadł w totalny alkoholizm i stracił swoją ostatnią parafię. Po kilku latach leczenia, biskup zrobił go rezydentem, a więc praktycznie zdegradował do roli wikariusza. Dziś jest podobno bardzo schorowanym człowiekiem.

Dzieci państwa Kowalów podrosły, pożeniły się i powychodziły za mąż. Z wyjątkiem najmłodszego - wszystkie wyfrunęły z rodzinnego domu. „Owoc grzechu” Zosi i Zygmunta -

Marek - mieszka w Kielcach i uczy się w technikum. Wychowała go babcia. Chłopak twierdzi, że nigdy nie przestąpi progu kościoła. Raz tylko pojechał do ojca, ale ten... nie chciał z nim rozmawiać. Do niedawna przysyłał jednak na jego nazwisko (po matce) symboliczne alimenty.

Taki to pokrętny scenariusz napisało samo życie. Losy kilku osób naznaczyło piętno kościelnego celibatu i niezaspokojonych pragnień kapłana. Kolejny raz natura upomniała się o swoje, lecz w zetknięciu z fałszem i obłudą wydumanych praw i zakazów - mogli ucierpieć tylko niewinni ludzie, którzy próbowali żyć w świecie... stworzonym przez innych ludzi.

W powyższym tekście - na wyraźną prośbę państwa Kowalów - zmieniłem niektóre dane, w tym nazwisko księdza Zygmunta, pod którego adresem wysunięto przypuszczenie, iż mógł dokonać zabójstwa. Pani Bronisława - po tym co przeszła - pragnie już tylko świętego spokoju, bo na sprawiedliwość ludzką przestała liczyć. Całą tę historię zdecydowała się opowiedzieć - jak twierdzi - „ku przestrodze”.

ZAKOŃCZENIE

To tylko nieliczne, wybrane przeze mnie historie. Każdy ksiądz mógłby dopisać do

nich całą listę podobnych zdarzeń - dramatów, komedii, horrorów, erotyków - z własnego i sąsiednich podwórek. Zawiódłbym się, gdybyście Państwo potraktowali to, co napisałem w kategorii smaczków; takich - fajnych, ciekawych kawałków. Nie róbcie tego? Za każdą z powyższych opowieści kryje się prawdziwy, ludzki dramat! Jeśli komuś nie pasuje mój - być może czasami zbyt frywolny styl, nic na to nie poradzę - inaczej pisać nie potrafię, nawet o tak poważnych sprawach. Ta książka odniesie swój skutek, jeśli uwrażliwi Was na poruszone w niej problemy, jeśli dostrzeżecie autentyczną ludzką krzywdę, która - jak już wspomniałem

- nie jest marginesem w życiu naszego katolickiego społeczeństwa. Na uwagę zasługuje zwłaszcza fakt, iż prawie nikt do tej pory nie podnosił na forum publicznym podobnych spraw i problemów; co więcej - były one i są nadal skutecznie tuszowane! A teraz parę słów o mnie i o moich planach na przyszłość.

W walce o nowy, lepszy Kościół nie jestem osamotniony. Stowarzyszenie, które założyłem, liczy już ponad dwustu aktywnych członków i parę tysięcy zadeklarowanych zwolenników. Kontakt z nami

nawiązały największe organizacje, których cele są zbieżne z naszymi Aktywnie popiera nas cała „Europejska Sieć Odnowy Kościoła”, a zwłaszcza „Wir sind Kirche” („My jesteśmy Kościołem”) o zasięgu ogólnoswiatowym, z siedzibą w Austrii.

O ile więc zaczynałem sam, teraz jestem jednym z wielu. W naszym kraju działania reformatorskie na gruncie Kościoła rzymskokatolickiego nie mają jeszcze ani tradycji, ani dostatecznego zaplecza w ludziach i środkach. Masy katolików polskich ciągle wolą milczeć, biorąc udział w bezdusznym religijnych imprezach i festynach. Co więcej - instytucja Kościoła zasilana jest ciągle rzeką pieniędzy, a to działa na nią jak pełen bak benzyny na wyczynowy samochód. Gdyby księża nagle przestali kasować szmal - cała katolicka machina stanęłaby w okamgnieniu i poszła na złom. Bezcelowe stałoby się szafowanie sakramentami, chodzenie za trumnami, msze, modlitwy, kazania i katechezy. Pewnie, że księża i biskupi muszą z czegoś żyć, ale spróbujcie dać im, jak leci - każdemu po średniej krajowej, zamiast

„co łaska”, a zobaczycie, co się będzie działo - część od razu się pożeni i pójdzie do „cywila”.

Tymczasem jednak Kościół tryumfuje. Ten stan rzeczy zmienia się jednak dosłownie z każdym dniem. Nadzieja w dzieciach i młodzieży! Otrzymuję mnóstwo listów właśnie od ludzi młodych, którzy są na etapie poszukiwania właściwej drogi życia. Mają oni wyjątkowy dar poznania dobra i zła, wyczuwają na odległość blichtr i obłudę, brzydzą się wszelkim zakłamaniem. Nie wiem, czy to jest prorocstwo, ale za lat dwadzieścia - kiedy młode pokolenie dojdzie do głosu - Kościół rzymskokatolicki w Polsce, z całą swoją zgnilizną zejdzie do podziemia. Tak dzieje się już w tej chwili na Zachodzie. Boję się tylko jednego, że miejsce zgorszenia i zawiedzionych nadziei może zająć pustka. Niestety, rzesze ludzi wychowanych na katolicyzmie nauczono utożsamiać nieomylnego Boga z „nieomylnym” Kościołem. Istnieje w związku z tym obawa, iż odchodząc od Kościoła, wielu z nich odejdzie od Stwórcy. Człowiek nie może żyć w oderwaniu od Boga - sensu istnienia każdej żywej istoty. To, co najbardziej przeraża mnie u ludzi to ich nihilizm, totalne olewactwo wszystkiego i wszystkich. Kto lub co wypełni tę pustkę? Czy będzie to krwiożerczy materializm? Kult rozumu? A może rodzaj ludzki rzuci się na pastwę sekt???

W każdym razie katolicyzm przestanie tryumfować. Taki jest los wszystkiego, co nie jest autentyczne i nie pochodzi od Boga. Dotychczasowe sukcesy rzymska religia zawdzięczać może pieniądзом i zręcznej polityce ostatnich papieży. Uczynili oni z Kościoła prawdziwe imperium, ale każdy taki twór - z ustanowienia Bożego - skazany jest na zagładę.

To, co ludzkie nie może długo wynosić się nad to, co Boskie, tym bardziej jeśli chodzi o kult jednostki. Przykładów w historii mamy po temu aż nadto.

Początek XXI wieku widzę raczej ciemno. Cała nadzieja w tym, że młodzi ludzie nie zagubią ogólnoludzkich idei humanistycznych i będą ciągle otwarci na wartości transcendentne. Wierzę, że to właśnie oni na gruzach Kościoła rzymskokatolickiego zbudują cywilizację miłości, opartą na Ewangelii Jezusa Chrystusa. W przeciwnym razie świat czeka zagłada, a może nawet III wojna światowa. Dlatego apeluję do dzisiejszych rodziców i dziadków - dajcie swoim potomkom dobre wychowanie, oparte na miłości Boga i bliźniego!

Być może „czas jest krótki” i potrzeba świadectwa, jak nigdy dotąd. PAN jest naszym Pasterzem, nie

brak nam niczego. Trzeba nam tylko Wiary, Nadziei i Miłości!

Table of Contents

[Rozpoczni](#)